PO WYDANIU NOWEJ BIOGRAFII SZEFA „GW”

Marek Jurek: Nigdy nie byłem wielbicielem Adama Michnika

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 11/416 15–21 MARCA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha o rozterkach Jarosława Gowina

Semka o abp. Wojdzie – nowym metropolicie gdańskim

O NICH ŚNI ZACHÓD

Według lewicy Polska powinna mieć twarz „Margota”, Barta Staszewskiego i Marty Lempart

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000 11>
Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 348985e4fc

2021 rokiem audytu energetycznego przedsiębiorstwa

Czy wykonałeś już audyt energetyczny Twojej firmy? Nie czekaj! To szansa na znaczne oszczędności.

Profesjonalny audyt Twojej firmy w korzystnej cenie gwarantuje Energa – Obrót S.A.

Zamów już dziś na energa.pl/audyt

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

eprasa.pl 348935e4fc

W RZECZY SAMEJ

Psychoza i pandemia

PAWEŁ LISICKI

Trudno powiedzieć, jak wielu Polaków wzięło udział w organizowanej w piątek między innymi przez „Gazetę Wyborczą" akcji upamiętnienia ofiar pandemii. Mam nadzieję, że jak najmniej. Pomysł to bowiem absurdalny i szkodliwy – jego jedynym efektem może być wzrost strachu i histerii, które to są, nie mam wątpliwości, nie mniej groźne, a może i bardziej, niż sama epidemia.

Gdybym jeszcze mógł dostrzec w tej akcji przejaw naiwności lub braku rozsądku, machnąłbym ręką. Tymczasem, co organizatorzy na wszelki wypadek ogłaszają wszem wobec, minuta ciszy ma tyleż służyć wspominaniu zmarłych, rzecz zawsze godna uznania, co atakowi na żywych. Na całkiem konkretnych żywych, to jest na rząd, który to, oczywiście, nie stanął na wysokości zadania. Przeczytałem, że „12 marca minie rok od dnia, w którym Główny Inspektorat Sanitarny potwierdził pierwszy zgon osoby zakażonej koronawirusem. Przez 12 miesięcy choroba kosztowała życie 46 tysięcy Polaków. Śmiertelność w naszym kraju osiągnęła najwyższy od czasów II wojny światowej poziom". Kto jest temu winny? Oczywiście, rząd PiS. Nie wspomina się tu nic o tym, że te 46 tysięcy Polaków w ogromnej mierze cierpiało też na choroby współtowarzyszące. Podobnie jak nie mówi się nic o tym, że dane o śmiertelności należy podawać zawsze w kontekście i w porównaniu, na przykład z innymi państwami. Nie bada się, czy surowsze ograniczenia nie miałyby jeszcze bardziej negatywnych skutków. Itd., itp.

Cóż, o tym, że rząd postępuje w sprawie pandemii często nielogicznie i bez rozsądku, pisałem i mówiłem wiele razy. Najpierw maseczki są niepotrzebne, potem niezbędne. Trzeba nosić szaliki i przyłbice po to, żeby po kilku miesiącach je porzucić. Wprowadza zakazy, których nikt nie jest w stanie przestrzegać, i obostrzenia, których nikt nie rozumie. Miota się od ściany do ściany. Co gorsza, wiele z tych konkretnych decyzji nie ma żadnego racjonalnego uzasadnienia i nie jest opartych na badaniach, co doskonale pokazuje zmiana podejścia do maseczek.

Jednak nie tylko, a może nie przede wszystkim, rządzący stracili rozum. Nie mniejsze szaleństwo ogarnęło media. Jedynym celem, mam niekiedy wrażenie, ich działalności jest wzbudzenie największego możliwego strachu i paniki. Wszystkie dane muszą być na czerwono lub sino. Informacje o liczbie zakażonych przypominają dane z frontu. Kiedy tylko na chwilę nie można się ekscytować danymi, bo w danym dniu akurat liczba zachorowań jest mniejsza, można opisać rzekome fale – pierwszą, drugą, teraz trzecią. A potem czwartą, piątą i dziesiątą. Kiedy i tego jest za mało, pojawiają się opowieści o skutkach ubocznych choroby (tak jakby przy innych chorobach ich nie było). I wieści o nadciągających, jeszcze groźniejszych mutacjach – „»Potrójny mutant« – nowy szczep odkryty w Niemczech" – to pierwszy lepszy tytuł z największego polskiego portalu. Były mutacje brytyjska i afrykańska, będzie pewnie kanadyjska lub jeszcze inna. Byle dobrze brzmiało. A więc trzeba się bać, a kto się nie boi, ten nic nie rozumie. Jest płaskoziemcem i neandertalczykiem (jak to wdzięcznie zauważył inny bojownik w walce z pandemią, prezydent Biden). Swoją drogą, wygląda na to, że neandertalczycy to teraz jedynie możliwy epitet politycznie poprawny. Dokładnie to samo robi opozycja. Pierwszy lepszy przykład: „Bartosz Arłukowicz: minister zdrowia wydał wyrok śmierci na pacjentów" – to znowu inny tytuł. Im gorzej i straszniej, tym lepiej. Nic przeto dziwnego, że do upamiętnienia ofiar pandemii w Warszawie zachęca, całkiem niepolitycznie i przypadkowo, Rafał Trzaskowski.

Wszyscy staliśmy się – my wszyscy, czyli obywatele – zakładnikami tej gry. Jesteśmy ofiarami systemu masowej, medialnej, internetowej demokracji, w której liczą się jedynie emocje. Dlatego epidemia COVID-19 – jednej z wielu chorób – uległa przekształceniu i stała się apokaliptyczną, ludobójczą, jedyną pandemią. A skoro tak, to rząd, który musi pokazać, że dba o zdrowie i życie Polaków, dwoi się i troi, wydając mniej lub bardziej niedorzeczne decyzje. A skoro tak, to dziennikarze nie muszą już zachowywać krytycyzmu ani dystansu. Mogą krzyczeć i wołać. Media zatem straszą na potęgę i leją krokodyle łzy, a następnie domagają się coraz ostrzejszych i jeszcze dalej idących rozwiązań. Taki radykalizm nic je nie kosztuje, ale dobrze się sprzedaje.

Jedyne, co w tym szaleństwie może pocieszać, to fakt jego powszechności. Ilekroć ogarnia mnie wściekłość na rządzących, od razu przypominam sobie o tych państwach Unii i świata, gdzie restrykcje są jeszcze bardziej powszechne i niszczące. O godzinie policyjnej, o powszechnym lockdownie, o surowych karach. Marna to pociecha, ale w masowej, internetowej demokracji jedyna. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 348985e4fc

TEMAT TYGODNIA

14 MAŁGORZATA WOŁCZYK
BOHATEROWIE REWOLUCJI
Lempart i spółka oczami Europy

17 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
POLSKA ZNÓW RZUCA WYZWANIE DESPOTYZMOWI

KRAJ

20 MACIEJ PIECZYŃSKI
PRZEDWYBORCZY POLIGON
Walka o Rzeszów

22 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM
DŁUGI MARSZ PRZEZ ZGLISZCZA

24 PIOTR SEMKA
BISKUP POZA SCHEMATAMI

26 TOMASZ ROWIŃSKI
ZWYKLI KSIĘŻA I ZWYKLI KATOLICY?

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
LEWACTWO KONTRA LEWICA

30 MACIEJ PIECZYŃSKI
RONDO PRAW ABORCJONISTEK

32 RADOSŁAW WOJTAS
LOCKDOWN WPĘDZA W DEPRESJĘ

KULTURA

34 WIESŁAW CHEŁMINIAK
KSIĘGA ŚMIECHU I UTRAPIENIA
Książki kuriozalne

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

41 GRZEGORZ KONDRASIUK
IRONICZNY, ONIRYCZNY CZECHOW

OPINIE

42 ŁUKASZ WARZECHA
TAŃCZĄCY NA LINIE
Przyszłość Porozumienia

44 MAREK JUREK
DEMIURG I MIAZGA

46 JAN BOGATKO
PEDOFILIA, CZYLI ZWYCIĘSTWO REWOLUCJI SEKSUALNEJ

HISTORIA

48 MACIEJ KORKUĆ
GEST HITLERA, NIE CEZARA
Znienawidzone symbole niemieckich zbrodni

ŚWIAT

52 JACEK PRZYBYLSKI
ZEMSTA ZBUNTOWANYCH KSIĄŻĄT
Czarny PR wokół rodziny królewskiej

55 ROZMOWA Z GILLES'EM-WILLIAMEM GOLDNADELEM
NIE ŻYJĘ W PAŃSTWIE W PEŁNI DEMOKRATYCZNYM

58 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PODRÓŻE Z ZASTRZYKIEM

EKONOMIA

62 TOMASZ CUKIERNIK
NIEBEZPIECZEŃSTWA FUNDUSZU ODBUDOWY
Interwencjonizm nam zaszkodzi

66 ŁUKASZ ZBORALSKI
WOJNA O FORUM

SPORT

68 ROZMOWA Z JANEM-KRZYSZTOFEM DUDĄ
SZACHY TO NIEKONIECZNIE GRA DLA NERDÓW
Polski arcymistrz: „Często kieruję się intuicją"

O ZDROWIU

74 ROZMOWA Z PROF. KRZYSZTOFEM GIANNOPOULOSEM
OTWIERAMY NOWE SPOSOBY LECZENIA
Raport: Hematoonkologia

76 ROZMOWA Z PROF. KRZYSZTOFEM JAMROZIAKIEM
PANDEMIA WIELE NAS NAUCZYŁA

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (51), PRZYBYLSKI (60), GABRYEL, WARZECHA (65), KOMUDA (78), ŻALEWSKI, WOŁCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 348985e4fc

Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do dyskusji. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Czas śmiało bronić własnych interesów", rozmowa z Wandą Zwinogrodzką, „DRz" 8/2021

Niechęć przed rozszerzaniem opłaty reprograficznej m.in. na smartfony, tablety czy telewizory smart to nie jest kaprys techgigantów, którzy wraz z wizją wejścia w życie tego rozwiązania już liczą, ile będą musieli oddać artystom. Za pomysł Ministerstwa Kultury podsycany przez OZZ-y zapłacą konsumenci. Jednak to, czego rzeczywiście boją się producenci i przedsiębiorcy, to zagrożenie dla uczciwej konkurencji i szerokie otwarcie drzwi dla szarej strefy.

Na rynku, na którym przecinają się interesy różnych podmiotów, nie działa

zasada: zabierzemy jednym, damy drugim, ci pierwsi trochę pokrzyczą, a później znów będzie constans. Możliwe, że z takiego założenia wychodziła rządząca PO, kiedy podnosiła podatki z 22 do 23 proc. Miało być na chwilę, ale już tak jakoś zostało. A cenę płacimy wszyscy do dziś. I widoczne to jest nie tylko na sklepowych półkach, lecz także w całym łańcuchu produkcyjno-sprzedażowym, co negatywnie od lat wpływa na możliwość konkurencji.

W przypadku podatku od smartfonów jest to jeszcze groźniejsze dla polskich firm. Robiąc zakupy „na obiad", idziemy bowiem do sklepu i – chcąc nie chcąc – musimy swoje zapłacić. Nie szukamy przecież tańszego chleba na chińskich portalach. Z elektroniką jest inaczej. Tu cena bywa kluczowa. Co się stanie, gdy interesujące nas urządzenie będzie droższe kilkaset złotych w sklepie z elektroniką w porównaniu z portalem aukcyjnym? Sprzęt kupimy pewnie w Internecie. Zapewne u sprzedawcy, który nie tylko nie słyszał pewnie nawet o opłacie reprograficznej, lecz także skutecznie unika płacenia innych podatków czy ceł. Kto na tym straci? Na pewno budżet państwa. Na pewno też uczciwi przedsiębiorcy z branży elektronicznej, którzy wszystkie podatki muszą zapłacić. Na pewno też artyści, bo przecież jeśli nie będzie dodatkowych wpływów z opłaty reprograficznej, to nie dostaną nawet grosza więcej.

My nie straszymy, ale przewidujemy, co może się wydarzyć. W Polsce już dość często się zdarzało, że najpierw wchodziły w życie jakieś buble prawne, z których później trzeba było się w pośpiechu wycofywać. Nie lepiej tym razem zrobić coś może i wolniej, ale porządnie? Zastanówmy się, jak kwestię wynagrodzenia dla artystów – w świecie, gdzie Internet wiedzie prym w dostępie do kultury – rozwiązać systemowo. Zaprośmy wszystkich zainteresowanych do stołu i porozmawiajmy. Udało się to np. w Finlandii, gdzie system działa świetnie, to uda się też u nas. Ale dajmy sobie na to szansę.

Michał Kanownik,
prezes Związku Cyfrowa Polska

„Młodzi wolą lewicę?", Paweł Lisicki, „DRz" 7/2021

[...] Nikogo nie powinno tak naprawdę dziwić, że młodzi „wolą" dziś lewicę. To wynik grzechu zaniechania, zaniechania zmiany paradygmatu ich edukacji, już nawet nie tylko przez 30 przeszło lat trwania III RP, ale, szczególnie, przez ostatnie prawie sześć lat rządów ZP. To, że politycy UW, SLD, KLD i PO nie zrobili nic, żeby zmienić dramatycznie zły system oświatowy, nie było dla mnie zaskoczeniem, ale to, że niewiele lub zgoła nic nie zrobiono w tej materii po roku 2015, mnie osobiście zaskoczyło najbardziej. [...] Po pięciu latach rządów ZP w jednym z podręczników uczniowie otrzymują takie oto zadanie: „Porównaj postać Grety Thunberg i Joanny D'Arc"!!! (obie 15-latki). Czy można się zatem dziwić, że ogłupiała nie ze swojej winy młodzież wylega na ulice, żeby maszerować pod hasłem: „Czerwonym piorunem w czarny łeb!"?

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Wyjaśnienie

W tekście „Od Jędrzejowskiej do Świątek" („DRz" 10/2021) błędnie oznaczyliśmy Jadwigę Jędrzejowską na zdjęciu z Dorothy Round. Polka oczywiście stała po lewej stronie.

Redakcja

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk**, **Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Marta Bogdanowicz/East News, Tomasz Jastrzębowski/Reporter, Andrzej Hulimka/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Ilona Weiss, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 348985e4fc

NA PIERWSZY OGIEŃ

Samokrytyka znów w modzie

PIOTR SEMKA

W lewicowym kociołku ostatnio ostro się zagotowało. Urszula Kuczyńska, asystentka posła partii Razem Macieja Koniecznego, udzieliła wywiadu „Wysokim Obcasom", który wywołał w obozie postępu burzę z piorunami. Kuczyńska opowiedziała, że używanie zamiast słowa „kobiety" określenia „osoby z macicami" jest dziwactwem. Wyraziła też obawę, że wspólne toalety dla kobiet i mężczyzn uważających się za kobiety mogą ułatwiać molestowanie kobiet. Nie zachwycają ją też zmiany językowe w kierunku tworzenia feminatywów. Takie tezy dla środowiska transseksualistów okazały się herezją, a ich oburzenie wsparły także niektóre feministki. Kuczyńską zasypała fala hejtu. Przyrównywano ją do „nienawistnych biskupów katolickich" i „islamskich fundamentalistów". Posypały się określenia w stylu „wiedźma" i „wykluczająca suka".

Poseł Konieczny początkowo bronił swojej podopiecznej. Sprawę zbagatelizować próbował też Adrian Zandberg, ale już młodzieżówka Razem ogłosiła, że żąda odcięcia się przez partię od stanowiska Koniecznego i Kuczyńskiej.

Nie minęło wiele czasu i partia Razem złożyła samokrytykę. „Ostatnie dni były trudne dla osób trans, niebinarnych, queer, całej społeczności LGBT+, która działa w Razem i z Razem sympatyzuje – można była przeczytać w oświadczeniu na stronie partii Zandberga. – Przepraszamy, że nie czuliście się bezpiecznie. […] Liczymy na to, że Partyjny Sąd Koleżeński rzetelnie rozstrzygnie postępowania w tej sprawie, a wyroki przełożą się na poprawę standardów działania w ramach naszej organizacji. [...] Deklarujemy, że skontaktujemy się z Transfuzją i poprosimy o warsztaty antydyskryminacyjne dla nas wszystkich w partii, a zdobytą tam wiedzę i wrażliwość przełożymy na pracę z wami wszystkimi". Do sporu odniósł się też lewicowy aktywista Jan Śpiewak. Początkowo bronił Zandberga, ale w końcu spointował cały spór sugestią, że cała awantura mogła być sfabrykowana przez „agentów dużego kapitału".

Czytając o samokrytyce partii Razem i sporach na linii część feministek kontra transseksualiści, uświadomiłem sobie, że tak czuć mogli się moi dziadkowie, gdy przed wojną czytali o walkach frakcyjnych w Komunistycznej Partii Polski. Stróże prawowierności walczyli tam z reformatorami, a podziemne plena partii wypełniały wzajemne oskarżenia o „trockistowskie odchylenie". Wzajemnie wytykano sobie „błędy majowe" i oskarżano się o „oddalenie się od mas". Węszono za „drobnomieszczańskim myśleniem" i brakiem czujności klasowej.

Wielu Polaków na przełomie lat 20. i 30. czytało o tym z rozbawieniem. Wyrażano ironiczny pogląd, że polska policja nie musi nic robić, bo rozmaite frakcje same się powyrzynają. Tyle że nie minęły dwie dekady, a Polska miała już własny stalinizm. Z oskarżeniami ideologicznymi, ze śledztwami w sprawie walk frakcji w partii, z terrorem. I wtedy już nikomu nie było do śmiechu.

Dlatego ja też nie śmieję się dzisiaj. Kiedy fanatycy z Razem czy Nowej Lewicy dorwą się w końcu do władzy – choćby w sposób pośredni – przeniosą swe zacietrzewienie i skrajną ideologizację na przestrzeń publiczną. Już robią to na uniwersytetach. I wtedy nam wszystkim nie będzie już do śmiechu. ©℗

FOT. JACK GUEZ/AFP/EAST NEWS

ŚWIAT SIĘ SZCZEPI PRZECIW COVID-19

Na całym świecie podano ponad 300 mln dawek szczepionek przeciw koronawirusowi. Globalna średnia wynosi 3,9 dawki na 100 osób. Według BBC liderami są Izrael (podano już 101,1 dawki na 100 mieszkańców), Zjednoczone Emiraty Arabskie (63,4 dawki), Bahrajn (30), Wielka Brytania (35,2), USA (27,3) oraz Chile (24,2). W Polsce podano już 10,4 dawki na 100 mieszkańców, na Węgrzech 13,3, a w Danii 12,5. ***(jap)*** ©℗

CZYTAJ TAKŻE „PODRÓŻE Z ZASTRZYKIEM" NA STR. 58

eprasa.pl 348985e4fc

REPUBLIKA

CZAS PRZEDSIĘBIORCÓW

VI edycja

DEBATY:

15.03 (**PONIEDZIAŁEK**)
16.03 (**WTOREK**)
17.03 (**ŚRODA**)

22:25

DEBATA GŁÓWNA:

18.03 (**CZWARTEK**)

12:00

SPONSOR STRATEGICZNY:

ORLEN

SPONSORZY:

WhyNot TRAVEL
PODRÓŻE SŁUŻBOWE

POLSKA AGENCJA ŻEGLUGI POWIETRZNEJ
POLISH AIR NAVIGATION SERVICES AGENCY

PKO Bank Polski

eprasa.pl 348985e4fc

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wroga życzliwość

Jest poprawa: dotychczas Adam Michnik porównywał Jarosława Kaczyńskiego do Łukaszenki, Kim Dzong Una, w najlepszym razie do Putina. W swej najnowszej epistole porównał go do Trumpa. Co niekoniecznie znaczy, że nabrał przyzwoitości – raczej, że nie zatracił jeszcze dawnego sprytu. Adresatami epistoły są bowiem tym razem zachodni europarlamentarzyści, zwłaszcza ci z frakcji lewicowych. O Kim Dzong Unie mogą nie wiedzieć, o Łukaszence wiedzieć nie chcą, a Putin nie jest w ich oczach tak znowu jednoznacznie zły – Trumpa na pewno nienawidzą bardziej.

Na czym, zdaniem Michnika, polegać ma podobieństwo Kaczyńskiego do byłego prezydenta USA? Na tym, że traktuje media – nie wszystkie, tylko te, które Michnik po Orwellowsku nazywa „niezależnymi" – jako wrogów.

„Zbrodnia to niesłychana". Media, w których imieniu napisał Michnik swój list otwarty, są przecież Kaczyńskiemu i jego partii niezwykle przyjazne. A co najmniej niezwykle obiektywne. Od zawsze, a już zwłaszcza od kiedy okazało się, że partia Kaczyńskiego nie tylko nie wymarła „jak dinozaury", jak jej kazano, lecz także ośmieliła się, wbrew rekomendacji oświeconych elit, wygrać wybory! Pamiętam, że gdy tylko wygrał swą pierwszą kadencję Andrzej Duda, jeszcze zanim złożył ślubowanie, już te media chórem wzywały do usunięcia go, bo („afera!") jak był posłem, korzystał z darmowych biletów. Potem, gdy wygrał PiS, od pierwszego dnia okładały go ogniem, że już tydzień minął, a PiS nie jest w stanie sformować rządu. Potem próbowały wykreować uliczne zamieszki celem obalenia rządu i przyśpieszenia wyborów, podając podjudzające fake newsy, godziny i miejsca zbiórek, wmawiając, że 50 tys. manifestujących to „co najmniej ćwierć miliona"... I tak od pięciu lat: nie przepuszczają żadnej okazji, by rządzących oczernić i zniesławić Polskę jako taką.

I oto Michnik żali się Europie, że PiS traktuje ich wrogo. Jak żul, który cię napadł, dostał w zęby i skarży się, że jesteś do niego uprzedzony. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Zwykli, czyli jacy?

Zwykłych Księży porównuje się często do Księży Patriotów z początków PRL. Oczywiście, takie porównanie stanowi nie tylko (co tu ukrywać) złośliwe potępienie społecznych funkcji ruchu, lecz także podważenie jego intencji. Ja jednak nad tymi intencjami, zawartymi w ich najzwięźlejszym samookreśleniu, czyli w nazwie, chciałbym się chwilę zastanowić, korzystając (bez żadnej złośliwości) z tropu wskazującego na analogię obu ruchów.

„Patriotyzm" Księży Patriotów oznaczał tyleż afirmację PRL-owskiej władzy, co odcięcie się od postaw wielkiej części duchowieństwa i wiernych uważających władzę komunistyczną nie tylko za bezprawną, lecz także otwarcie kolaboracyjną.

Księża Patrioci odwoływali się do Polaków dla „spokoju" odkładających patriotyczne przekonania. „Zwyczajność" Zwykłych Księży to aprobata społeczeństwa liberalnego i odcięcie się od postaw tej wielkiej części duchowieństwa i wiernych, która go nie akceptuje i chce jego zmiany. To również duszpasterstwo adresowane do „normalsów" odkładających „dla spokoju" przekonania katolickie.

Przeciętny Polak (według badań socjologicznych) chodzi do kościoła, ale nie w każdą niedzielę, jest przeciwny „aborcji na życzenie", ale nie przyjmuje (w praktyce) moralnego zakazu antykoncepcji.

Ów „nonkonformizm" wobec opinii katolickiej idzie w parze z odwołaniem do „katolicyzmu socjologicznego", statystycznego, do – „normalsów".

Po jednym z moich wcześniejszych komentarzy na ten temat zapytał mnie pan Sławomir Stoczyński, dlaczego Zwykli Księża „mogą bezkarnie i bez nakazu milczenia głosić błędne, chore i niebezpieczne poglądy przeciw doktrynie i tradycji katolickiej i przeciw zdrowemu rozsądkowi". Ano właśnie z tego powodu. ©℗

CZYTAJ TAKŻE „ZWYKLI KSIĘŻA I ZWYKLI KATOLICY?" NA STR. 26

eprasa.pl 348985e4fc

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Milczenie owiec

Historyjka układa się w moralitet o tych, którym ideologia i polityka odebrały rozum. To też budująca opowieść o chamstwie ukaranym, co w naszych ponurych czasach dzieje się coraz rzadziej.

W popularnym, superpostępowym florenckim Controradio toczyła się polityczna dyskusja. Jednym z uczestników był profesor nauk humanistycznych i komunikacji społecznej na uniwersytecie w Sienie Giovanni Gozzini. Dawniej nauczał na Harvardzie. Człowiek lewicy, postępu i kultury. Był nawet asesorem odpowiedzialnym za kulturę nie byle gdzie, bo we Florencji.

W dyskusji padło nazwisko Giorgii Meloni, która swoją prawicową partyjkę Bracia Włosi wywindowała w sondażach z 2 do 17 proc. Ugrupowanie jest teraz trzecią siłą polityczną Włoch. Kobieta bezlitośnie, za to celnie punktuje hipokryzję i megalomanię postępowców, więc na hasło „Meloni" apostołowie poprawności politycznej toczą pianę i często wypominają jej nikczemną posturę – że mała, gruba, a w dodatku wypadają jej włosy.

Nie inaczej nasz profesorek. Spod błyszczącego poloru człowieka kultury i tolerancji wyjrzała natura pospolitego chama: „Meloni?! Handlara ryb, nie przeczytała w życiu jednej książki, zaraza, niekompetentna krowa, maciora!". Współdyskutanci zaapelowali, by nie obrażał handlarek.

Nagranie zrobiło furorę w Internecie i trafiło do głównych włoskich mediów. Postępowcy mieli ubaw po pachy. Zimny prysznic spadł im na głowy wieczorem. Biuro prezydenta Republiki poinformowało, że Sergio Mattarella [człowiek lewicy – przyp. P.K.] zadzwonił w geście solidarności do Giorgii Meloni. Mało tego. Zrobił to również premier Mario Draghi. Po kilku dniach uniwersytet w Sienie zawiesił profesorka na trzy miesiące i pozbawił na ten czas pensji. Na to dictum naukowiec się pokajał.

Natomiast milczały i milczą jak grób feministki i kobiety postępu. Te same, które paradują w czerwonych trzewikach i perorują, że agresja wobec kobiet zaczyna się od werbalnej, więc należy reagować błyskawicznie na każde męskie grube słowo. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Miłość w czasach postępu

Cały Twitter (jako istotna część świata) musiał się wypowiedzieć na temat głośnego wywiadu, którego Meghan udzieliła Oprah Winfrey. Na chwilę w czasie rozmowy przysiadł się ten, no jak mu tam, no ten z burzą słonecznej brody, no ten taki nieroztropny delikatnie, no... Harry z Anglii się dosiadł na chwilę. Coś mówił, ale niewyraźnie. Najbardziej szokującą informacją było to, że Oprah wzięła za tę pogaduszkę dziewięć baniek w dolcach. No, ale ona musiała tego wywiadu wysłuchać do końca bez opadania głowy, więc należało się. Dowiedzieliśmy się, że 40-latka w ciąży ma mentalność skrzywdzonej nastolatki, a przy okazji wywiadu tabloidy na całym świecie przypomniały księcia Harry'ego, który kiedyś dla zabawy defilował w mundurze hitlerowca. Słoneczny chłopak intelektualnie zawsze zadziwiał.

Z nutką niedowierzania komentowano także na TT informację o propozycji Lewicy. Otóż postępowa Lewica chce, by gwałt był inaczej zdefiniowany. Teraz każdy seks będzie według Lewicy gwałtem, jeśli nie będzie „wyraźnej i świadomej zgody". Czym jest owa „wyraźna i świadoma zgoda", nie sprecyzowano. Pojawiło się więc morze nadinterpretacji, że trzeba będzie pewnie przed pójść do notariusza albo nagrać filmik: „Tak, mój miły, dnia 12 marca o godzinie 17.04 wyrażam świadomą zgodę na kontakt seksualny obejmujący takie czynności jak...". Następnie filmik taki trzeba będzie umieścić na TT albo na FB. Oczywiście seks po kilku kieliszkach prosecco, jako nie do końca świadomy, będzie wykluczony. Anna Maria Żukowska z Lewicy zapewne w związku z tymi zmianami napisała na TT: „Mruczysz jej do ucha: »Mmm... Kochanie, czy chcesz...?«. Ona nie odpowiada, leży i ma zamknięte oczy. Co robisz?". „Budzę ją, włączam laptopa, podłączam drukarkę, odpalam worda, wspólnie piszemy umowę o zgodę na seks, a następnie wypełniam druk PCC-1 i wpłacam podatek od czynności cywilnoprawnych do właściwego miejscowego urzędu skarbowego" – odparł twitterowicz pod pseudonimem Parzydlak.

Na koniec rzecz budząca grozę. Profil „Strajk Kobiet" zaalarmował na TT: „Trzy osoby porwane przez policję za odmowę wylegitymowania się". Wstrząsającą informację uzupełniła Marta Smolańska: „Policja zażądała miliona, podstawienia śmigłowca i zero policji". O ciągu dalszym będę informować. ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. PAWEŁ GROMADA

KLASIZM POWSZEDNI

Małgorzata Rozenek-Majdan w wywiadzie udzielonym Magdzie Mołek wyznała, że rozumie, dlaczego spotyka ją hejt, i nawet rozumie swoje hejterki. No bo każda przecież po prostu zazdrości jej fantastycznego życia celebryckiego! Każda jedna! – Jak czytam niektóre komentarze od kobiet, nawet te najbardziej obraźliwe w moim kierunku, to ja naprawdę mam taki odruch, żeby wziąć tę dziewczynę i ją po ludzku przytulić, bo ja sobie wyobrażam, jak ona się szarpie. Jak ona siedzi sama gdzieś, z dzieckiem, mąż jej nie pomaga, nie ma perspektyw, nie ma prawa jazdy, a do najbliższego przystanku ma tyle i tyle – stwierdziła. Zapomniała dodać, że na pewno nie myje też zębów. Klasizm to się, droga postępowa pani Rozenek, nazywa.

CELEBRYTKA Z URODZENIA

Jeszcze poznęcamy się nad wywiadem Perfekcyjnej Pani Domu, która kilka razy podkreśla, że ona za swoje sukcesy i swoje życie nikogo przepraszać nie będzie. – Ja muszę non stop przepraszać wszystkich i non stop usprawiedliwiać się, że mi się po prostu chce. Magda, mi się po prostu chce! Ja się budzę każdego dnia z głową pełną energii, głową pełną pomysłów, apetytem na życie. I dlaczego, do cholery, ja mam ciągle za to przepraszać?! Ja tak mam, dziewczyny, po prostu! Jeden się rodzi z blond włosami, drugi się rodzi z ciemną skórą, trzeci ze skłonnością do cukrzycy, a czwarty z cholernie dużą energią do życia – wyliczyła. Albo z jeszcze większym ego. Wtedy zostaje celebrytą.

JAKA PIĘKNA AWANTURA!

Ależ piękna inba w show-biznesowo-telewizyjno-gwiazdorskim światku! Po kolei, żeby wszystko dobrze wyłuszczyć. Aktorka Tamara Arciuch bierze udział w wokalnym show Polsatu „Twoja twarz brzmi znajomo", gdzie znani i lubiani ucharakteryzowani na znanych wokalistów wykonują ich utwory. Ich występy ocenia jury. I występ Arciuch nie do końca spodobał się jednej z jurorek, Katarzynie Skrzyneckiej. To z kolei nie spodobało się życiowemu partnerowi Tamary Arciuch, aktorowi Bartłomiejowi Kasprzykowskiemu, który sam kiedyś zasiadał w jury tego programu. „Byłaś najlepsza – napisał na Instagramie Kasprzykowski do Tamary Arciuch. – Katarzyna Skrzynecka nie poznała się na tym, ale po kilku latach zasiadania w tym jury nie dziwi mnie to ani trochę. Może czas odświeżyć to grono. Byłaś fenomenalna" – dodał, nazywając jeszcze program „bagnem telewizji".
Oczywiście na odpowiedź Katarzyny Skrzyneckiej nie trzeba było długo czekać. „Jaka klasa człowieka i jaka doza zawodowych zawiści wobec wielu, naprawdę wielu kolegów – takie komentarze. Kto zna z pracy, ten wie" – odpowiedziała. „Ja i wielu kolegów z branży omijamy fałszywych ludzi szerokim łukiem" – dodała. Na koniec swoje pięć groszy oburzenia pod adresem Kasprzykowskiego

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

dorzucił jeszcze prowadzący show Piotr Gąsowski. Ta cała awantura to rozrywka po stokroć lepsza niż program, którego dotyczy! Może Polsat powinien zastanowić się nad transmisją?

EKSPERCKA WIEDZA

Dawid Kwiatkowski, piosenkarz, który jest ponoć idolem polskiej młodzieży, gościł niedawno u Kuby Wojewódzkiego. I ten postanowił go pogrillować za to, że Kwiatkowski jest jurorem w show TVP „The Voice Kids". No bo jak to tak współpracować z TVP? – Gdzie jest miłość bliźniego u człowieka, który pracuje w TVP, gdzie dwie godziny przed jego programem albo dwie godziny po jego programie jest szerzona nienawiść. To jest pytanie, bo nie rozumiem moich kolegów, którzy tam pracują. Czy to nie zgrzyta ci moralnie? – dopytywał Wojewódzki. – Myślę, że w programie, w którym biorę udział, czuć bardzo dużą miłość do bliźniego – odparł Kwiatkowski. Wojewódzki drążył jeszcze temat (bezskutecznie), pytając na przykład, czy „rzygająca propaganda przed i po nie jest częścią tego, w czym się występuje". Trzeba przyznać, że na szerzeniu nienawiści Wojewódzki zna się jak mało kto. Prawdziwy ekspert. ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy w miarę spokojni, kiedy czytamy, iż Premier ogłosił Nowy Polski Ład. Z wyjątkiem dyskryminującej i wykluczającej nazwy nic nas szczególnie nie niepokoi.

Bo przypomnijcie sobie po kolei i na spokojnie wszystkie sukcesy pisu związane z Trybunałem, Unią, ustawą o IPN, mieszkaniach dla młodych i co tam jeszcze Kaczafi z Morawieckim po drodze zdążyli obiecać xD Pamiętacie? No, więc spokojnie.

Znając życie, zamiast Nowego Ładu wyjdzie jak zawsze zwyczajny stary burdel, tzn. stare miejsce sexworkingu, nie róbmy slutshamingu.

Pojawiła się ciekawa informacja, iż niedługo osoby posiadające środki na bankowych lokatach będą musiały do nich dopłacać, zamiast otrzymywać odsetki.

To są różne takie efekty, jakie wynikają z różnych takich działań związanych z ekonomią, o których of kors nie mamy pojęcia, ale którym chętnie przyklaśniemy, iż jest to być może mały krok dla bankowości, ale wielki krok dla sprawiedliwości społecznej.

Otósh jeśli kogoś stać, iżby trzymać w banku bezużytecznie pieniądze, to stać go również na to, iżby dopłacić do tego, że je ma. Podobnie powinno się postępować z każdą nieużywaną własnością, iżby się nie marnowała.

A jak ktoś nie ma ochoty dopłacać? To proste: niech więc odda państwu do redystrybucji, oczywiście płacąc od tego podatek!!!11jeden

Pewnie ciekawi Was nasza opinia na temat ostatniej awantury na polskiej lewicy i gorącego sporu o to, czy powinno się mówić „kobieta" czy „osoba z macicą".

Jako prekursorzy sformułowania „waginoosoba" wolimy w tej sytuacji po prostu siedzieć cicho xD

Nie wiemy bowiem, czy przypadkiem zaraz nie okaże się, że nasz językowy obraz świata nie jest odpowiednio postępowy, LGBT friendly, inkluzywny i wrażliwy. Jeszcze nas wyślą na jakieś szkolenie reedukacyjne czy coś.

Poczekamy więc taktycznie na to, jak się temat rozwinie, i dostosujemy się do obowiązującego słownictwa, a chwilowo jako cishetero osoby męskie powstrzymamy się od słowotwórstwa, iż jesteśmy przecież karygodnie uprzywilejowani. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Nosić maseczkę to trzeba umieć

Adam, o co chodzi z tymi maseczkami? Bo podobno one nie są jednak na dworze potrzebne, a ja w tym chodzę od dawna jak ten idiota, żeby mnie te hieny dziennikarskie nie złapały. A duszno mi jest, niewygodnie, jeszcze nam takie paskudne resortowe maseczki zrobili, co pachną jak stare gacie.

Pokaż, Jacek. Daj powąchać... No faktycznie, współczuję. Ty masz tyle tych spółek pod sobą, weź jakiejś zleć, żeby coś lepszego zrobiła. My kupimy.

No dobra, ale jak to z tym w końcu jest?

A cholera wie.

No ale jak to? Przecież są jakieś badania chyba...

Badania to są na wszystko. Chcesz, to ci wyślę takie, że maseczki to cudowny środek, i takie, że to szajs i nic nie daje.

No, ale to po cholerę my to mamy nosić od miesięcy na pustej ulicy? Ty tam coś niby mówiłeś o jakichś względach behawioralnych...

Mówiłem cokolwiek, byle mądrze brzmiało. A jak trzeba pokazać, że coś robisz, a ty nie masz pojęcia, to zrób cokolwiek, byle to było na każdym kroku widać.

Ale mnie się już nawet Naczelnik skarżył, że nie daje rady.

Bo nosić maseczkę to trzeba umieć. Spójrz na moją od przodu. Widzisz coś?

No... Maseczka jak maseczka.

No, to teraz spójrz od spodu. Widzisz, jakie sobie dziury zrobiłem? I nic nie widać! Przynieś swoją, to też ci wytnę. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS niszczy praworządność w Polsce, upolitycznia wymiar sprawiedliwości, ogranicza prawa obywatelskie, przeprowadza zamach na wolne media"

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA,
posłanka Koalicji Obywatelskiej, na Twitterze

eprasa.pl 348985e4fc

dwaj panowie g

Chłopaki z kancelarii premiera mówią, że Nowy Polski Ład zostanie ogłoszony na pewno w marcu. Ale miesiąc temu mówili, że na pewno w lutym. Tymczasem wiewiórki z Nowogrodzkiej przebąkują o kolejnym opóźnieniu. Niby z powodu pandemii, a tak naprawdę z powodu sytuacji w koalicji.

Apropos sytuacji w koalicji. Trwają rozmowy szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego z naczelnym kukistą Pawłem Kukizem, to wiecie. Info z Nowogrodzkiej: nie chodzi o wymianę koalicjanta, lecz poszerzenie bazy koalicji. To wersja oficjalna. Nieoficjalnie w PiS wciąż trwają obliczenia, ilu posłów można zachachmęcić Gowinowi i Ziobrze.

Jedną rzecz na razie pozostawiono poza negocjacjami. Kaczyński SWP poinformował Kukiza, że przedmiotem rozmów nie będą żadne miejsca na listach, bo nie było o tym jeszcze rozmów nawet z przystawkami. Pawłowi to pasuje. On jako antysystemowiec też nie może rozmawiać o miejscach na listach.

Wiewiórki opowiadają, że zmiany czekają Polską Fundację Narodową. W PiS dojrzewa myśl, by jej zadania przejęła inna fundacja. Jednocześnie nadzór nad tą nową fundacją sprawowałby osobiście premier. Nie sądzimy, by wprowadzenie zmian zajęło wiele czasu. To znaczy wiewiórki nie sądzą.

Z frontu walki o fotel Rzecznika Praw Obywatelskich. Latem ubiegłego roku łaził w tej sprawie na Nowogrodzką niejaki Bartłomiej Wróblewski i mówił, że ma poparcie Episkopatu oraz że gdy zostanie wystawiony, przyniesie w prezencie głosy senatorów Peezelu. Jego opowieści przyjęto z umiarkowanym entuzjazmem, a kandydatem został Piotr Wawrzyk. Teraz Wróblewski robi podejście numer dwa.

Już wyjaśniamy, dlaczego Nowogrodzka nie pałała entuzjazmem do Wróblewskiego. Otóż panuje tam przekonanie, że nie można mu ufać. I że gdy tylko obejmie jakieś stanowisko niezależne, wypnie się na swych politycznych protektorów i podąży drogą Mariana Banasia. Na razie musi jednak załatwić te głosy senatorów Peezelu. Na tę chwilę ma trzy: Jana, Filipa i Libickiego.

Żarty żartami, ale nie brak ludzi małej wiary, którzy uważają, że Wróblewski w Senacie przepadnie. Nie jesteśmy tacy pewni. Coraz częściej dochodzą do nas głosy, że są senatorowie formalnie jeszcze związani z PO, którzy niekoniecznie pojawią się na głosowaniu.

Gdyby tak się stało, to Borysław Budka i marszałkissimus Grodzki sami sobie będą winni. Widzicie, także wśród senatorów są osobnicy, którym bardzo nie podoba się platformerskie nawrócenie na abortyzm stosowany i ogólne lewactwo. Szukają więc okazji, by się boleśnie Borysławowi odwinąć.

Apropos Borysława Budki. Śmieją się z niego we własnej partii już na tyle otwarcie, że wypłynęła po roku smakowita informacja o kulisach wydarzeń z czasów walki o kopertowe wybory prezydenckie. Otóż w czasach, gdy Gowin fikał w tej sprawie w koalicji, szefostwo PeŁo było przekonane, że władza jest na wyciągnięcie ręki. Niektórzy do Borysława zaczęli się więc zwracać „panie premierze", a Nitrasa czy Pomaskę tytułować ministrami. Było, minęło. Sen o potędze kończy się poniżej 20 proc. w sondażach.

Jeszcze o Eine Totalopposition i sondażach. W Peezelu zauważono pewną prawidłowość. Kiedy tylko na urlopy udają się Misiu Kamiński i Magdalena Sobkowiak, główni doradcy Władka Tygrysa-Kamysza, nagle ludowcom zaczyna rosnąć w sondażach. Nazwisko Sobkowiak pewnie wam już niewiele mówi. To była dziennikarka m.in. TVP i Polsatu. Przekonana, że po klęsce PiS do TVP wróci. Przynajmniej jako wiceprezes.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w europarlamencie. Sensacja, rewelacja, będą szczepienia dla europosłów. Już w marcu. Na początek tych 65+, chyba że ktoś jest poważnie chory, wtedy 60+. To pierwszy powód do zadowolenia. Drugim jest to, że w czasie pandemii nie odbywają się posiedzenia w Strasburgu. Martwi się tylko Francja, która za każdą nasiadówkę w Strasburgu inkasowała konkretne pieniądze.

Z kolei eurobracia Węgrzy nie są szczęśliwi. Aktualnie. Po opuszczeniu Europejskiej Partii Ludowej wybrali bowiem los pariasów, to znaczy do żadnej grupy na razie nie wstępują. Więc nic nie mogą ani nigdzie nie będą jeździć. Nawet jak się zaszczepią.

Feministki chcą zamiast pierwszej komunii świętej wprowadzić świecką ceremonię rozkwitania. Pojawia się więc pytanie, czy będą też organizować ceremonię przekwitania.

Mamy też własny pomysł na nową świecką ceremonię dla dzieci. I jakże postępowy! To uroczysta ceremonia zmiany płci. Oczywiście także mile widziane są prezenty w postaci zegarków, laptopów i rowerów. Tylko na rowerze trzeba by jeździć dopiero jakiś czas po ceremonii.

Wspieramy także inicjatywę Rafcia Trzaskowskiego, który chce zbudować w Warszawie najdłuższą na świecie kładkę dla pieszych i rowerów. Postulujemy zbudowanie jej wzdłuż Wisły.

Rada Języka Polskiego objęła patronat merytoryczny nad dziwacznym raportem, wedle którego nie można już mówić „homoseksualizm" albo „biseksualizm", gdyż końcówki -izm „budzą negatywne skojarzenia związane z chorobą lub zaburzeniem". To prawda. Na przykład komunizm.

Z raportu dowiecie się też, że zamiast „homoseksualista" należy mówić „osoba homoseksualna". Odnotowane. Będziemy także zamiast „futbolista" mówić „osoba futbolalna". ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

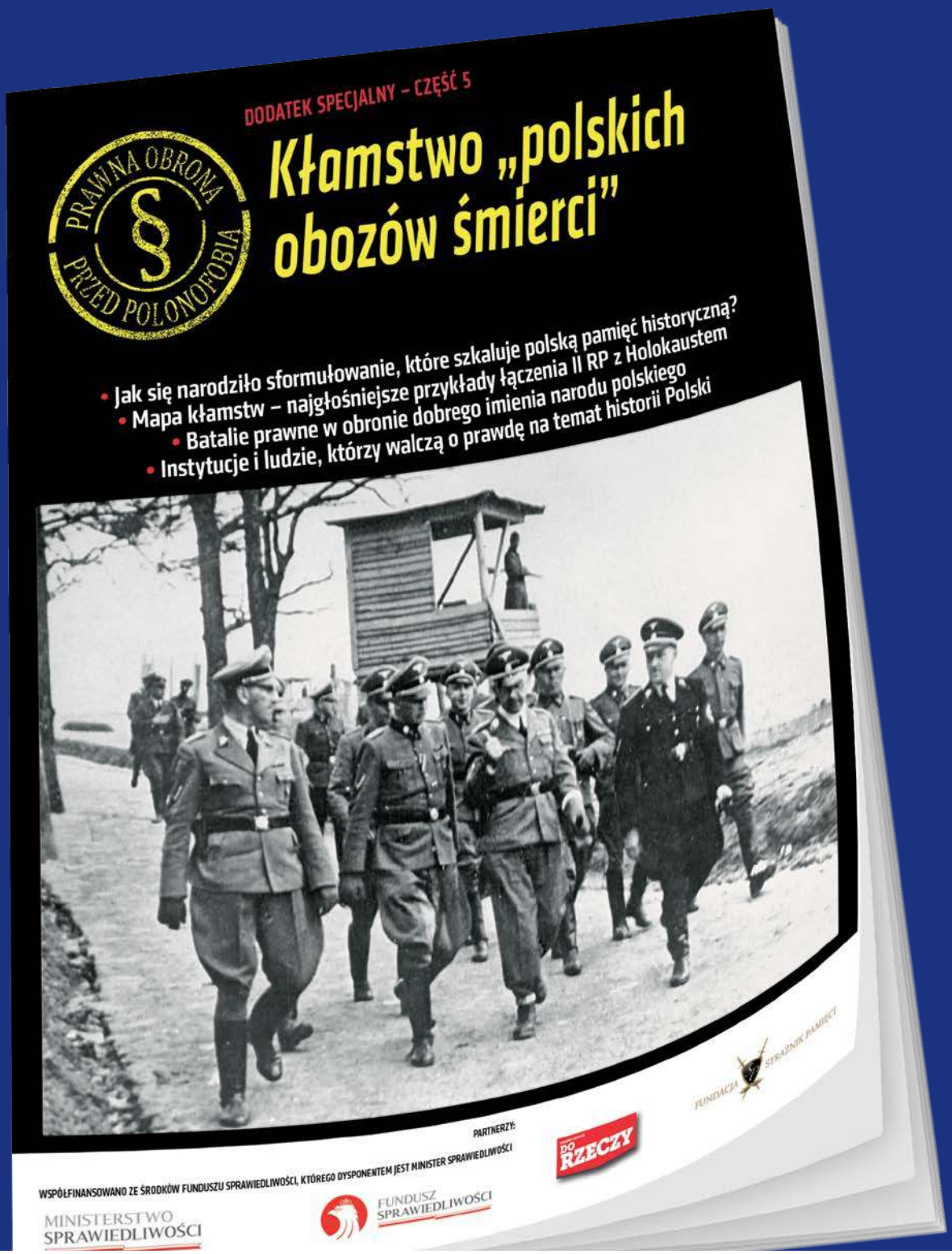

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwości.gov.pl

Bohaterowie rewolucji

Małgorzata Wołczyk

Zachodnie media chwalą Martę Lempart, Barta Staszewskiego czy „Margota". To bowiem pionierzy, którzy mają pomagać zmienić krnąbrnych rodaków w wyznawców nowego orwellowskiego świata

Wszyscy wiemy aż za dobrze: Europa spogląda na nas wyniośle, bo nie chcemy przystąpić do nowej, postępowej religii. Skoro są kapłani (elity i przywódcy unijni), skoro są dogmaty („będziesz ubóstwiał mniejszości i ideologię gender"), to każdy głos sprzeciwu pachnie herezją, na którą znajdzie się odpowiedni paragraf nieświętego oficjum naszych czasów.

A przecież, aby znaleźć się w klubie lepszych Europejczyków, wystarczy tak niewiele: trzeba zaangażować się w promocję tego, co skrywają literki LGBTI+, i być szyderczym wobec tego, co ukryte w znaku krzyża. I dlatego wielu Polaków boi się, że peleton nowoczesności odjedzie, a my zostaniemy „po złej stronie historii". Trzeba więc pedałować co sił, aby załapać się do awangardy postępu i to niezależnie od tego, dokąd zmierza. Pozostańmy przy tej rowerowej metaforze, to właśnie guru młodocianej lewicy – Che Guevara – wyraził się nadzwyczaj obrazowo: „Rewolucja jest jak rower, jeśli nie pedałuje, to pada". Oczywiście chodziło mu o rewolucyjny impet walki, inna

eprasa.pl 348985e4fc

Marta Lempart jest hołubiona w mediach, które mają nadzieję na zmiany polskiego społeczeństwa FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

rzecz, że dwuznaczności w polszczyźnie płodzą wiele znaczeń.

POMOCNI W KOLONIZACJI

Pionierzy nowego, orwellowskiego świata będą się cieszyć ogromnym powodzeniem. To oni mają pomóc kolonizować krnąbrnych rodaków, czyli „Irokezów Europy", jak nazywał nas król pruski. I dlatego Marta Lempart, Bart Staszewski czy „Margot" będą maskotkami w mediach Zachodu. Do tych dyżurnych bojowników „o wolność i prawa kobiet oraz osób LGBT" dołączają z doskoku Klementyna Suchanow, Agnieszka Graff, aktywistki z Aborcyjnego Dream Teamu. Także szeregowi aktywiści feminizmu i lobby LGBT, którzy nie stracą żadnej okazji, aby wypłakać się na obcym ramieniu w blasku fleszy. Tak było w przypadku Piotra Grabarczyka, który w reportażu hiszpańskiej publicznej TVE uosabiał los wielu ponoć prześladowanych w Polsce gejów, którzy po reelekcji prezydenta Dudy musieli nagle spakować się i rozpocząć życie na wygnaniu. Rządy prawicy w Polsce sytuują nas w kręgu państw budzących zarówno przerażenie, jak i współczucie wśród progresywnej publiczności Europy.

Anja Rubik, odcinając kupony od kariery modelki, zawsze jest gotowa przybliżyć sytuację w Polsce pod hasłami „walki z obskurantyzmem". Francuski tygodnik kulturalny „Télérama" donosił, że „w Polsce eksplodowały AIDS, kiła i ciąża wśród nastolatek", a wszystko to przez „ataki ultrakonserwatystów, którzy ograniczają aborcję i penalizują edukację seksualną". Ale na szczęście piękna Anja podjęła się działalności misyjnej w ciemnogrodzie, jej kampanie informacyjne ratują życie i zdrowie seksualne rodaków. Piękna i wyzwolona Rubik robi za listek figowy w tym skansenie zapóźnienia, więc nie wzdraga się nawet, żeby opowiedzieć brytyjskiemu „The Times Magazine" o swoich pierwszych doświadczeniach seksualnych w wieku siedmiu lat… z misiem, czyli o urokach masturbacji.

Marta Lempart peregrynuje po mediach Zachodu niczym „nowy Wałęsa", jak okrzyknęła ją prof. Środa. Tyle tylko że podobieństwa tkwią gdzie indziej: zarówno Wałęsa, jak i Lempart mają skromne zasoby intelektualne przy nieprzeciętnie wybujałym ego. Jednak przecież nie o intelekt czy urodę chodzi w rozdawnictwie tytułów i nagród. Brytyjski dziennik „Financial Times" uznał Lempart za jedną z najbardziej wpływowych kobiet 2020 r. (obok np. Ursuli von der Leyen), bo czas się przyzwyczaić, że nagradza się tych, którzy zgłosili akces do klubu nowej postępowej doktryny. Kto wyznaje jej dogmaty, ten może liczyć na konfitury ze stołu elit europejskich, a kto nie nadąża – ten faszysta i obskurant. Dlatego Bart Staszewski, człowiek od denuncjowania nieistniejących w rzeczywistości „Stref wolnych od LGBT", znalazł się na prestiżowej liście wschodzących liderów amerykańskiego magazynu „Time". Owszem, Olga Tokarczuk dostała Nobla już wcześniej, ale według nowego formatowania w wyłanianiu zwycięzców, dlatego jej przemowa w Akademii przypominała bardziej wyznanie wiary w nową religię, niż pachniała literacką weną. O dziwo, „Margot" jeszcze nie dostał nagrody, bo przycichł, zamiast uprawiać ze stachanowską wydajnością swoje rewolucyjne poletko.

PACIORKI LGBT

Arogancki paternalizm zachodnich elit żąda, aby Polska miała twarz Lempart albo Staszewskiego, bo lewica nie może wprost znieść, że istnieje kraj, w którym dochodzi do „zbrodniomyśli". I nagle jak w 1983 r. znów możemy śpiewać za Republiką piosenkę o totalnej uniformizacji: „Równe hasła w koło: równy bądź! Jeżeli jesteś ładna, to już jest źle, Centralny Wyrównywacz zmieni cię!". Nowość w tym, że Polacy, tak podobno miłujący wolność, nagle dali się zaprząc ochoczo do robót według zarządzeń „Centralnego Wyrównywacza" (mówiąc za Ciechowskim). Oto Bart Staszewski został parę miesięcy temu wybrany do programu Liderzy Fundacji Obamy, a w nim – jak czytamy – „w ramach sześciomiesięcznego programu ci europejscy twórcy zmian spotykają się co tydzień na interaktywnych wirtualnych sesjach, podczas których doskonalą swoje umiejętności przywódcze, budują głębokie relacje z małą grupą europejskich rówieśników i wraz z liderami oraz członkami społeczności Fundacji Obamy rozmawiają na temat sposobów inicjowania i napędzania zmian na dużą skalę". Niby wszystko zapisane w korpojęzyku, a rzecz stara jak podboje kolonialne. Hiszpański zdobywca Meksyku – Hernán Cortés – spacyfikował wysoko zorganizowane plemiona potężnych Majów i Azteków w zaledwie dwa lata, mając do dyspozycji tylko 500 żołnierzy, których zresztą sam opłacił i zaopatrzył w kilkanaście sztuk arkebuzów i kusz. Powodzenie błyskawicznego podboju polegało na zjednaniu do walki dyplomatycznymi zabiegami i wspólnymi interesami pomniejszych plemion Totonaków i Tlaskalanów chętnych do obalenia wroga na tym samym terytorium. I wtedy, i dziś znajdą się łasi na nowe paciorki, jakie oferuje kolonizator: lobby aborcyjne, lobby LGBT i feminizmu, aby rozstawić w Polsce swoje kramiki i sprzedawać usługi. Trzeba bowiem pamiętać, że w krajach spacyfikowanych przez nich wszędzie obowiązują szkolenia w perspektywie gender. W Hiszpanii sędzia czy nauczyciel musi na odpowiednim szczeblu kariery

eprasa.pl 348985e4fc

przejść szkolenie z zakresu traktowania mniejszości seksualnych w danym miejscu pracy, co pociąga oczywiście konieczność zatrudnienia na etat tysięcy aktywistów. Nawet architektura miejska i planowanie urbanistyczne musi uwzględniać perspektywę płci, dlatego np. w Madrycie głośna była sprawa wydania przez radę miejską miasta 52 tys. euro na oszacowanie przez „specjalistów", czy zakopanie budowanej trasy M-30 zgodne jest z polityką równości płci. Ekspertyza dowiodła, że zakopanie niesie przywileje dla transportu prywatnego, zdominowanego przez mężczyzn, czyli narusza prawa kobiet. Nie ma się więc co dziwić, że świat patrzy z nadzieją, aż Lempart i spółka otworzą sobie i im przy okazji wrota do ogromnego biznesu, zwłaszcza aborcyjnego, i zmienią mentalność Polaków.

EKSPORTOWE WYPOWIEDZI

Gościna, której udzielają im media Zachodu, jest znacząca. Zróbmy więc szybki przegląd co bardziej intrygujących eksportowych wypowiedzi naszych krzewicieli demokracji, zaczynając od mocnego uderzenia w amerykańskim tygodniku „The New Yorker". W tekście Mashy Gessen przewija się plejada naszych zatroskanych o prawa kobiet. Olga Tokarczuk zwierza się autorce, że „protesty traktuje także jako »zmianę cywilizacyjną«. Uczestnicy urodzeni po upadku komunizmu […] znają języki obce i doskonale wiedzą, co oznaczają prawa człowieka i obywatela w XXI wieku". Komentarz literatki odnośnie do wulgarnego języka nieco zaskakuje: „tego gniewu nie da się lepiej wyrazić". Zaś Agnieszka Holland obawia się, „że rządzący w Polsce demagodzy są gotowi zmienić prawo wyborcze, aby uniemożliwić ich usunięcie". I określiła Kaczyńskiego jako „populistycznego sadystycznego dupka z narcystycznymi skłonnościami". Suchanow zwierza się autorce, że pośród wielu grup roboczych i eksperckich w ramach OSK powstał też zespół „No Pasarán", który skupia się na „defaszyzacji Polski".

Przenieśmy się teraz do brytyjskiego „The Guardian" z 3 grudnia 2020 r., gdzie znów spotkamy Agnieszkę Graff, która kreśli tło heroicznej walki Polek „o prawa człowieka", mocno limitowane na przestrzeni dekad, aby zadowolić dzierżących realną władzę: polskiego papieża i Kościół. Zadziwia, skąd ma dane o tak astronomicznej liczbie nielegalnie usuwanych ciąż: „70 tys.–200 tys.", skoro nikt nie prowadzi rejestru aborcji na czarnym rynku. I to w skali roku? Cóż za bzdura, skoro w Hiszpanii przy najbardziej liberalnym prawie i zabiegach gratis usuwanych jest 100 tys. dzieci rocznie. To jednak typowe zagranie feministek pod każdą szerokością geograficzną, aby zawyżać dane, sugerując konieczność „uregulowania" rynku. W „The Guardian" pojawia się jedna z eksportowych celebrytek aborcyjnych – Karolina Węckiewicz, reprezentująca Aborcyjny Dream Team, czyli w skrócie sławetne entuzjastki od akcji „Aborcja jest OK". One także okazują się wdzięcznymi rozmówczyniami w mediach zagranicznych. Ileż traumy może się czaić w braku możliwości pozbycia się własnego dziecka szybko i skutecznie! Ileż „charytatywnej" pomocy ze strony aborcyjnych komandosek dla kobiet poszukujących ostatecznego rozwiązania problemu!

We wrześniu na stronach BBC opublikowano artykuł pt. „W polskich strefach wolnych od LGBT", w którym negatywnym bohaterem jest redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz „Gazety Polskiej" i wlepki „GP", a pozytywnym Bart Staszewski, który sporo ma do powiedzenia o atmosferze strachu panującej w kraju: „Wielu Polaków będących gejami, lesbijkami i transpłciowymi wyemigrowało, aby uniknąć prześladowań". Pojawia się też wzmianka o „Margocie": „Kiedy pytam Margot, czy sama opowiada się za użyciem przemocy, jej nastrój się zmienia, a ona odpowiada strumieniem przekleństw. »Ludzie, którzy nie wiedli życia w społeczności LGBT w tym kraju, nie powinni nas oceniać!« – mówi ze złością".

Francuski „Charlie Hebdo" komentując wydarzenia w Polsce, wypuścił rysunek w ohydnym stylu: kobiece krocze zamurowane krzyżem. Laure Daussy opublikowała 5 lutego 2021 r. długi artykuł, w którym Marta Lempart jest podziwu godną heroiną walk o liberté: „Kiedy ją spotykamy, mówi nam, że jest zagrożona, musiała się przeprowadzić". Oczywiście zagrażają jej skrajna prawica i polscy fundamentaliści – ulubione słowo na określenie katolików w Polsce. Na francuskich stronach „Euronews" Lempart zapewnia czytelników, że chodzi o walkę „o fundamentalne prawa człowieka i wolność sądów". Włoska „La Stampa" z 29 stycznia 2021 r. pochyla się nad jej niedolą: „Grozili jej śmiercią neonaziści, zastraszana przez policję, oczerniana i obrażana przez kontrolowane przez rząd media, ale Marta Lempart wciąż tu jest z nieodłącznym megafonem w dłoni, na czele każdego marszu protestacyjnego […] i przewodniczy wartościom polskiej demokracji".

Od stycznia zmienia się ton i można już odnotować focha Lempart za opieszałość i pasywność UE w polskiej sprawie, dlatego wiele dzienników będzie przytaczać jej pełne goryczy słowa: „UE nas opuściła, ale zwycięży solidarność kobiet".

„La Repubblica" zanosi się od krytyki „suwerenno-klerykalno-prawicowego rządu", który przejął media i władzę sądowniczą. „Dzięki umiejętnym argumentom prawnym opartym na oskarżeniach o pospolite przestępstwa w rzeczywistości procesy polityczne wracają do Europy Środkowej […]. Konferencja Episkopatu Polski, opanowana w większości przez skrajnych konserwatystów, jest daleka od papieża Franciszka, homofobiczna i nieprzejednana w kwestii aborcji". Hiszpański lewicowy „El Periódico" zachwyca się energią ruchu i cytuje Klementynę Suchanow: „Mobilizuje się cała Polska, nie tylko Warszawa, jesteśmy gotowe! Skoro mówimy o piekle kobiet, to możemy już mówić o piekle rządu. Ugotujemy ich w piekle!". Suchanow zostaje też bohaterką artykułu Pauli Chouzy w „El País" z 7 marca: „Dorastała w małym miasteczku na Śląsku, na południu kraju, silnie uprzemysłowionym, tradycyjnym i w kulturze macho. »15 dnia każdego miesiąca, kiedy pracownicy otrzymywali wynagrodzenie, my, dziewczyny, wiedzieliśmy, że nie możemy wyjść na ulicę. Miasto było pełne pijanych mężczyzn«. […] »Pandemia została wykorzystana do łamania praw kobiet«" – mówi telefonicznie z Warszawy.

Tak powstają na Zachodzie nowe produkcyjniaki, w których wichrzyciele są nagle obrońcami demokracji, a wulgarna lesbijka – „wolnością wiodącą lud na barykady". Nie dajmy się jednak zwariować z powodu przekazu mediów „wyborczopodobnych". Owszem, w sytuacji, gdy te „elity" zmonopolizowały kanały komunikacji i niszczą lub cenzurują debatę, sprawa nie napawa optymizmem. Ale doprawdy, nasz naród umiał gimnastykować myśl i sumienie samodzielnie nawet w czasach, gdy po Europie krążyło widmo komunizmu i faszyzmu. Infantylizm dzisiejszych totalistów – wcześniej czy później – też będzie miał swe dni policzone.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. HENRYK PRZONDZIONO/GOŚĆ NIEDZIELNY/FORUM

Z prof. Ryszardem Legutką, europosłem PiS
rozmawia Wojciech Golonka

Polska znów rzuca wyzwanie despotyzmowi

eprasa.pl 348985e4fc

WOJCIECH GOLONKA: Parlament Europejski debatuje nad rezolucją mającą ogłosić Unię Europejską „strefą wolności LGBTIQ". To obecnie główne zmartwienie Unii?

RYSZARD LEGUTKO: Właściwie tak. Niezależnie od bieżących kryzysów, dżumy, działań Putina nic tak nie absorbuje europosłów jak kwestie LGBT, aborcji czy homomałżeństw. To są ich stałe tematy, mogą o tym mówić nieustannie, co uwydatnia jednak dość szczególny stan umysłu – monoideologię, która osiągnęła poziom fanatyzmu. Rezolucja ma z jednej strony dać upust ich ideologicznej pasji, a z drugiej urządzić seans nienawiści wobec tych wszystkich „złych", wśród których oczywiście przoduje Polska.

LGBT to jest więc obecny priorytet Unii Europejskiej, popierany przez wszystkie główne siły polityczne w europarlamencie, włączając w to tzw. konserwatystów, czyli Europejską Partię Ludową. Są oni najsilniejszą grupą parlamentarną, lecz konserwatystami dawno być przestali, bo ideologię LGBT, a także inne lewicowe ideologie kupili, a w zasadzie im się podporządkowali. Poza pojedynczymi posłami i mniejszymi grupami politycznymi mamy w Europie jednolity front. Kto ma inne stanowisko, ten spotyka się z obelgami. Natomiast głos tego głównego nurtu jest monotonny, intensywny i ogłuszający.

W jaki sposób kwestie onegdaj marginalne stały się przedmiotem potężnego sojuszu zrzeszającego wielkie korporacje, uniwersytety, media i polityków?

Jeśli chodzi o korporacje, to przedsiębiorcy zwykle przyjmują dominujący punkt widzenia, co ułatwia im działanie. A ponieważ główny nurt jest dzisiaj tak potężny i wygląda na bezalternatywny, to nie tylko go nie kontestują, lecz także jeszcze się doń dołączają. Łożą wielkie pieniądze na marsze równości czy akcje promocji ideologicznej i chwalą się tym. Taka postawa jest dość konsekwentna u przedsiębiorców.

Pamiętajmy, że w niemieckiej III Rzeszy wielkie konsorcja bez specjalnych oporów popierały narodowy socjalizm, i to niekoniecznie dlatego, że były przymuszane, ale dlatego, że widziały w tym interes. Gdyby w Związku Sowieckim istnieli prywatni oligarchowie, to myślę, że też staliby się komunistami – co dziś doskonale widać w Chinach. To akurat nie jest nowością. Gdyby układ sił był inny, gdyby społeczeństwa zachodnie były bardziej zróżnicowane i zrównoważone, to część dużych firmy niekoniecznie angażowałaby się sercem i duszą tylko po jednej stronie.

W środowiskach akademickich jest podobnie. Od dłuższego czasu obserwujemy tam silną skłonność lewicową. Akademicy, mówiąc delikatnie, nie są najodważniejszymi ludźmi na świecie i lubią działać w stadzie. Niestety, polskie środowisko akademickie, które przecież powinno pamiętać czasy jedynej wyłącznej ideologii, nie podchodzi odpowiedzialnie do dzisiejszych zagrożeń ideologicznych. Wystarczy przytoczyć nieprzyjemne i kompromitujące oświadczenia Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich czy wprowadzanie poprawnościowej ideologii przez różne ciała kolegialne. Akademicy robią to sami z siebie, nikt ich do tego nie nakłania. I nikt się nie wyłamie.

Im dłużej będą trwać takie kraje jak Polska czy Węgry, stanowiące alternatywę, tym większe szanse, że inni nabiorą śmiałości

Gdyby jakaś uczelnia oświadczyła, że gender jest kompletną bzdurą, wymyśloną przez część humanistyki, niemającą nic wspólnego z nauką i jest stanowiskiem niebezpiecznym, ponieważ wprowadza cenzurę i tłumi niezależne badania, wówczas taka uczelnia byłaby natychmiast skończona, wszystkie kontakty zostałby z nią zerwane, a ona sama zostałaby potępiona; jest więc oczywiste, że nikt się na taki krok nie odważy. Niektórzy będą milczeć, inni udawać, że nic się nie dzieje, a jak przyjdzie co do czego, pójdą z tłumem, tak jak chodzono na pochody pierwszomajowe.

W jakim pójdą kierunku?

Powszechny przekaz jest taki, że dzisiejszy świat jest taki, jaki musi być, i to jest dobre. Dlaczego dobre? Bo się mówi, że żyjemy w czasach, w których broni się wielości i otwartości. Oczywiście jest to kłamstwo, ale kłamstwo, które wielu rozbraja intelektualnie. Jeżeli ktoś powie: „Mieliśmy do tej pory dwie płcie, a teraz mamy 50 genderów, a więc który świat jest bardziej mnogi?", to niezbyt refleksyjny akademik czy dziennikarz powie: „No oczywiście ten dzisiejszy, mamy obecnie 50 genderów, otwórzmy się na wielość". Tyle tylko że tzw. otwarcie wymaga przeprowadzenia brutalnej operacji. Naszą cywilizację i kulturę zbudowały dwie płcie i czyniły to od czasów niepamiętnych, stąd podział na mężczyzn i kobiety utrwalony jest we wszystkim – w języku, w sztuce, nauce, obyczaju, najbardziej naturalnych reakcjach, wszędzie.

I teraz, żeby wprowadzić te 50 genderów, trzeba to wszystko zdezawuować i zniszczyć. Wymaga to z kolei swoistego terroru, cenzury i indoktrynacji; im wcześniej, tym lepiej, już od przedszkolaków, i możliwie głęboko. Kultura oparta na istnieniu dwóch płci, a więc praktycznie cała kultura zachodnia, jest więc wrogiem, którego należy unieszkodliwić. Te 50 genderów ma otaczać człowieka przez cały czas – w piosenkach, w książkach, w rozrywce, w kulturze masowej. Wszystko musi być zapełnione. Lecz zmiana ta polega na likwidowaniu cech różnicujących ludzi, bo one w większości są niepoprawne, niewłaściwe, dyskryminujące, reakcyjne, wykluczające itd.

Wskutek masowej destrukcji widzimy zamiast otwartości coraz więcej ludzi nieodróżnialnych od siebie, którzy unisono wrzeszczą, jacy to oni są zróżnicowani i jak kochają otwartość. A im bardziej cenzurują i biorą za twarz, tym bardziej się szczycą swoją tolerancją, zaś wszystkim, którzy sądzą inaczej, mówią: my jesteśmy tolerancyjni, więc wam te nietolerancyjne faszystowskie mordy zamkniemy. Tak to mniej więcej wygląda.

Gdy spojrzę na miejsce, w którym pracuję, czyli Parlament Europejski, to widzę przeszło 500 posłów z głównych partii, popierających „strefę wolności LGBT" w całej Europie, którzy się właśnie niczym między sobą nie różnią, mówią to samo, tym samym językiem, sądzą to samo na każdy temat.

I to jest obraz dzisiejszego świata i Unii Europejskiej. Rządzi nami tyrania większości, nie tylko w Unii, lecz także w całym świecie zachodnim, poza niektórymi krajami, takimi jak Polska. I z tego powodu – nie z innego – Polska stała się przedmiotem ataków. Front ideologiczny opanował właściwie wszystkie instytu-

eprasa.pl 348985e4fc

cje, które nie mając żadnej przeciwwagi, mogą robić, co chcą.

Weźmy „strefę wolności LGBT w całej Europie". Artykuł 9 Karty praw podstawowych Unii Europejskiej jasno stanowi, że sprawy związane z małżeństwem i rodziną są rozstrzygane przez prawodawstwo krajowe. Zatem gminy, które ogłosiły w Polsce kartę na rzecz obrony rodziny i małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny, pozostały w całkowitej zgodzie z polskim prawem (które to przecież głosi!) oraz stały na gruncie Karty praw podstawowych UE. No i co? I nic! Ta rezolucja jest gwałtem na Karcie, której dzisiejsi fanatycy oddają cześć, którą sami przyjęli, lecz którą teraz bezwstydnie gwałcą i nic się nie da z tym zrobić. Zaskarżyć w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej? Przecież tam rządzą tak samo myślący ludzie, więc zawsze znajdą jakiś kruczek, aby ewidentny gwałt na prawie wybronić.

To samo dotyczy aborcji... Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w Polsce oni oszaleli, co się tam działo w tym Parlamencie Europejskim: „Prawa kobiet, prawa kobiet!". Ani jednak w powszechnej Deklaracji praw człowieka, ani w Europejskiej konwencji praw człowieka, ani w europejskiej Karcie praw podstawowych nie ma czegoś takiego jak „prawa kobiet" czy „prawa reprodukcyjne". To kolejna ideologiczna konstrukcja i pałka dla inaczej myślących. Powtórzę: mamy do czynienia z przerażającą dyktaturą większości. Oni nie biorą jeńców ani zakładników… Nie chcą żadnego kompromisu, żadnej rozmowy! Oni domagają się bezwarunkowej kapitulacji.

W niedawnym wywiadzie dla „Le Figaro" dostrzegł pan jednak światełko nadziei w naszej europejskiej kulturze.

Jednym z problemów z tymi ludźmi jest to, że zostali zdekulturowani. Być może ma to związek z upadkiem edukacji czy z daleko idącą w skutkach rewolucją 1968 r., która zerwała ciągłość kultury europejskiej, oskarżając ją o niesprawiedliwość, wyzysk, dyskryminację, faszyzm i inne grzechy. Rewolucja minęła, ale rozpoczęły się zmiany w przestrzeni publicznej, w nauczaniu, i to jest coraz bardziej wyraźne. Ludzie rządzący dzisiaj Europą nie znają kultury europejskiej, uważają natomiast, że jest ona niebezpiecznym nośnikiem dyskryminacji i faszyzmu – to jest myślenie podobne do tego, jakie mieliśmy za komuny. Teraz mamy cancel culture, która oficjalnie każe wszystko odcinać. Pojawi się byle prymityw napakowany prymitywną ideologią i powie z pogardą: Won! Sienkiewicz, won! Prus, won! Bo to antysemici, mizogini – oto ich stosunek do kultury.

LGBT to obecny priorytet UE, popierany przez wszystkie główne siły polityczne w europarlamencie, włączając w to tzw. konserwatystów

Tymczasem kultura europejska jest najwspanialszą, jaka powstała w historii ludzkości, i żeby nie ulec barbarzyństwu, trzeba się znowu na nią otworzyć – na starożytność, na chrześcijaństwo, na całe to dziedzictwo. Człowiek, który jest uformowany przez tę kulturę, nie będzie przyzwalał na dzisiejsze zmiany rewolucyjne, bo będzie czuł do nich odrazę, do tego języka, do wyobrażeń, do ideologicznego prymitywizmu. Jak tego dokonać? Jest to niezwykle trudne wyzwanie, ale nie można się poddawać. My, Polacy, którzy przeżyliśmy komunizm, zwłaszcza ludzie starszej generacji, tacy jak ja, pamiętają ówczesne przeświadczenie, że komunizm będzie trwał wiecznie. Coś się jednak udało zdziałać, a komunizm w końcu upadł. Trzeba zatem odrzucić kapitulancki pogląd o nieuchronności obecnych procesów; świat należy do nas i trzeba śmiało starać się go formować na tyle, na ile potrafimy. W społeczeństwach zachodnich jest wielu ludzi, którzy patrzą z przerażeniem na rosnący despotyzm. Trzeba wytrwać do momentu, kiedy te oddolne ruchy na tyle się wzmocnią, że władza dzisiejszego monopolu zostanie zachwiana. Im dłużej będą trwać takie kraje jak Polska czy Węgry, stanowiące alternatywę, tym większe szanse, że inni nabiorą śmiałości.

Czy w Polsce działania polityczne na rzecz tej kulturowej kontrofensywy są wystarczające?

Oczywiście zawsze można zrobić więcej, ale nie sądzę, że to jest tylko sprawa rządu. Rząd ma, owszem, kluczowe zadanie, bo dostarcza ochrony i steruje zmianą. To przecież nie wszystko. Zwróćmy uwagę na media. W Polsce mamy wielką nierównowagę na rzecz lewicy, ale jednak 25–30 proc. mediów jest konserwatywnych, co w ogóle jest fenomenem na skalę europejską i nigdzie indziej tego nie ma. A one przecież nie zostały stworzone przez rząd. Są więc środowiska, które tworzą i działają, a skutek jest imponujący. Ten alternatywny nurt może się rozszerzać, choć oczywiście wsparcie dla drugiej strony pozostaje kolosalne i bezwzględne. Łatwo więc nie będzie, tym bardziej że Polska jest tylko średnim krajem, a w dodatku duża część Polaków cierpi na wielowiekowy syndrom targowicy, mocno zakorzenione w polskim charakterze przekonanie, że Polską powinien rządzić podmiot zewnętrzny. Jest to choroba, która już tyle razy sprawiała, że jako naród i państwo upadaliśmy. Na szczęście są też tacy, którzy sądzą inaczej, i dzisiaj to oni decydują.

Musimy więc wspierać działania sił suwerennościowych, bo to jest sprawa epokowa. Jeśli ten despotyzm ogarnie wszystko, to będziemy mieli nowy wspaniały świat, w którym możliwości buntu będą znacznie mniejsze niż w „Roku 1984" Orwella. Uczynię analogię do Solidarności: w tamtych czasach staliśmy się na pewien okres centrum wydarzeń światowych jako pierwszy wielki zorganizowany ruch przeciw systemowi komunistycznemu, który wówczas ogarniał znaczną część globu. Myślę, że dzisiaj Polska też jest takim krajem, który rzuca wyzwanie despotyzmowi innemu, znacznie mniej brutalnemu, lecz również niebezpiecznemu. Trzeba sobie zdać sprawę ze stawki, która jest przed nami. To nie jest zabawa. Żyjemy nad przepaścią. Jeśli zmieniłaby się władza w Polsce, to przed nami jest przepaść, rzucą nas w te ideologiczne okowy i znowu, mówiąc symbolicznie, trzeba będzie iść do lasu w partyzantkę. Na razie jednak mamy jeszcze dobrą pozycję, którą trzeba obronić. To nie jest tylko sprawa ogólnonarodowa, lecz także ogólnoeuropejska. Na naszym kontynencie to my jesteśmy tymi, którzy Europy bronią, a ci, którzy ją atakują, to m.in. Komisja Europejska czy Parlament Europejski. Ten ostatni jest zresztą instytucją całkowicie absurdalną, ale to już temat na inną rozmowę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

Przedwyborczy poligon

Solidarna Polska poparła kandydującego w Rzeszowie wiceministra sprawiedliwości Marcina Warchoła FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

PiS postawił na Ewę Leniart, będącą wojewodą podkarpackim FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

Maciej Pieczyński

Wybory prezydenta stolicy Podkarpacia mają dla ogólnopolskiej polityki większe znaczenie, niż mogłoby się wydawać. Mogą okazać się testem jedności i politycznej siły zarówno dla władzy, jak i opozycji

Tadeusz Ferenc ogłosił 10 lutego rezygnację ze stanowiska prezydenta Rzeszowa. Był nim od 19 lat. Ostatnie wybory wygrał w pierwszej turze, uzyskując ponad 63,78 proc. głosów – ponad dwa razy więcej niż drugi na mecie Wojciech Buczak, kandydat PiS. Ferenc od samego początku związany był z SLD. Jednak, zwyciężając w cuglach kolejne wyścigi po fotel prezydenta swojego miasta, jak to bywa na szczeblu samorządowym, stopniowo uniezależniał się od swojego macierzystego ugrupowania. W wyborach prezydenckich 2015 r. poparł kandydata PO. Był jednym z założycieli komitetu wyborczego Bronisława Komorowskiego. Bezskutecznie (już po raz drugi) ubiegał się o mandat senatora, tym razem już jako kandydat niezależny. W 2019 r. ostatecznie odszedł z SLD. Rok później poparł w wyborach prezydenckich Władysława Kosiniaka-Kamysza. I znów jego faworyt w skali ogólnopolskiej przegrał. Rezygnując ze stanowiska, Ferenc nieoczekiwanie namaścił na swojego następcę wiceministra sprawiedliwości Marcina Warchoła, posła Solidarnej Polski z Podkarpacia, wybranego do Sejmu z okręgu rzeszowskiego właśnie.

Polityk zapowiedział rezygnację z członkostwa w Solidarnej Polsce. Oczywiście, tylko teoretycznie, bo w praktyce partia Zbigniewa Ziobry już udzieliła poparcia Warchołowi, deklarując przy tym, że uszanuje jego decyzję, by startować jako kandydat niezależny z poparciem wciąż pełniącego obowiązki prezydenta Ferenca. Wiceminister sprawiedliwości nie cieszy się jednak politycznym błogosławieństwem Jarosława Kaczyńskiego. Wybory prezydenta Rzeszowa będą więc kolejnym polem starcia między PiS a Solidarną Polską. Warchoł twierdzi, że Ziobro o jego kandydaturze rozmawiał z Kaczyńskim trzykrotnie. Bezskutecznie. „Skoro pan minister nie przekonał do mnie pana prezesa, to startuję jako kandydat obywatelski i niezależny" – przyznał w wywiadzie dla Interii.

PiS już ma swojego kandydata. Jest nim Ewa Leniart, pełniąca urząd wojewody podkarpackiego. Podobnie jak jej konkurent z Solidarnej Polski jest prawnikiem. Była dyrektorką rzeszowskiego oddziału IPN. Leniart startuje z poparciem PiS, ale z własnego komitetu. Powód dość oczywisty w kontekście kampanii wyborczej kandydata prawicy w dużym mieście. Poparcie ze strony obozu rządzącego prezentuje jako atut, ale nie ze względów ideowych,

eprasa.pl 348985e4fc

tylko pragmatycznych – podkreśla, że jako polityk PiS najskuteczniej może zadbać o pieniądze z rządu na rozwój Rzeszowa.

CO POWIE TO ZWYCIĘSTWO?

Podkarpacie to region tradycyjnie głosujący na prawicę, jednak w Rzeszowie, w porównaniu z całym województwem, wyraźnie słabsze wyniki ma prawica, a lepsze – partie opozycyjne. Zdobycie Rzeszowa mogłoby więc zostać zinterpretowane jako symboliczny przełom dla całego kraju. Według niedawno opublikowanej prognozy Ogólnopolskiej Grupy Badawczej do drugiej tury trafi Marcin Warchoł i któryś z kandydatów opozycji. Gdyby zaś opozycji nie udało się porozumieć w sprawie wspólnej kandydatury, rozdrobnienie głosów mogłoby zagrać na korzyść Zjednoczonej Prawicy. Wówczas w drugiej turze spotkaliby się Warchoł i kandydat PiS (w momencie publikacji prognozy OGP nie było jeszcze pewne, czy będzie nim Ewa Leniart). – A gdyby w wyborach ostatecznie wygrał polityk Solidarnej Polski, to już widzę sensacyjnie brzmiące nagłówki: „PiS przegrał w stolicy Podkarpacia". Nie miałoby po pierwsze znaczenia, że przegrał z partią Ziobry, a po drugie – że Rzeszów to miasto, które od lat nie podziela poglądów silniej od niego prawicowego Podkarpacia – mówi prof. Rafał Chwedoruk, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego.

Zdaniem prof. UW Rafała Chwedoruka rywalizacja Leniart i Warchoła wpłynie znacząco nie tyle na losy Zjednoczonej Prawicy w następnej kampanii parlamentarnej, ile raczej na układ sił w jej ramach. – Pomiędzy starciem o fotel prezydenta Rzeszowa a kolejnymi wyborami może się wydarzyć bardzo wiele w ogólnopolskiej polityce – mówi „Do Rzeczy" prof. Chwedoruk. W jego opinii to jedna z ostatnich szans Solidarnej Polski na wzmocnienie swojej pozycji wobec PiS. – To, że partia Ziobry w ogóle jest jeszcze obecna na polskiej scenie politycznej, jest wyłącznie pochodną wyborów do Parlamentu Europejskiego w 2014 r. Wtedy to jedyny raz Solidarna Polska samodzielnie powalczyła o głosy. Zakończyło się to porażką, ale nie klęską. Udało się zdobyć prawie 4 proc. w dużym stopniu dzięki osobistej popularności lidera partii. Od tamtej pory widać wyraźnie, że Solidarna Polska jest co prawda zbyt słaba, by wejść do Sejmu bez pomocy PiS, ale mając polityków rozpoznawalnych dla części „żelaznego" elektoratu prawicy, może choć trochę pomniejszyć wynik PiS, startując samodzielnie – mówi prof. Chwedoruk. – Dlatego dziś Solidarna Polska musi znów udowodnić Jarosławowi Kaczyńskiemu, że jako samodzielny byt w polityce może zaistnieć przynajmniej lokalnie – dodaje.

– Plusem Warchoła w tej rywalizacji jest poparcie Ferenca – twierdzi prof. Antoni Dudek, politolog i historyk z UKSW. – Znamy podobny przypadek Katowic. Tam rządzący od kilku kadencji Piotr Uszok namaścił na swojego następcę Marcina Krupę. Ten jego zastępca wybory wygrał w cuglach. Nie wiadomo, jaką moc sprawczą będzie miał Ferenc, na ile wciąż jest popularny w Rzeszowie – dodaje. Zaznacza, że elektorat ustępującego prezydenta jest specyficzny. Na wieloletniego polityka SLD głosowali również ludzie odczuwający sentyment do PRL, choć, jak to w przypadku wyborów samorządowych często bywa, od poglądów na sprawy ogólnopolskie bardziej liczyła się sprawność w zarządzaniu miastem.

– Kandydatka PiS ma oczywiście większe zaplecze polityczne. Jeśli Warchoł z nią wygra, to tylko dzięki poparciu Ferenca i odcinaniu się od prawicowych poglądów. To, jak jego ewentualna wygrana wpłynie na jedność w Zjednoczonej Prawicy, będzie zależało od jego zachowania po wyborach – mówi prof. Dudek. Jego zdaniem wejście obojga kandydatów obozu władzy do drugiej tury będzie możliwe tylko w przypadku nieumiejętności wyłonienia wspólnego kandydata przez opozycję i oznaczałoby totalną klęskę tejże. Gdyby jednak udało się obozowi antypisowskiemu porozumieć, byłby to dla Zjednoczonej Prawicy wielki sygnał ostrzegawczy – bo skoro można dogadać się i wspólnie wybrać prezydenta Rzeszowa, to możliwe będą także sukcesy w skali ogólnopolskiej.

KOGO WYSTAWI OPOZYCJA

Opozycja nie ma jednego kandydata. Jak zwykle swoją ścieżką poszła Konfederacja, wystawiając wyrazistego Grzegorza Brauna. Wcześniej startował w przedterminowych wyborach na prezydenta Gdańska i niczego nie wywalczył. W stolicy Podkarpacia eksperci też nie dają mu wielkich nadziei. Partia Razem wystawiła Agnieszkę Itner, współorganizatorkę rzeszowskich Marszów Równości i Strajków Kobiet. Kandyduje też Maciej Masłowski, były poseł Kukiz'15, krewny Pawła Kukiza, z którym wcześniej współpracował w ramach inicjatywy Zmieleni.pl. Swój start zapowiedział także Kazimierz Rochecki, dawniej działacz Samoobrony, obecnie przewodniczący Rady Osiedla Śródmieście.

O współpracy rozmawiają PO, Lewica, ruch Hołowni i PSL. 7 marca odbyło się pierwsze takie spotkanie. Gospodarzem była Lewica. Jak informował lokalny portal Rzeszow-news.pl, ustalono wówczas zawężenie listy kandydatów i omówienie ich jeszcze w macierzystych ugrupowaniach. Wnioski mają być przedstawione na kolejnym spotkaniu. W tym czasie Platforma zaprezentowała swojego kandydata – Teresę Kubas-Hul. Próbowała sił w ogólnopolskiej polityce, ale bez sukcesów. Cztery razy bezskutecznie ubiegała się o mandat posła. Od 2006 r. za to przez trzy kadencje była radną sejmiku podkarpackiego z ramienia PO. W 2013 r. została wiceprezesem Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości. Szef wojewódzkiej PO, prezentując jej kandydaturę, wyraził nadzieję na to, że opozycja wystawi wspólnego kandydata.

W momencie, gdy ten numer „Do Rzeczy" oddajemy do druku, nic jeszcze nie wiadomo o tym, by pozostałe ugrupowania opozycyjne poparły działaczkę Platformy. Każdy ma swojego kandydata. Lewica chce postawić na Wiesława Buża, posła tego ugrupowania. PSL podtrzymuje kandydaturę Edwarda Słupka, prezesa spółdzielni mieszkaniowej. Ruch Hołowni przekonuje, że wspólnym kandydatem opozycji powinien być Konrad Fijołek ze stowarzyszenia Rozwój Rzeszowa, które w radzie miasta przez trzy kadencje tworzyło koalicję z PO, będąc zapleczem prezydenta Ferenca. Tę kandydaturę, według lokalnych mediów, są gotowe poprzeć również Lewica i PSL, a nawet część działaczy Platformy. Fijołek, jako teoretycznie bezpartyjny, za to doświadczony samorządowiec, miałby przyciągnąć szerszy elektorat. Tyle że PO niechętnie patrzy na kandydata spoza swoich struktur.

Wiele wskazuje więc na to, że zarówno Zjednoczona Prawica, jak i anty-PiS pójdą do tych wyborów podzielone. – Brak wspólnego kandydata byłby kolejnym dowodem na rozpad Zjednoczonej Prawicy – twierdzi prof. Antoni Dudek. – Te wybory to też poligon doświadczalny dla opozycji. Osobiście nie wierzę, by była w stanie wystawić jednego kandydata. Hołownia nie może pozwolić sobie na to, by popierać polityka Platformy, nawet na poziomie samorządowym.

Wybory w Rzeszowie planowane są na 9 maja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. UNIWERSYTET OPOLSKI

Z Patrykiem Jakim, politykiem Solidarnej Polski, eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Długi marsz przez zgliszcza

RYSZARD GROMADZKI: Parlament Europejski chce ogłosić Unię Europejską „strefą wolności LGBTIQ" ze wszystkimi konsekwencjami prawnymi i społecznymi tego faktu, m.in. w postaci legalizacji we wszystkich państwach Wspólnoty tzw. małżeństw homoseksualnych czy prawa do adopcji dzieci przez takie pary. Ta polityka jest bardzo silnie wspierana przez Komisję Europejską. Czy Polska jest w stanie skutecznie oprzeć się temu „dyktatowi równości"?

PATRYK JAKI: W tej chwili w Parlamencie Europejskim nie widzę takiej możliwości. Do osiągnięcia takiego celu potrzebne byłoby przeformatowanie naszej polityki zagranicznej i budowa nowych sojuszy. Parlament Europejski nie działa przecież w politycznej próżni. Polską politykę zagraniczną należałoby w tym kontekście „wymyślić na nowo", tak aby zbudować skuteczne sojusze przede wszystkim w Radzie Unii Europejskiej, bo tam leży klucz do wiążących rozstrzygnięć. Nie mam złudzeń, że jesteśmy w stanie płynąć w głównym nurcie, bo Niemcy zawsze będą wolały PO, co do której mają pewność, że nie będą przeszkadzać jej w realizacji nowej polityki postimperialnej w Europie. Dlatego planem minimum Polski powinno być zbudowanie politycznej elastyczności do budowy tzw. mniejszości blokującej w radzie.

To pozwoliłoby prowadzić z zupełnie innego poziomu dyskusję z Parlamentem Europejskim. Pamiętajmy, że nie ma on inicjatywy legislacyjnej. Dlatego w twardych sprawach normatywnych musi szukać zawsze porozumienia z radą. Trzeba się nauczyć tego skomplikowanego systemu i widzieć jego ewolucję. Konstrukcja władz Unii jest dosyć dziwacznym tworem, który zaprzecza europejskiej doktrynie trójpodziału władzy. Nie ma oczywistej władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej. W tej chwili raczej metodą faktów dokonanych wszystkie te trzy władze próbuje sobie przywłaszczyć Komisja Europejska, która jeszcze – jakby tego było mało – nie ma żadnej legitymacji od ludzi. Czym komplementarnie dopełnia gwałt na europejskiej doktrynie prawnej i traktatowej.

A mamy z kim budować te nowe sojusze?

Oczywiście. Jesteśmy dużym krajem, wiele państw ma interesy w Polsce. Uważam, że powinniśmy zacząć twardo tymi interesami grać. Polski rynek jest bardzo dochodowy dla wielu firm z zachodnich państw. Moim zdaniem nadszedł czas asertywnej polityki zagranicznej.

Czy powtarzające się deklaracje ze strony wysokich funkcjonariuszy Unii Europejskiej, takich jak przewodnicząca KE Ursula von der Leyen czy komisarz Věra Jourová, wiążące agendę LGBTIQ z tzw. mechanizmem praworządności, należy traktować wyłącznie jako polityczne szarże, czy mówimy o realnym instrumencie nacisku na kraje takie jak Polska, odrzucające tę agendę?

Nie miejmy żadnych złudzeń. To jest oczywista, realna groźba. Te procesy są w toku. Właśnie największe frakcje w europarlamencie złożyły poprawkę, żeby uzależnić wymianę informacji gospodarczych między państwami od kryterium praworządności. Kompletny absurd, ale wyraźnie widać, że to szaleństwo postępuje. Byłem również na prawicy bardzo ostro krytykowany, kiedy mówiłem, jak ta „praworządność" będzie wyglądała, powołując się na fakty, a nie myślenie życzeniowe. Solidarna Polska tym różni się od PiS i Porozumienia, że uważa zgody na ten mechanizm za straszny błąd. I niestety przykro nam, że każdy tydzień przynosi informacje potwierdzające, iż mieliśmy rację. Nie mam żadnych wąt-

eprasa.pl 348985e4fc

pliwości co do tego, że „pociąg inżynierii społecznej" czy tworzenia „Nowego Cesarstwa Niemieckiego Unii Europejskiej" będzie toczył się dalej. Ostatni wywiad grożącej Polsce przewodniczącej Jourovej nie jest przypadkiem. Uważam, że to zaplanowane działanie. Stoi za tym duża wizja tzn. master plan, o którym się nie mówi wprost. Ten projekt składa się z dwóch części. Pierwsza dotyczy inżynierii społecznej, która ma być uzupełnieniem projektu większego, czyli stworzenia superpaństwa – Stanów Zjednoczonych Unii Europejskiej. Unijni liderzy nie mówią o tym głośno, bo zdają sobie sprawę, że gdyby tak zrobili, skończyłoby się tak jak lata temu referendami, w których Francuzi czy Holendrzy odrzucali konstytucję dla Europy mającą być przyczynkiem do tworzenia państwa europejskiego. W związku z tym teraz ten sam projekt forsuje się metodą faktów dokonanych. Ten plan jest bardzo konsekwentnie realizowany. Każdego roku odbierane są kolejne kompetencje państwom członkowskim. Na przykład niewiele się mówi o tym, że tworzone są nowe ramy obronnej polityki europejskiej w postaci równoległej z NATO struktury dowodzenia. Wykorzystano tu moment, że Wielka Brytania, która zawsze blokowała ten proces, wyszła z Unii Europejskiej. Państwom Wspólnoty zabiera się kolejne kompetencje, jeśli chodzi o politykę rodzinną czy kulturalną, zdrowotną. Komisarz ds. równości Helena Dalli przyznała, że tworzy się prawo europejskie, które będzie stało nad krajowym prawem rodzinnym. Już w tej chwili w Polsce jest tak, że prawie 90 proc. legislacji przychodzi z Unii Europejskiej. W prawodawstwo, kulturę, sferę bezpieczeństwa i wiele innych obszarów bardzo agresywnie wchodzi państwo Unii Europejskiej. Przeciętny obywatel tego jeszcze nie widzi, tymczasem na naszych oczach dzieje się historia i to jest główny motyw działania Niemiec. Tu nie ma żadnego przypadku. To konsekwentna realizacja projektu „Bismarck 2", czyli niemieckiego dominium w Europie.

Pańskie środowisko polityczne nie ukrywa głębokiego sceptycyzmu wobec kierunku, w którym podąża Unia Europejska. Solidarna Polska mówi odrębnym głosem od reszty prawicy w wielu sprawach dotyczących naszych relacji z Unią. Powiedział pan ostatnio, że nie ma takiej możliwości, by Solidarna Polska głosowała za unijnym Funduszem Odbudowy. Jakie konsekwencje polityczne może mieć to twarde weto wobec projektu, na który mocno stawiają premier Morawiecki i PiS?

Fundusz Odbudowy to nazwa z kategorii PR. W rzeczywistości Sejm będzie głosował za decyzją o zasobach własnych, czyli de facto za uwspólnotowieniem długu. Co to oznacza? Polska będzie ręczyła swoim majątkiem za długi Grecji czy Włoch. Na podstawie tego tworzyć się będzie nowe europejskie podatki, które będą źródłem spłacania nowych pożyczek.

Jaki interes ma Polska w tym, żeby brać na siebie zobowiązania innych?

To słaby interes dla Polski, bo bez ręczenia za Grecję możemy sobie pożyczyć pieniądze na rynkach na takich samych zasadach, nie wprowadzając przy tym nowych podatków. Poza tym to nie są takie wielkie pieniądze, żeby ręczyć za Grecję na 30 lat do przodu. Co istotniejsze, uwspólnotowienie długów to kluczowy moment w procesie federalizacji Europy, dlatego my jako Solidarna Polska się temu przeciwstawiamy. Z tym wszystkim idzie w parze mechanizm praworządności lub – jak ja to nazywam – „leworządności", będący przełomową zmianą ustrojową w Unii Europejskiej, czego wiele osób nie widzi. To zmiana mająca większe reperkusje niż zmiany traktatów. Teraz każdą kompetencję państwa na podstawie rozporządzenia o mechanizmie praworządności będzie można zakwestionować pod pretekstem naruszania praworządności. W konsekwencji oznacza to odbieranie Polsce pieniędzy poprzez wpływ na każdy suwerenny obszar działalności państwa. Solidarna Polska nie przeciwstawia się jakiemuś funduszowi, bo pieniądze tak czy siak dostaniemy. Tu chodzi o fundamentalne zmiany ustrojowe. Co do konsekwencji politycznych naszego stanowiska – cóż, o tym będzie decydował nasz największy koalicjant. Nasza postawa w tej sprawie jest stanowcza. Uważamy, że ta koalicja powinna trwać, że ta konstelacja, która dziś rządzi, jest najlepszą konstrukcją. SP jest też lojalnym koalicjantem, w 99 proc. głosowaliśmy tak, jak chciał rząd. Jednak są też różnice pomiędzy nami, a władza nie jest celem samym w sobie. Jeżeli dzieją się rzeczy, z którymi się fundamentalnie nie zgadzamy, to nie będziemy okłamywali naszych wyborców.

Jak by pan opisał swoje doświadczenie pracy w Parlamencie Europejskim? Czy to coś w rodzaju zderzenia z górą lodową?

Jest ciężko. Tam chrześcijanin taki jak ja jest poddawany ciągłemu ostracyzmowi, presji, ośmieszaniu ze strony przygniatającej większości. Jednak mimo to jestem optymistą. Po latach rewolucji seksualnej 1968 r. ludzie byli już tak zmęczeni tym „róbta, co chceta", że do władzy zaczęli dochodzić wielcy konserwatyści, tacy jak Thatcher czy Reagan. Również dziś dziejąca się wokół nas rewolucja kulturowa zostawia za sobą zgliszcza. Jest popularna wśród młodzieży, ponieważ zwolennicy nieograniczonego permisywizmu, hedonizmu, nihilizmu czy łatwego podejścia do życia mają naturalną przewagę. Przedstawiają młodym proste recepty na życie. „Miej partnerów, ile chcesz, nie wiąż się nigdy na całe życie, jak masz związek możesz mieć dzieci, ale jak coś, nie przejmuj się za bardzo, bo można dokonać aborcji. Wstrzemięźliwość seksualna, odpowiedzialność czy rodzina to przestarzałe »zabobony«. Kościół ci niepotrzebny, sam wiesz lepiej, co to dobro i zło. Nie ma zresztą jednego dobra i zła. Każdy ma swoje. Niepotrzebne ci państwo, socjal – sam sobie poradzisz. Po co ci stare zwyczaje, stary ład? Idź na ulice i krzycz »Dziadersi – wypierd....«". I teraz do takiego młodego człowieka przychodzi konserwatysta i mówi mu: „Życie to ograniczenia, odpowiedzialność, rozróżnienia dobra i zła trzeba się uczyć przez całe życie, nigdy nie będziesz wiedział wszystkiego, bo ta wiedza jest zarezerwowana dla Boga, a Ty musisz się uczuć pokory". Obiektywnie rozumiem, że dla młodego człowieka druga oferta może być mniej ciekawa niż „róbta, co chceta". Jednak nie uważam jak zwolennicy determinizmu, że tak już ma być, nic z tym nie zrobimy. Ludzie zmieniają poglądy. Im człowiek jest starszy, tym lepiej widzi, że pewna wiedza i ład przechodzący z pokolenia na pokolenie to lepsza recepta na życie niż wyemancypowanie się od wszystkiego. Wielu niestety to zobaczy dopiero wtedy, kiedy taka aksjologia sprawi, że nie będą potrafili stworzyć stałego związku, którego z wiekiem mogą potrzebować, i że często mogą cierpieć na tym dzieci, które tworzą zawsze nową perspektywę dla prawie każdego człowieka. Uporządkować ten bałagan moralny będzie można poprzez przywrócenie europejskiego dziedzictwa opartego na nauce Chrystusa. Musimy cierpliwie pracować. Ten czas nadejdzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS

Biskup poza schematami

Piotr Semka

Arcybiskup Wojda to jeden z niewielu polskich hierarchów obok abp. Jędraszewskiego, który nie unika poruszania problemu zamiarów środowiska LGBT. Teraz stanie na czele archidiecezji ze stolicą w mieście rządzonym przez ekipę, która wręcz chlubi się wprowadzaniem do polityki samorządowej elementów lewicowej agendy ideologicznej

Gdy na początku marca br. Stolica Apostolska poinformowała o mianowaniu abp. Tadeusza Wojdy, dotychczasowego metropolity Białegostoku, arcybiskupem gdańskim, zaskoczeni byli katolicy zarówno konserwatywni, jak i liberalni. Ci pierwsi odetchnęli, bo obawiali się, że po odejściu metropolity Sławoja Leszka Głódzia papież Franciszek przyśle kogoś o zupełnie innym typie wrażliwości. Zwolennicy liberalnych zmian w Kościele podkreślali, że Watykan błyskawicznie przyjął dymisję abp. Leszka Głódzia zaraz po osiągnięciu przez niego wieku 75 lat. Uznano, że „Watykan wyczekiwał tego dnia". Na tymczasowego administratora diecezji gdańskiej Rzym wyznaczył biskupa elbląskiego Jacka Jezierskiego. Zebrał on pochwały gdańskich liberałów za swoje przemówienie na mszy 31 sierpnia 2020 r. i chwalony był za to, że nakazał diecezjanom nie promować zbierania podpisów pod ustawą Kai Godek „Stop LGBT".

Dało to asumpt do nadziei „postępowców", że bp Jezierski na stałe obejmie archidiecezję gdańską. Środowisko katolików otwartych w grodzie nad Motławą zasłynęło z napisania w czerwcu 2020 r. listu do samego Franciszka, który opublikował włoski dziennik „La Repubblica". Pisali w nim: „Ojcze Święty Franciszku. Odbuduj nasz Kościół, błagamy Cię! Spójrz z troską na Kościół w Polsce, gdzie biskupi kryją przypadki pedofilii, lojalność wobec instytucji jest ślepa i głucha, ważniejsza od dobra ofiar, a Episkopat i nuncjusz apostolski udają, że tego nie widzą". Ten protest części wiernych został bardzo nagłośniony we Włoszech. Wierzono, że ułatwi to uzyskanie w Watykanie nominacji dla Gdańska kogoś z obozu „Kościoła otwartego". Kogo?

Pewne wyobrażenie o tych „kandydatach marzeń" dała rozgoryczona wypowiedź postępowca ks. Kazimierza Sowy dla trójmiejskiej „Gazety Wyborczej" już po gdańskiej nominacji dla abp. Wojdy. Ksiądz Sowa się skarżył: „Jest w Polsce wielu ciekawych, wybitnych teologów, duszpasterzy, niebiskupów, np. Grzegorz Strzelczyk z Katowic, Wiesław Dawidowski, prowincjał augustianów czy Andrzej Draguła, profesor teolog. Gdybym usłyszał, że oni zostali mianowani na biskupa w Gdańsku, tobym powiedział, że jest to znak nowego otwarcia, a tak się niestety nie stało". Oznaką irytacji był tytuł w miejscowej „GW": „Wierni z obawą przyjmują abpa Wojdę w Gdańsku. »Jak zawiedzie, nie będzie czego zbierać«". I dalej: „»Taki homofobiczny biskup w liberalnym Gdańsku to pomyłka«, »Nie ma zgody na nienawiść w mieście wolności i Solidarności« – to niektóre komentarze po nominacji Wojdy na metropolitę gdańskiego. Wierni, którzy domagali się dymisji abpa Sławoja Leszka Głódzia, są rozczarowani decyzją Watykanu".

Parę dni po nominacji abp. Wojdy w „Wyborczej" zabrał głos Jacek Pałasiński. Były publicysta TVN24 zagrzmiał: „Papież Franciszek za cenę tolerowania łajdactwa utrzymuje Kościół w jedności. Papież Franciszek nigdy na dobrą sprawę nie zabrał głosu na temat Kościoła polskiego.

eprasa.pl 348985e4fc

Dotknięcie polskiego Kościoła mocną ręką mogłoby zakończyć się rozłamem".

Furia po przeniesieniu abp. Wojdy z Białegostoku do Gdańska przypomniała sytuację z późnej jesieni 2016 r. Wówczas to po odejściu na emeryturę kard. Stefana Dziwisza środowisko „Znaku" i „Tygodnika Powszechnego" było pewne, że sukces odniosą ich starania o to, by następcą Dziwisza został bp Grzegorz Ryś, wówczas biskup pomocniczy diecezji krakowskiej. Tak się nie stało i decyzją Watykanu następcą kard. Dziwisza został bardzo nielubiany przez postępowców abp Marek Jędraszewski z Łodzi. Po jakimś czasie bp Ryś otrzymał arcybiskupstwo w Łodzi, ale postępowcy nadal liczyli, że któryś z ich ulubieńców otrzyma w krótkim czasie ważną stolicę arcybiskupią. Wiele nadziei wiązano z Gdańskiem. Nominacja dla abp. Wojdy rozwiała te marzenia.

Z AFRYKĄ ZA PAN BRAT

Arcybiskup Tadeusz Wojda ma 64 lata. Urodził się w 1957 r. w Kowalach na Kielecczyźnie. W jego rodzinie starsza siostra wstąpiła do elżbietanek cieszyńskich, a młodszy brat – podobnie jak Tadeusz Wojda – wstąpił do zakonu pallotynów. Równolegle z formacją w Wyższym Seminarium Pallotynów w Ołtarzewie studiował teologię fundamentalną na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Szybko jednak wyjechał do Rzymu, gdzie w latach 1984–1989 uzyskał licencjat i doktorat z misjologii na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim. Od 1990 r. jako pracownik Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów zajmował się sprawami misji i odwiedzał wiele krajów Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej. To doświadczenie bardzo silnie naznaczyło go przekonaniem o zbytnim znaczeniu, jakie przywiązują do siebie Europa i dominujące w zachodnich krajach ruchy w rodzaju Wir sind Kirche.

W wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego" w 2019 r. mówił: „Europa zbyt skoncentrowana jest na sobie. Teraz ważne rzeczy dzieją się w Ameryce Łacińskiej i w Azji. W Korei Południowej 18 proc. katolików to 20-latkowie, a połowa księży nie przekroczyła 50. roku życia".

Arcybiskup Wojda zawsze bardzo poważnie traktował groźby wynikające z rewolucji obyczajowej 1968 r. Jak mówił, rewolucja ta spowodowała, że społeczeństwa Zachodu zatraciły nie tylko poczucie sacrum, lecz także elementarną skalę wartości. Polemizował też ze zdaniem, że Kościół polski utracił zdolność wpływania na inne kraje Europy. „Jeśli znajomi księża ze Szkocji opowiadają mi, że dzięki temu, iż Polacy się spowiadają, Szkoci również zaczynają przystępować do tego sakramentu; jeśli irlandzcy biskupi mówią mi, że pod wpływem polskich katolików zbudzą się ci irlandzcy [...], to dlaczego miałbym twierdzić, że nie mamy nic do powiedzenia. To my nadajemy Europie duchowy ton. I dziękujmy za to Bogu".

TRUDNA PRÓBA

Najtrudniejszym momentem rozpoczętej w 2017 r. posługi abp. Wojdy w Białymstoku był marsz LGBT, który zapowiedziano na 20 lipca 2019 r. Aby zrozumieć napięcie, które powstało po jego ogłoszeniu, trzeba pamiętać, że białostocki marsz odbywał się już po podobnej demonstracji 25 maja 2019 r. w Gdańsku, gdzie pojawił się bluźnierczy symbol macicy skojarzonej z symboliką Maryjną oraz po podobnym marszu LGBT 8 czerwca 2019 r. w Warszawie, który zasłynął parodią mszy przed rozpoczęciem pochodu. Wszystko to spowodowało, że abp Wojda uprzedził Marsz Równości apelem do wiernych pod mocnym tytułem „Non possumus" wydanym 7 lipca, dwa tygodnie przed demonstracją LGBT. W liście abp Wojda przypominał, że Ewangelia winna uczyć szacunku i miłości dla każdego człowieka i o to należy się starać. Jednocześnie zaznaczył, że „przyjmując takie stanowisko, katolicy nie mogą godzić się na szydzenie ze swej wiary i deprawację najmłodszych".

List okazał się kamieniem obrazy dla zwolenników rewolucji obyczajowej. Gdy doszło do ataku ze strony środowiska kiboli na marsz, natychmiast obarczono abp. Wojdę moralną odpowiedzialnością za przypadki agresji. Mimo rozpętanej nagonki medialnej metropolita białostocki nie cofał się przed atakami, ale argumentował, że jego apel napisany był w duchu bardzo pokojowym. W żadnym wypadku nie wzywał do agresji przeciwko komukolwiek. Wyraźnie zaznaczał, że ludzie zaniepokojeni marszem LGBT „mieli w pamięci to, co wydarzyło się w innych miejscach podczas marszów, co nie usprawiedliwia oczywiście aktów przemocy". Arcybiskup Wojda dodawał: „Trzeba mieć świadomość, że sama ideologia LGBT jest bardzo krytycznie oceniana przez większość społeczeństwa, które nie chce rewolucji obyczajowej". Dodał też, że na modlitwę w intencji osób epatujących swoją seksualnością pod katedrą białostocką przyszła również grupa prawosławnych. Oni także są zaniepokojeni ideologią LGBT i atakami na chrześcijaństwo, rodziny i jej obyczaje.

NIEŁATWE ZADANIE

Arcybiskup Wojda to jeden z niewielu polskich hierarchów obok abp. Jędraszewskiego, który nie unika problemu zamiarów środowiska LGBT zmienienia definicji ludzkiej płciowości ani prób dostosowywania do tych projektów inżynierii społecznej języka debaty publicznej. Teraz stanie na czele archidiecezji ze stolicą w mieście, w którym rządzi ekipa wręcz chlubiąca się wprowadzaniem do polityki samorządowej elementów lewicowej agendy ideologicznej. Jednocześnie lewica ma problem, gdyż trudno do abp. Wojdy odnieść stereotypy dotyczące polskiej hierarchii z ostatnich 30 lat. Większość czasu po roku 1984 spędził w Rzymie i nie uczestniczył w życiu polskiego Kościoła w tym okresie. Politycy prawicy, którzy znają go z Białegostoku, wskazują, że po objęciu funkcji w białostockiej kurii wiele się zaczęło zmieniać. „Na serio wziął się za porządki w nieco zbyt rozluzowanej archidiecezji" – mówi polityk, który ma rodzinne koneksje z białostockimi księżmi. Tutaj, na Podlasiu, posiadanie księdza w rodzinie to nic osobliwego.

„Ci, którzy zbytnio zakochani byli w mamonie, musieli zacząć szukać większej skromności. Ci, którzy nadużywali alkoholu, dostawali poważne ostrzeżenia" – mówi z kolei jeden z białostockich kapłanów. Arcybiskup Wojda ma też zacięcie intelektualne, jego kazania chwalone są jako przykład dobrej szkoły teologicznej. Nie ma kompleksów wobec świeckiej inteligencji. Zna języki, poznał świat, 22 lata spędził w Watykanie, zachował wiele znajomości z Rzymu i z misji. A to właśnie biskupi z Azji i Afryki pną się dziś w Rzymie po stopniach hierarchii w watykańskich kongregacjach. Nie da się łatwo wsadzić w ramki zacofanego biskupa uciekającego przed kamerą telewizyjnej ekipy. Teraz stanie wobec niełatwego zadania zbadania, ile prawdy jest w długiej liście oskarżeń wobec swego poprzednika abp. Głódzia. Zamiatane pod dywan wstydliwe grzechy trzeba wyjaśnić i jeśli można, to wynagrodzić krzywdy.

Pytanie, czy z wszystkimi swymi atutami poradzi sobie w Gdańsku. To, że wiele osób z gdańskich elit potraktowało jego nominację jako afront, jest pewne. Tyle że to nie oni decydują o kształcie i kierunku pracy kurii nad oliwskim potokiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

Tomasz Rowiński

Zwykli księża i zwykli katolicy?

„Zwykli księża" odcinają się od polityki, a jednocześnie wprowadzają politykę do serca Kościoła, kwestionując prawdy fundamentalne dla katolicyzmu

Dla obserwatora polskiego Kościoła uderzającą cechą jego udziału w życiu publicznym jest niesłychana bezradność. Aktywność grupy określającej się mianem „zwykłych księży" stanowi niestety kolejny jej przykład. Brak reakcji przełożonych kościelnych na kolejne apele tej grupy powoduje, że sprawy, które z perspektywy nauczania Kościoła są kwestią jedności katolickiej, są rozgrywane politycznie.

Zanim jednak przejdziemy do meritum, zwróćmy uwagę na nazwiska głównych sygnatariuszy, o których trudno powiedzieć, by mogli się identyfikować jako „zwykli księża". Wymieńmy niektórych: ks. Alfred Wierzbicki, o. Paweł Gużyński, ks. Jacek Prusak, ks. Jacek Siepsiak, o. Wacław Oszajca, o. Maciej Biskup, ks. Adam Boniecki, ks. Andrzej Luter, ks. Andrzej Szostek, o. Ludwik Wiśniewski, ks. Kazimierz Sowa. To nie wszyscy jeszcze „zwykli" księża, ale już widać, że większość tej listy stanowi księżowska inteligencja, znani profesorowie, duszpasterze, komentatorzy życia publicznego i kościelnego o bardzo specyficznym profilu – tak to określmy – politycznym. Nie znalazłem na tej liście np. zbyt wielu wikariuszy z wiejskich mazowieckich parafii, w których mieszkam z rodziną od lat.

PO STRONIE AGRESYWNEJ „ULICY"

W pierwszym liście „zwykłych księży" opublikowanym po ogłoszeniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji można było przeczytać, że trzeba „skończyć z używaniem religii do celów politycznych i porzucić przekonanie, że rozstrzygnięcia prawne mogą przynieść trwałą zmianę wrażliwości sumień, czego my pragniemy, głosząc Ewangelię". To paradoks, którego lewica katolicka nie zauważa od lat, nawołując katolików i Kościół do zaniechania instrumentalizacji religii. Czym bowiem w istocie jest list „zwykłych księży", jeśli nie akcją polityczną „wykonywaną w imię Ewangelii"? Księża, którzy stanęli przeciwko wyrokowi TK, a po stronie agresywnej „ulicy", po stronie liberalnych i lewicowych partii politycznych, a przeciwko niezmiennemu od pierwszych wieków nauczaniu Kościoła w sprawie ochrony życia, wzięli udział w bezpośredniej akcji politycznej. Przywołanie Ewangelii w tej akcji było tylko retorycznym środkiem przymusu emocjonalnego.

Uwierzytelniające zdania, w których księża deklarują: „Nie tworzymy żadnej formalnej struktury", wydają się niepoważne wobec kontynuacji wspólnych działań i uruchomienia „zrzeszającej" aktywność najbardziej medialnych ze „zwykłych księży" strony Zwykli.pl. Mamy zatem do czynienia ze zorganizowanym wystąpieniem grupy duchownych – pod przykryciem nośnych w liberalnych mediach postulatów mieszających prawdę z postępowym zabobonem – przeciwko godności człowieka.

Drugi list „zwykłych księży", który podpisała, co znamienne, krótsza już lista sygnatariuszy, pomimo retorycznej ekwilibrystyki, polegającej na cytowaniu Jana Pawła II mówiącego, że „nawet samo prawdopodobieństwo istnienia osoby ludzkiej wystarczyłoby dla usprawiedliwienia najbardziej kategorycznego zakazu wszelkich interwencji zmierzających do zabicia embrionu ludzkiego" („Evangelium vitae", p. 60), prowadzi do wniosku, że chore dzieci poczęte można chronić trochę mniej. „Kościół musi wyraźniej i hojniej niż dotąd przyczynić się do wsparcia tych rodziców i dzieci, których spotkało tak bardzo trudne doświadczenie. Dopiero wtedy możemy zachęcać – ale nie zmuszać prawem – kobiety do urodzenia chorych dzieci" – czytamy w liście.

Strach dociekać, jakiego rodzaju przesądy kierują „zwykłymi księżmi" – czy może starożytny pogląd Arystotelesa, że ciało nieuformowane nie może przyjąć duszy rozumnej, a może nowoczesna odpowiedź, że przy słabej jakości życia lepiej się nie urodzić. Dzieje moralnego horroru aborcji dają szerokie spektrum uzasadnień pozwalających odczłowieczać i jednocześnie uniknąć prostego spostrzeżenia, że aborcja to eliminowanie osób.

FOT. ADOBE STOCK

Co znajdujemy na stronie „niezrzeszonych" i „zwykłych" księży (a także – jak czytamy – „zwykłych sióstr") oprócz promocji co bardziej znanych z nich? Przede wszystkim polecenia dwóch inicjatyw: Kongresu Katoliczek i Katolików oraz akcji Zranieni w Kościele. Twarzą Kongresu, jak wynika z jednego z artykułów na stronie, jest dominikanin o. Paweł Gużyński, znany jako kontrowersyjna gwiazda TVN. Ojciec Gużyński w godzinnej relacji poprzez portal YouTube referuje idee tej inicjatywy. Odcina się od związków jego inicjatywy z niemiecką Drogą Synodalną

eprasa.pl 348985e4fc

i ruchem Wir sind Kirche, które są symbolem i przykładem rewolucjonizowania Kościoła katolickiego w Niemczech. Jednak biorąc pod uwagę, w jaki sposób środowisko, o którym mówimy, posługuje się słowami „zwykli" czy „niezrzeszeni", warto się sprawie przyjrzeć.

DZIWNIE BLISKIE NIEMCOM

Paweł Chmielewski z portalu PCh24.pl zauważył, że zakres tematyczny dyskusji Kongresu Katoliczek i Katolików w dziwny sposób w swoich głównych punktach jednak pokrywa się z tym, co robią Niemcy w ramach Drogi Synodalnej. Można powiedzieć, że w obu wydarzeniach chodzi o władzę, o władzę świeckich, o władzę kobiet, a także o zmienioną moralność seksualną i związki partnerskie. Na portalu Deon.pl można przeczytać, że „jednym z inicjatorów kongresu jest prof. Fryderyk Zoll, który będąc na mszy w katedrze w Osnabrück, usłyszał homilię wygłoszoną przez kobietę zaproszoną tam przez biskupa Franza-Josefa Bode". Biskup Bode jest zastępcą przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec i jednym z głównych promotorów Drogi Synodalnej, przeciw której postulatom coraz bardziej zdecydowanie wypowiada się papież Franciszek. Można się tylko uśmiechnąć, kiedy prof. Zoll mówi, że Kongres nie chce działać tak jak Wir sind Kirche, ale dodaje, że „ideą naszego ruchu jest po prostu zmiana sposobu rozmawiania w Kościele", w którym „nikt nie może w niej występować z pozycji władzy, która miałaby pociągać za sobą większe kompetencje". W logice lewicy, także katolickiej, język często komunikuje coś innego, niż znaczy. Nieraz już „otwieranie dyskusji" było eufemizmem dla forsowania takiej czy innej radykalnej zmiany.

Dobrym przykładem są wspomniane związki partnerskie. Ktoś może pomyśleć, że to zapis w duchu adhortacji „Amoris laetitia", że może chodzi o rozwiedzionych w nowych związkach albo narzeczonych. Nie sądzę. Gdy bp Galbas, przewodniczący Rady KEP ds. Apostolstwa Świeckich, zadeklarował publicznie gotowość rozmów z przedstawicielami Kongresu, odpowiedział mu Marcin Dzierżanowski, przedstawiony przez KAI jako członek zespołu organizacyjno-koordynacyjnego Kongresu. Dzierżanowski to dziennikarz, przez krótki okres redaktor naczelny tygodnika „Wprost", związany z fundacją Wiara i Tęcza, w przeszłości prezes jej zarządu, a obecnie członek Rady Fundacji. Czym jest ta fundacja? Zerknijmy na jej stronę: „Działamy na rzecz chrześcijan homoseksualnych, biseksualnych, transpłciowych, niebinarnych i interpłciowych, opowiadając się za pełną akceptacją LGBT+ w Kościołach i w społeczeństwie. Uważamy, że każda orientacja seksualna i tożsamość płciowa jest darem od Boga i można ją pogodzić z wiarą. Sprzeciwiamy się wszelkim formom dyskryminacji osób LGBT+, zwłaszcza motywowanej religijnie, oraz wszelkim formom tak zwanej terapii reparatywnej".

Środowisko to znalazło się w gronie organizatorów akcji afirmatywnej homoseksualnego stylu życia skierowanej do środowisk katolickich „Przekażmy sobie znak pokoju". Patronat medialny nad nią objęły „Tygodnik Powszechny", pismo Klubu Inteligencji Katolickiej „Kontakt", a także „Znak" oraz „Więź". Do dziś wszystkie te informacje można znaleźć na stronie inicjatywy, choć środowisko Wiary i Tęczy od tego czasu zmieniło adres internetowy, zapewne w związku z powołaniem fundacji. Polscy biskupi, jak rzadko kiedy, zabrali wtedy głos, pisząc, że „kampania »Przekażmy sobie znak pokoju«, zainicjowana przez środowiska LGBT, »rozmywa jednoznaczne wymagania Ewangelii«". Wspomniane środowisko „Więzi" jest inicjatorem akcji „Zranieni w Kościele", która przy pewnych zastrzeżeniach jest warta docenienia. Może ona się jednak lada dzień stać moralną dźwignią, za pomocą której dojdzie do prób skłonienia biskupów – jak mówi o. Gużyński – by wprowadzili wreszcie w Polsce reformy Soboru Watykańskiego II np. w postaci błogosławienia związków homoseksualnych. Oczywiście sobór nic takiego nie proponował, ale widzimy, ile znaczy prawda słów, a ile siła sugestii. Można dodać, że „zwykły ksiądz" ks. Andrzej Luter jest asystentem kościelnym Towarzystwa „Więź".

Znaczna część Kościoła dała sobie wmówić, że skłanianie polityków do działań na rzecz sprawiedliwości, o której mówi nauka społeczna Kościoła, to upolitycznienie religii. Tymczasem często ci, którzy mają usta pełne frazesów o apolityczności, wprowadzają politykę do serca Kościoła, kwestionując prawdy fundamentalne dla katolicyzmu z perspektywy świeckich ideologii liberalnych i lewicowych sił tylko podszywających się pod Ewangelię.

Czy w sprawie aktywności „zwykłych księży" i ich Kongresu możemy liczyć ze strony biskupów na coś więcej niż tylko „otwartość"? Co się stanie, jeśli podważanie nauki społecznej i moralnej będzie kontynuowane? Co, jeśli zacznie się, tak jak w Niemczech, podważanie nauki o Kościele?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

Lewactwo kontra lewica

Rafał A. Ziemkiewicz

SLD-owcy zaczęli tracić cierpliwość wobec młodych lewaków po demonstracjach Strajku Kobiet, a zwłaszcza po tym, jak jego „leworucja" okazała się zrywem równie efemerycznym jak wzmożenie KOD czy „Wolnych Sądów"

Jeśli lewica nie będzie obarczona lewactwem, to spokojnie możemy przekroczyć 20 proc. poparcia – oznajmił w wywiadzie dla RMF FM poseł Marek Dyduch, były sekretarz generalny Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Trudno o bardziej jednoznaczny wyraz emocji, która dotychczas była głęboko skrywana: „stara lewica", ta z SLD, ma już serdecznie dość tej „nowej", Biedroniowej, z którą połączyła się w jedną partię (choć czy naprawdę, nie wiadomo – o czym dalej). A warto wiedzieć, że słowa Marka Dyducha padły jeszcze przed wybuchem kompromitującej „inby" wokół wywiadu udzielonego przez asystentkę posła partii Razem Macieja Koniecznego. „Inby" (w slangu młodzieżowym używanym manifestacyjnie przez „nową" lewicę, by zaznaczyć swą odmienność od „dziadersów", znaczy to tyle, co w mowie tych ostatnich „draka"), która wywołała ogromną „bekę" na prawicy i z dużą radością nagłaśniana była przez państwowe media i prawą część Internetu.

Aktywiści SLD, pamiętający czasy, kiedy partia ta miała największy klub w Sejmie, prezydenta i premiera, od zawsze patrzyli na młodych lewaków z ruchów LGBT i pokrewnych z lekceważeniem – ale do pewnego momentu było to lekceważenie pełne pobłażania. Aktywiści spod tęczowych bannerów i aktywistki walczące z „patriarchatem" są trochę stuknięci – myśleli starzy działacze – no, dobrze, niech nawet będzie, że mocno stuknięci, ale kto za młodu nie był… Grunt, że są mocno promowani w mediach, przydają nam „europejskości", przyciągają młodych wyborców. Kiedy wrócimy do władzy, da im się parę mniej ważnych stołków i niech się tam zajmują wprowadzaniem „feminatywów" albo „niebinarnych ubikacji".

„LEWORUCJA"

Cierpliwość zaczynają tracić SLD-owcy po demonstracjach Strajku Kobiet, a zwłaszcza po tym, kiedy jego „leworucja" okazała się zrywem równie efemerycznym jak wzmożenie KOD czy „Wolnych Sądów". Przy czym tamtym ruchom zejście z etapu tłumów kilkudziesięciotysięcznych do kilkudziesięcioosobowych pikiet zajęło znacznie więcej czasu. Lewica, która kiedyś przegłosowywała konkordat i pyszniła się, że Jan Paweł II zaprosił jej lidera do papamobilu, bardzo wiele w tę nową odsłonę kampanii proaborcyjnej zainwestowała. Inwestycja okazała się chybiona, w sondażach nie przyniosła wzrostu popularności ani o punkt, co gorsza, wydaje się, że jej skutkiem jest pojawienie się mniej więcej na poziomie 10 proc. „szklanego sufitu": partia Czarzastego i jego nader aktywnych w ostatnich miesiącach posłanek straciła zdolność pozyskiwania „normalnych" wyborców. Chcący odsunięcia PiS od władzy i zarazem rozczarowani Platformą zwracają się ku innym, głównie ku ruchowi Hołowni. To właśnie w tym kontekście padła cytowana na wstępie wypowiedź o potrzebie oczyszczenia lewicy z lewactwa.

Skutkiem poparcia dla tegoż lewactwa jest bowiem wizerunkowe sklejenie się Lewicy z agresywnym chamstwem Strajku, hasłami „dymu w kościołach" i „dejaniepawlizacji" oraz odstręczającym dla przeciętnego wyborcy zachowaniem wykreowanej przez media na ikonę Marty Lempart. Przy czym to, że Lempart skutecznie kompromituje przedsięwzięcie, jest nie tylko skutkiem jej agresywności i prymitywnego, wulgarnego sposobu wypowiadania się. To budzi tylko odrazę, a w polityce jest coś od odrazy gorszego – śmieszność.

Liderka Strajku, która parę miesięcy temu dała rządowi siedem dni na spełnienie jej postulatów, zanim „kobiety obalą ten reżim siłą", od miesięcy zapowiada też regularnie, że całkowicie zablokuje całą Warszawę i wszystkie miasta w Polsce. A kiedy na to „całkowite zablokowanie" udało jej się zmobilizować raptem setkę zwolenniczek, zapowiedziała „dalszą eskalację protestów", aż do czerwca, kiedy to „urządzi tutaj prawdziwe piekło". Trudno oprzeć się skojarzeniu z Saddamem Husajnem i jego rzecznikiem, który w podobnym tonie przepowiadał piekło i zagładę Amerykanom nawet w chwili, gdy ci zdobyli już Irak.

Nie można powiedzieć, żeby starzy działacze mieli prawo czuć się tym wszystkim zaskoczeni. Sygnały, że wpu-

eprasa.pl 348985e4fc

Starzy działacze mają żal, że Włodzimierz Czarzasty nawpuszczał do partii tylu świrów FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

ścili do swego namiotu gości, delikatnie mówiąc, kłopotliwych, nadchodziły już wcześniej. „Niebinarny macho" o pseudonimie Margot, wykreowany wspólną „obroną" polityków Lewicy oraz mediów, zwrócił się przeciwko swym dobrodziejom niemal natychmiast – nie tylko atakując zajadle Klementynę Suchanow za rzekome molestowanie seksualne i zbrodnię „misgenderowania" (miała kwitować jego deklarację „niebinarności" słowami „Przestań się wygłupiać, mały"!), lecz także organizując pikietę pod redakcją „Gazety Wyborczej", oskarżonej, że „j.bie w niej terfem". Kto zagląda na profile kolektywu „Stop Bzdurom" i jego „osób uczestniczących", ale także innych grup „queerowych", ten może być zdumiony stopniem agresji, z jaką atakuje się tam „libków", jak pogardliwie w slangu nowej lewicy nazywani są liberałowie. Dla „Margota" i jemu podobnych głoszone (choćby nawet skrajnie nieszczerze) przez liberałów hasła takie, jak wolność słowa, równe prawa dla wszystkich etc. to bowiem po prostu żałosna zgnilizna i śmietnik historii.

Wspomniana już Marta Lempart w wulgarnych słowach zbluzgała w Internecie (właściwie nie wiadomo za co) posłankę Dziemianowicz-Bąk. Ofiarą dyscyplinowania we własnym obozie padła także autorka „Kultury Liberalnej", Magdalena Grzyb, która ośmieliła się zdroworozsądkowo (nic gorszego dla nowej lewicy niż zdrowy rozsądek!) zauważyć, że „Margot" nie jest przecież transseksualistą ani nawet nie przebiera się za kobietę. Przy okazji pastwienia się nad Grzyb „socjolożka" z „Krytyki Politycznej" przejechała się wtedy niczym po burej suce (a może „burym suku"?) po Dominice Wielowieyskiej z „Gazety Wyborczej".

Owszem, wszystko to działo się gdzieś w najdalszych zakamarkach lewackiego netu, stanowiło „bańkę w bańce", ale politycy i pracownicy mediów lewicy przecież tam zaglądali. Musieli sobie zdawać sprawę, że zainwestowali swe poparcie nie w jakichś narwańców, którzy „trochę przesadzają", tylko we wściekłych bolszewików, wprost odrzucających demokrację i jej wartości. Mimo to nie podniósł się w kręgach opozycji, ani tej lewicowej, ani deklaratywnie liberalnej, żaden głos sprzeciwu czy krytyki – przeciwnie, z właściwą sobie zajadłością służyły i służą propagandowej ochronie genderowej „leworucji". Najwyraźniej nie ma tam świadomości, że zasada „Nie ma wroga na lewicy" była już w historii stosowana z najgorszym skutkiem i że w odniesieniu do radykałów jest to prostu kapitulacja przed nimi, bo dla radykałów nikt nie jest „na lewo" od nich, więc na wzajemność „lewicowi dziadersi", nie mówiąc już o „libkach", liczyć nie mogą. I rzeczywiście, na razie każdy atak radykałów na – jak to zwykli w swych publicznych wypowiedziach nazywać – „wys.ywy" libków i miękkich lewicowców kończy się przeprosinami tych ostatnich i obietnicą poddania się „szkoleniu antydyskryminacyjnemu", jeśli atakujący zechcą takowe zaatakowanym przeprowadzić (osobne pytanie, na które nie znamy odpowiedzi: Czy za darmo?).

ŚWIRY JEDNAK NIE

Wspomniana już „inba" wywołana wywiadem Urszuli Kuczyńskiej, asystentki lewicowego posła, dla „Wysokich Obcasów" wyszła już poza „bańkę w bańce". I nie tylko dlatego, że na przykład redaktor Rachoń poświęcił jej relacjonowaniu siedem minut programu TVP Info, które stały się przebojem Internetu. Także dlatego, że na „transfobiczne wypowiedzi i działania" Kuczyńskiej rzuciła się partyjna młodzieżówka Razem, domagając się wobec niej sądu koleżeńskiego i kar partyjnych. A przy okazji – uznania partii za „safe zone dla osób trans i pracujących seksualnie". Dlaczego przy tej okazji do lewicowego katalogu uprzywilejowanych mniejszości dołączona została, mówiąc po dziadersku, prostytucja, nie umiem państwu objaśnić, podobnie jak tego, kto to taki „swerfka", mimo że wczytywałem się w antykuczyńskie filipiki z dużą uwagą. (Ale znalazłem, co znaczy „terf": to ktoś, kto „misgenderuje", czyli na przykład wobec osoby „nie-cis" stosuje zaimek dzierżawczy „jej" zamiast poprawnego, genderowego „ony").

Jeśli interesuje państwa, co tak strasznego zrobiła Kuczyńska, to dłuższa sprawa. Generalnie, nie tylko zaprotestowała przeciw zastępowaniu słowa „kobiety" określeniem „osoby z macicą", co już predestynuje ją do relegowania z szeregów partii, lecz także w ogóle wypowiedziała się negatywnie o doktrynerstwie młodej lewicy, porównując je do chińskiej „rewolucji kulturalnej" (Kuczyńska jest z zawodu sinologiem). Co więcej, zarzuciła „osobom przyjacielskim LGBT", że nie są wcale lewicą, tylko liberałami, bo lewica zakłada różnorodność, negocjowaną między „różnymi tożsamościami", a nie terroryzowanie wszystkich swoim indywidualizmem. Straszna zniewaga.

Ukoronowaniem „inby" było ogłoszenie przez inną część lewicy, już nie tak młodą jak jej sprawcy, ale jeszcze nie tak starą jak Dyduch, że wszystko to jest skutkiem prawicowej prowokacji i robotą wynajętej przez PiS do skompromitowania lewicy agencji od czarnego PR.

Chyba jednak nie, bo tydzień po Dyduchu udzielił wywiadu Interii Leszek Miller, w zasadzie powtarzając jego myśl, choć bez użycia słowa „lewactwo": obrona „mniejszości seksualnych" – tak, świry – nie, i Włodzimierz Czarzasty, który tych świrów do partii nawpuszczał, też nie. Przy tej okazji właśnie zakwestionował Miller, czy w ogóle partia Lewica istnieje – bo SLD nie został rozwiązany zgodnie ze statutem, a Lewica zgodnie z prawem zarejestrowana – i czy Czarzasty w ogóle jest liderem czegokolwiek, bo nierozwiązanego skutecznie SLD na pewno już nie, gdyż minęła mu rok temu kadencja i nie został wybrany na następną, wspólnego zaś bytu (byłego?) SLD z Wiosną, który twierdzi, że reprezentuje, też nie, bo w świetle prawa takiej partii nie ma.

Wygląda na to, że ułożenie się z samą sobą będzie w najbliższym czasie dla lewicy wielkim wyzwaniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

Rondo Praw Aborcjonistek

Maciej Pieczyński

Strajk Kobiet próbuje zawłaszczyć przestrzeń symboliczną w wielu miastach w całej Polsce. Awantura o rondo Dmowskiego w Warszawie to tylko najgłośniejszy przykład

Na Rondzie Dmowskiego, nazywanego również Rondem Praw Kobiet miał się rozpocząć protest zorganizowany z okazji Dnia Kobiet [pisownia oryginalna]" – głosi wstęp opublikowanego na portalu Radia TOK FM tekstu informującego o kolejnej ulicznej akcji skrajnej lewicy. Media, sprzyjające bojówkom Marty Lempart, coraz częściej wspierają te środowiska również w tworzeniu alternatywnej rzeczywistości. Tej, w której nazwy ulic, rond i placów ustala tłum na ulicach, a nie samorząd. Wszystko przecież zaczęło się od happeningu uczestniczek jednej z proaborcyjnych manifestacji, która tablicę z nazwą „rondo Romana Dmowskiego" zakleiła napisem „rondo Praw Kobiet". Skoro wściekłe na rząd feministki chcą, by tak było, to przecież nie może być inaczej, a posłuszne media muszą to zaakceptować.

Dla lewicy warszawska odsłona sporu o miejskie nazewnictwo ma wymiar wręcz cywilizacyjnego starcia. Czy w samym centrum stolicy Polski jest miejsce na rondo imienia Romana Dmowskiego – „antysemity, nacjonalisty, przeciwnika emancypacji kobiet"?! Czyż nie jest oczywiste, że to właśnie „prawa kobiet" powinny być w tym miejscu uhonorowane?! Tymczasem nawet prof. Elżbieta Korolczuk, jedna z inicjatorek petycji o zmianę nazwy ronda, przyznaje, że Dmowski był „zasłużony dla Polski". Nacjonalistą, owszem, był. Co w tym złego?! Oskarżenia o antysemityzm? Oczywisty, ahistoryczny absurd. „Przeciwnik emancypacji kobiet"? Żaden zarzut. Tym bardziej, że w pierwszych w II RP wyborach do Sejmu na trzecim miejscu listy wyborczej Narodowej Demokracji umieścił Gabrielę Balicką, jedną z ośmiu pierwszych w historii polskich parlamentarzystek. A były to czasy sprzed epoki parytetów. Ponadto, w ramach endecji funkcjonowała Narodowa Organizacja Kobiet, która promowała równouprawnienie. Tego typu argumenty nie przemawiają jednak do feministek, które wszystko, co związane z prawicą, Kościołem, nacjonalizmem czy tradycją widzą jedynie w brunatnych barwach.

DMOWSKI ZNIENAWIDZONY

O tym, że skrajna lewica najchętniej wyrzuciłaby Dmowskiego na śmietnik historii, wiadomo od dawna. Warszawscy radni Koalicji Obywatelskiej byli „rozdarci". Dylematu nie miał natomiast Rafał Trzaskowski, który inicjatywę poparł. Jednocześnie wciąż nie słychać, by zechciał łaskawie zrealizować swoją obietnicę i uhonorować ulicą Lecha Kaczyńskiego. Wciąż jedną z ważniejszych arterii Warszawy jest al. Armii Ludowej. Wychodzi na to, że Trzaskowskiemu bardziej przeszkadzają jeden z „ojców niepodległości" oraz były prezydent kraju i jego stolicy niż komunistyczni zbrodniarze z podległej Moskwie AL. W przestrzeni symbolicznej widzi miejsce przede wszystkim dla ideałów lewicy – czy to czerwonej, czy to tęczowej…

Lech Kaczyński przeszkadza zresztą nie tylko Trzaskowskiemu, lecz także samym feministkom. W Szczecinie działaczki Strajku Kobiet zrobiły ze skwerem im. śp. prezydenta to samo, co ich warszawskie koleżanki z rondem Dmowskiego. Oczywiście, chcą, by ta spontaniczna zmiana nazwy miała charakter trwały. Tak się składa, że skwer Praw Kobiet musi być akurat na miejscu skweru Lecha Kaczyńskiego – tylko ta nazwa uwiera feministki.

Rzekomy „antysemityzm" Dmowskiego nie był jedynym argumentem, wysuwanym na rzecz zmiany nazwy akurat

eprasa.pl 348985e4fc

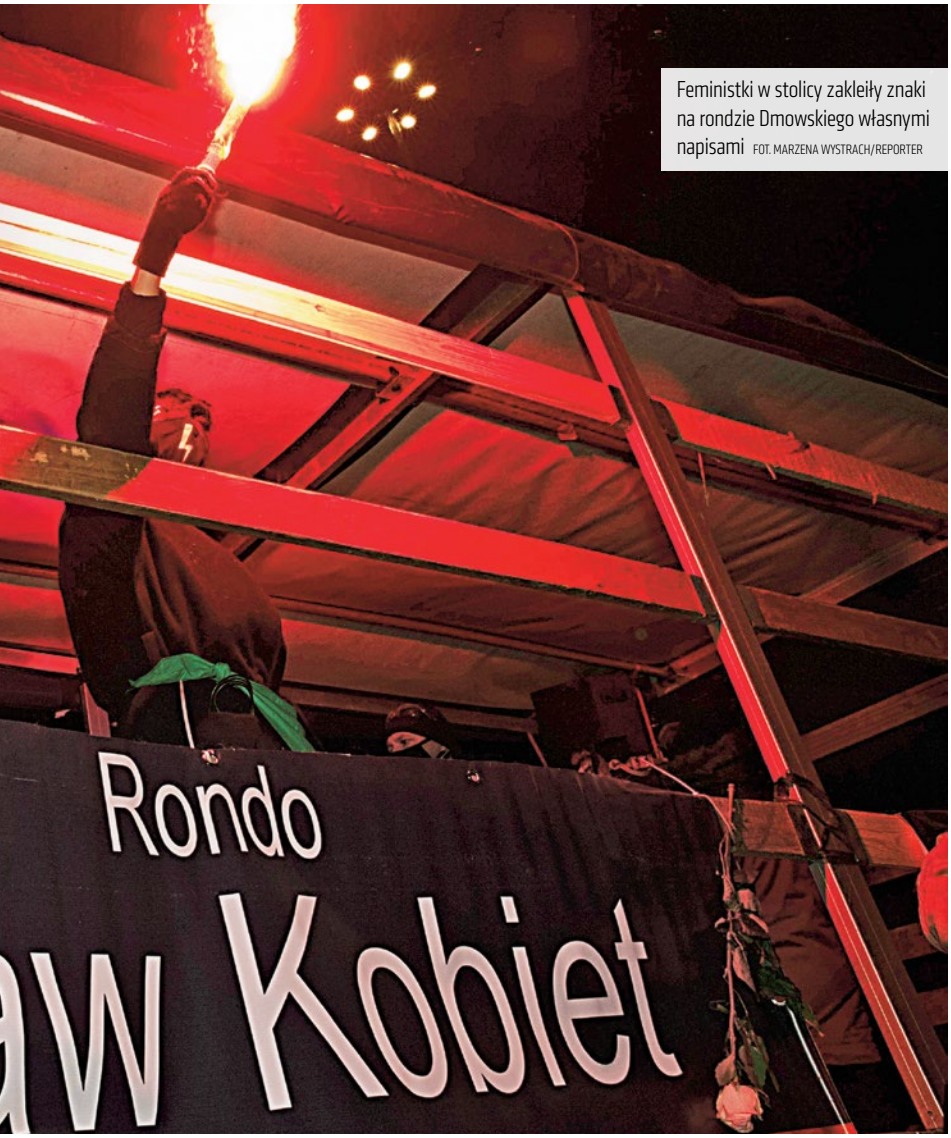

Feministki w stolicy zakleiły znaki na rondzie Dmowskiego własnymi napisami FOT. MARZENA WYSTRACH/REPORTER

tego ronda. Podkreślano również, że to konkretne miejsce „odegrało dużą rolę podczas protestów". To właśnie tam zbierały się najliczniejsze zgromadzenia Strajku Kobiet. Tyle że zgodnie z takim tokiem rozumowania w podobnym stopniu uprawniona byłaby nazwa „rondo Marszu Niepodległości", bo przecież właśnie z ronda Dmowskiego przez lata, zanim ktokolwiek usłyszał o Marcie Lempart, startowały manifestacje organizowane przez narodowców. Jednak przecież pod flagą biało-czerwoną maszerują tylko „faszyści", którzy na swoje miejsce w przestrzeni publicznej nie zasługują…

To swoją drogą też charakterystyczny, totalitarny rys myślenia nowej lewicy. Kiedy to ona organizuje jakieś publiczne, oddolne wydarzenie, jest to przejaw zdrowego „społeczeństwa obywatelskiego", świadomości społecznej, głębokiego zrozumienia praw obywatelskich itd. Kiedy jednak – również oddolnie, niezależnie od państwa – organizują się środowiska narodowe, katolickie, patriotyczne, prawicowe, wtedy muszą za tym stać jakieś ciemne siły – „najpewniej Kaczyński i Rydzyk", którzy takich ludzi zmanipulowali albo przekupili. No bo jak normalny człowiek może sam wpaść na wyznawanie tego typu wartości?!

MODA NA „UPAMIĘTNIANIE"

Upamiętnienia „praw kobiet" wyrastają w kolejnych miastach jak grzyby po deszczu (a raczej po burzy proaborcyjnych protestów). Stało się to wręcz modą. Prawa kobiet mają swój skwer w Krakowie, ronda w Piasecznie, we Wrocławiu i w Wałbrzychu, niedługo najprawdopodobniej także w Kielcach. W Legionowie feministki zebrały podpisy pod obywatelskim projektem uchwały. O tym, czy podwarszawskie miasteczko będzie miało rondo Praw Kobiet, zadecydują radni pod koniec marca. Podobną inicjatywę szykuje koniński Strajk Kobiet. Akcje związane z ofensywą symboliczną lewicy nasiliły się w okolicy święta 8 marca. Strajk Kobiet właśnie tego dnia w Pile zaczął zbierać podpisy pod inicjatywą nadania nazwy „rondo Praw Kobiet", w Kołobrzegu złożył w magistracie stosowną petycję w podobnej sprawie. „8 marca to nie jest dzień goździków i rajstop. 8 marca to dzień gniewu i walki" – głoszą manifesty inicjatorek nazewniczych zmian.

Taka agresywna, wojenna retoryka zapewne w przypadku środowisk prawicowych byłaby uznana za faszyzującą. Jednak przecież kobiety, walczące o swoje prawa, mają nomen omen prawo do wyrażania swoich emocji! Warszawska radna Anna Auksel-Sekutowicz, tłumacząc, dlaczego popiera pomysł zmiany nazwy ronda, stwierdziła: „Może to są emocje, ale te emocje są z nami od października. Ja też biorę udział w protestach, czuję te emocje". Okazuje się, że o kształcie przestrzeni symbolicznej miasta nie powinny decydować zasługi konkretnych postaci historycznych, tylko to, co aktualnie czują przedstawicielki i przedstawiciele konkretnej opcji społeczno-politycznej.

Ciekawe, czy podobną zasadę zastosowano by w stosunku do grup reprezentujących odmienne opcje światopoglądowe. W końcu ruchy pro-life czy narodowcy również mają swoje emocje. Raczej jednak, zdaniem światłych i tolerancyjnych feministek, niewarte uhonorowania.

Teoretycznie nie ma nic złego w samych „prawach kobiet", wręcz przeciwnie. Tyle że ofensywa nazewnicza ma bardzo konkretny kontekst społeczno-polityczny. To, o jakie „prawa" tak naprawdę chodzi aktywistkom spod znaku błyskawicy, bardzo dobrze pokazuje przykład Koszalina. Tamtejsze lokalne stowarzyszenie Era Kobiet i działająca przy prezydencie miasta Rada Kobiet wnioskowały o nadanie nazwy rondo Praw Kobiet. Radni wsłuchali się w głos feministek, ale nie do końca. Ostatecznie w Koszalinie powstanie rondo 100-lecia Praw Kobiet.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

Lockdown wpędza w depresję

Radosław Wojtas

Czasem to troska uzasadniona – nie chcemy narażać naszych bliskich na kontakt z koronawirusem – czasem pandemia jest tylko wygodną wymówką, by nie „tracić czasu" na spotkania. Niezależnie od motywacji efekt pozostaje ten sam – jesteśmy coraz bardziej samotni i coraz więcej Polaków zauważa u siebie objawy depresji

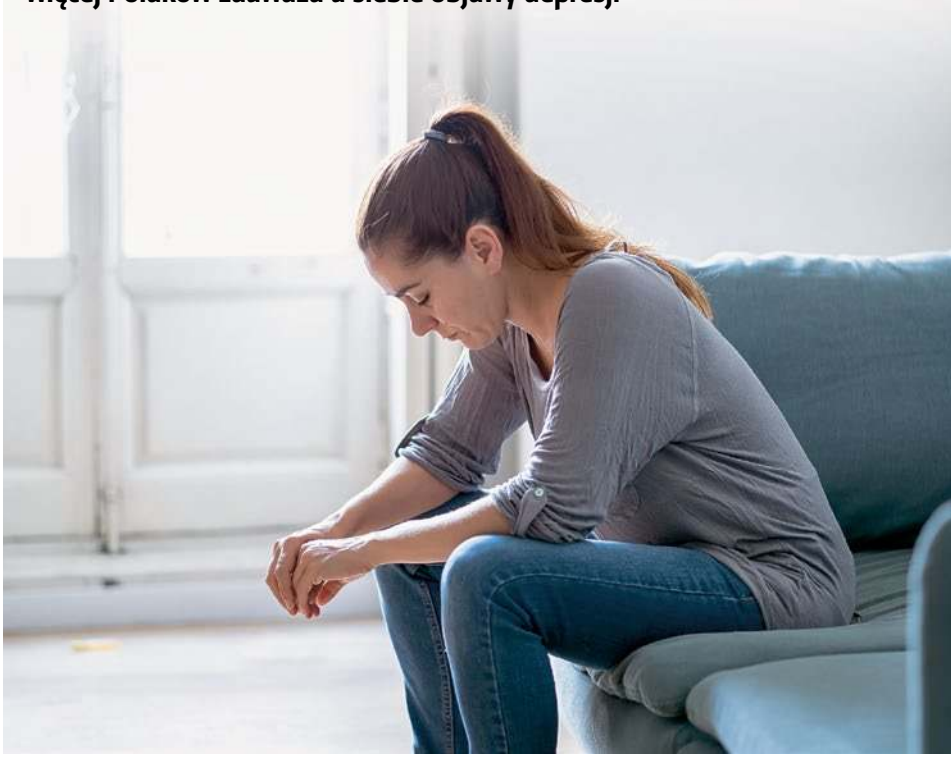

FOT. ADOBE STOCK

Na pięciogodzinnych dyżurach Antydepresyjnego Telefonu Zaufania Fundacji ITAKA w zasadzie nie odkłada się słuchawki. Telefon dzwoni cały czas, zainteresowani rozmową ze specjalistą (dyżurują psychologowie i psychiatrzy, ostatnio wprowadzono też porady seksuologa) czekają w kolejce. Na brak zajęcia nigdy tu nie narzekano, w ostatnim roku zapotrzebowanie na fachową pomoc jeszcze wzrosło. – Telefonów w pandemii rzeczywiście jest więcej. Także od osób, które są pod opieką specjalistów i ich stan był stabilny, jeśli chodzi o depresję czy inne zaburzenia psychiczne, ale w trakcie pandemii zaczęły się czuć gorzej, nasiliły się u nich objawy, lęki, bezsenność – mówi Magdalena Malison, koordynatorka Antydepresyjnego Telefonu Zaufania. – Na każdym dyżurze specjalista odbywa kilkanaście rozmów, oczywiście w zależności od tego, jak długie one są. Czasami trwają kilkanaście minut, a czasami jest to rozmowa godzinna – dodaje. Tylko w styczniu i lutym takich rozmów odbyto 268.

– Na pewno w najbliższym czasie możemy się spodziewać zwiększenia liczby osób z różnego rodzaju problemami depresyjnymi. Nie sądzę, żeby to były przypadki z depresją endogenną czy z chorobą afektywną, ale z reakcjami depresyjnymi z pewnością – mówi „Do Rzeczy" prof. Łukasz Święcicki, psychiatra, konsultant II Kliniki Psychiatrycznej w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. – Żeby określić skalę zjawiska, należałoby przeprowadzić dobre metodologicznie, zakrojone na szeroką skalę badanie epidemiologiczne. Istnieje wrażenie, że problem ten pogłębił się w pandemii, ale moim zdaniem brakuje nam jeszcze twardych danych, by stwierdzić to z całą stanowczością – dodaje.

NAJGORSZA JEST SAMOTNOŚĆ

Przeprowadzano jednak badania, które pozwalają stwierdzić, że komfort psychiczny Polaków zmniejszył się znacznie w związku z pandemią i wynikającymi z niej ograniczeniami. Jednego z szerzej zakrojonych podjął się zespół psychologów z kilku polskich uczelni, który opracował raport „Objawy depresji i lęku wśród Polaków w trakcie epidemii COVID-19". Sprawdzano nasilenie oraz uwarunkowania objawów depresji i lęku uogólnionego u dorosłych. Czterokrotnie (w maju, czerwcu, lipcu i grudniu 2020 r.) przebadano za pośrednictwem panelu internetowego ogólnopolską próbę. „W grudniu 2020 w grupie ryzyka klinicznego nasilenia objawów depresji znajdowało się 29 proc. kobiet i 24 proc. mężczyzn. Dodatkowo 31 proc. kobiet oraz 26 proc. mężczyzn znajdowało się w grupie ryzyka klinicznego nasilenia objawów zespołu lęku uogólnionego" – czytamy w raporcie.

Najtrudniejszymi miesiącami z badanych okresów były dla nas maj i grudzień. Wiosną największym nasileniem przygnębienia i niepokoju zareagowała grupa najmłodszych dorosłych (od 18 do 24 lat). Autorzy badania podkreślają też, że „podwyższony poziom objawów depresji i lęku uogólnionego przejawiały osoby z następujących grup: osoby stanu wolnego; będące w związkach nieformal-

eprasa.pl 348985e4fc

nych; niemieszkające razem ze swoim/swoją partnerem/partnerką; przebywające na kwarantannie lub w domowej izolacji; będące prawie pewne, że były zakażone koronawirusem; które straciły pracę i/lub ciągłość wynagrodzenia w wyniku epidemii".

W grudniu z kolei najsilniejszych objawów depresji doświadczały osoby w wieku od 35 do 44 lat. „Było tak przypuszczalnie ze względu na zmęczenie i przeciążenie łączeniem obowiązków zawodowych i rodzicielskich, wspieranie dzieci w nauce zdalnej, jak również prawdopodobnie odczuwanie niepokoju dotyczącego swojej sytuacji zawodowej i finansowej" – podkreślają badacze. Należy zaznaczyć, że badanie to miało dość poważne ograniczenie, które może nie dać pełnego obrazu zwłaszcza w odniesieniu do najstarszej grupy osób. Mimo że próba była reprezentatywna pod względem demograficznym, to w badaniu brały udział wyłącznie osoby korzystające z Internetu.

Tym, co doskwiera nam najbardziej, jest zdaniem specjalistów przede wszystkim samotność. – Największy wpływ na pojawienie się objawów depresji ma w tej chwili izolacja, pozbawienie możliwości kontaktów z innymi ludźmi. We wszystkiego rodzaju zaburzeniach, a zwłaszcza w zaburzeniach depresyjnych, tym, co nas najbardziej podtrzymuje, co nas nawet w pewien sposób leczy, są dobre, bliskie kontakty z innymi ludźmi. I to kontakty raczej bezpośrednie, a nie przez telefon. Z tego, co wiem od moich pacjentów, to właśnie tego im najbardziej brakuje – mówi prof. Łukasz Święcicki. – Oczywiście pojawia się też strach, choć on teraz działa w mniejszym stopniu niż na początku pandemii, poczucie bezradności, poczucie, że jest się pionkiem na szachownicy. To na pewno nie sprzyja, ale najbardziej szkodzą naszemu samopoczuciu: izolacja, samotność, brak kontaktu z ludźmi – dodaje.

SREBRNE MASKI

Poczucie osamotnienia i izolacji dotyczy nas wszystkich, ale wyjątkowo dotkliwe jest dla seniorów. Joanna Mielczarek, dyrektor Stowarzyszenia „mali bracia Ubogich", które w różny sposób pomaga seniorom w samotności, mówi, że już na początku epidemii koronawirusa w Polsce i pierwszych ograniczeń zwiększono liczbę godzin dyżurów telefonu zaufania dla osób starszych. – Były momenty, kiedy telefon „grzał się do czerwoności", szczególnie w pierwszych dniach, kiedy ogłoszono lockdown i właściwie nikt do końca nie rozumiał, z czym to się może wiązać. Do wielu starszych osób korzystających z pomocy społecznej niemal z dnia na dzień przestały przychodzić opiekunki (które do tej pory robiły im zakupy, pomagały w czynnościach domowych itp.). Ci ludzie byli w olbrzymim strachu, dzwonili z pytaniem: „Co teraz ze mną będzie? Nie mogę wyjść i nikt nie może przyjść pomóc mi żyć?". W okresie od połowy marca do czerwca 2020 r. odebraliśmy co najmniej dwa razy więcej telefonów – mówi „Do Rzeczy" Mielczarek.

Pod numer telefonu zaufania Stowarzyszenia „mali bracia Ubogich" seniorzy mogą zadzwonić, by spytać o poradę, zwierzyć się ze swoich problemów i kiepskiego stanu psychicznego, ale też po to, by po prostu z kimś porozmawiać. – Myślę, że większość osób, które do nas dzwonią, traktuje te rozmowy jako jedną z niewielu dostępnych form obniżenia napięcia psychicznego. Ktoś powie: czym się taka starsza osoba może denerwować, przecież siedzi w domu i nic nie robi, mogłaby poczytać albo zrobić coś pożytecznego. Ale proszę sobie wyobrazić osobę, która nie może czytać, ponieważ ma słaby wzrok, kogoś, komu nawet rozmowy telefoniczne sprawiają pewną trudność, bo ma pogorszony słuch. W samotności wracają wspomnienia i związane z nimi przeżycia, które wzbudzają realne i silne emocje, często jest to smutek, żal, a nawet rozpacz – mówi Izabela Cymer, psychoterapeuta i gerontolog, konsultant telefonu zaufania Stowarzyszenia „mali bracia Ubogich". – Dużo jest rozmów, w których tle można dostrzec symptomy depresji, i to różnego rodzaju, bo depresja u osób starszych przybiera różne maski. Dzwonią też osoby, które leczą się na depresję od lat, i podkreślają, że styl życia, jaki teraz z konieczności prowadzą, nasila chorobę, powoduje, że trzeba zwiększać dawkę leku – dodaje.

Nawet seniorzy, którzy przed pandemią radzili sobie z samotnością, bo ich stan na to pozwalał, z dnia na dzień zostali pozbawieni niemal wszystkich możliwości wyrwania się z czterech ścian. – Dzwoni pani, która od lat choruje na depresję, ale wcześniej chodziła codziennie do domu dziennego pobytu i spędzała tam połowę dnia. W tej chwili ośrodki te są pozamykane. Dzwoni też pan, który ma 90 lat i jest w doskonałej kondycji intelektualnej. Ma potrzebę wymiany myśli, poglądów, informacji, mówi, że próbuje pisać, ale to jest jednostronne, a możliwość wymiany myśli ograniczona – mówi Izabela Cymer.

CZYSZCZENIE SUMIENIA

Dodaje, że regularnymi rozmówcami telefonu zaufania są także osoby posiadające rodziny – dzieci czy wnuki. Kontakty jednak często ulegają spłyceniu. Nie jest rzadkością podejście zadaniowe. Rodziny dostarczą leki, zrobią zakupy, zadzwonią z pytaniem o zdrowie i tłumaczą: „Mamo/tato, babciu/dziadku, nie chcę cię narażać". Oczywiście obawy są uzasadnione, ale jest też druga strona medalu – wirus staje się wygodnym pretekstem, by kontakt nie trwał zbyt długo. Posprzątanie domu czy uzupełnienie zapasów daje poczucie spełnionego obowiązku, czyści sumienie.

Pandemia, odosobnienie i przedłużający się stres mogą nie tylko powodować stany obniżonego nastroju, lecz także przyspieszać proces rozwoju demencji. – Nasilające się problemy z pamięcią, wzmożony lęk i przywoływanie stale tych samych tematów mogą zniechęcać rodziny do przedłużonych kontaktów. Świat sędziwych ludzi bardzo się kurczy. O czym ma opowiadać człowiek, który cały dzień spędza w domu? Najczęściej wraca do przeszłości, chce dać wyraz temu, że nie zawsze był stary i potrzebował pomocy – zauważa Izabela Cymer.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Telefon zaufania dla osób starszych

22 635 09 54
Poniedziałki, środy, czwartki: w godz. 17–20
W środy w godz. 14–16 odbywa się także dyżur w tematyce choroby Alzheimera

Antydepresyjny Telefon Zaufania

22 484 88 01
Dyżury psychologów:
poniedziałki, wtorki, niedziele: w godz. 15–20
środy, piątki: w godz. 10–15

Dyżury psychiatrów:
czwartki: w godz. 16–21
piątki: w godz. 15–20

eprasa.pl 348985e4fc

Edward Brooke-Hitching FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Księga śmiechu i utrapienia

Wiesław Chełminiak

Borges uważał bibliotekę za model wszechświata. W papierowym uniwersum, tak jak w rzeczywistym, są strefy, których rozumem nie ogarniesz. O nich właśnie traktuje „Biblioteka szaleńca"

Twórca owego panoptikum, Edward Brooke-Hitching, dał się poznać polskiej publiczności jako autor „Atlasu lądów niebyłych", poświęconego krainom zrodzonym w ludzkiej wyobraźni. Najnowsze, bogato ilustrowane dzieło Anglika opowiada o księgach dziwacznych, odstających od normy treścią, wyglądem, rozmiarem lub choćby tytułem. W tej ostatniej kategorii przyznawana jest nawet specjalna nagroda: w ubiegłym roku laureatem został autor pracy „Pies sikający na skraju ścieżki: zwierzęce metafory w społeczności wschodniej Indonezji".

WYSTRZAŁOWY MODLITEWNIK

Brooke-Hitching, jak na wyspiarza przystało, kocha ekscentryków, w dodatku sam jest dziedzicznie obciążony. Jeden z jego przodków popełnił diatrybę „Wrogowie książek" (zaliczał do nich ogień, wodę, kurz, insekty, dzieci, służących, introligatorów, ignorantów i bigotów), ojciec zaś był antykwariuszem. Edward już za młodu zapowiadał się źle – zamiast przeznaczać stypendium na jedzenie, czynsz i hulanki, trwonił je na słowo drukowane. Nie dziwota, że z takiego gagatka wyrósł kolekcjoner anegdot o kaprysach literatów i czytelników. Włoski oryginał Gabriele d'Annunzio lubił oddawać się lekturze w wannie, więc specjalnie dla niego drukowano na gumie. Saddam Husajn użyczył ponad 24 litrów własnej krwi, by zastąpiła atrament w liczącym 605 stron egzemplarzu Koranu. A co powiedzą Państwo na książki jadalne, książki ubrania, książki pozwalające się kontaktować z zaświatami, powieść oprawioną w ludzką skórę czy modlitewnik z ukrytym w środku, gotowym do strzału, pistoletem?

Wujek Google podaje, że napisano dotąd ok. 130 mln książek. Jedne były nośnikami wiedzy, inne wręcz przeciwnie – mieszały ludziom w głowach. Dość wspomnieć „Mein Kampf" (która właśnie ukazała się po polsku) i „Krótki kurs historii WKP(b)", ale historia zna też inne frapujące przypadki, w rodzaju poetki, która przez całe życie pisała (i wydawała) wiersze miłosne do kur. Księgę toksyczną w sensie dosłownym wymyślił Aleksander Dumas ojciec na użytek „Królowej Margot". Lekarze radzą natomiast unikać kontaktu z XIX-wiecznymi okładkami, pomalowanymi zieloną farbą z zawartością arszeniku.

KLĄTWA GUTENBERGA

Już na sumeryjskich glinianych tabliczkach i egipskich papirusach wypisywano głupstwa, jednak ich siłę rażenia zwielokrotnił dopiero wynalazek druku. Odtąd każdy grafoman lub domorosły mędrzec mógł dotrzeć do publiczności znacznie szerszej niż rodzina i grono znajomych. W branży księgarskiej również obowiązuje zasada, że gorszy produkt wygrywa z lepszym. W czasach nowożytnych publikę, oprócz poradników kulinarnych, romansów i horoskopów, rajcowały ilustrowane katalogi osobliwości medycznych. Ludzie łaknęli wiedzy o deformujących ciało chorobach, jak gąbki chłonęli sensacje o mężczyźnie, który zamiast moczu wydalił rój much, i kobiecie, która powiła 15 królicząt.

W XX w. królem literatury paranaukowej był L. Ron Hobbard. Twórca scjentologii popełnił ni mniej, ni więcej 1084 prac, z których najbardziej tajemniczą jest „Excalibur". Jak zapewniał autor, czworo z 15 pierwszych czytelników pod wpływem lektury oszalało, zaś niedoszły wydawca wyskoczył z okna drapacza chmur w Nowym Jorku. Historia zna przypadki bestsellerów niezamierzonych. W roku 1966 pewien amerykański dziennikarz,

eprasa.pl 348985e4fc

w proteście przeciw zalewowi pornografii w dwa tygodnie wysmażył z kolegami powieść o nimfomance, zaliczającej żonatych sąsiadów. Ku jego przerażeniu książka sprzedawała się jak świeże bułeczki, przetłumaczono ją na kilkanaście języków. Wydawca zaoferował żurnaliście pół miliona dolarów za kontynuację, zaś hollywoodzkie wytwórnie walczyły o zdobycie praw do ekranizacji.

SPIS CUDZOŁOŻNIC

Urok „Biblioteki szaleńca" polega również na tym, że jej twórca nie potrafi powstrzymać się od dygresji (o dziwacznych maszynach do pisania, pamfletach czy alchemicznych rękopisach). Zebranym materiałem gospodaruje nad wyraz rozrzutnie, po kilka zdań poświęca historiom, o których kto inny napisałby rozdział, ba! powieść całą.

Erudycja Brooke'a-Hitchinga ma oczywiście swoje granice, dość ściśle pokrywające się z zasięgiem angielszczyzny jako języka urzędowego. Zdarzają się passusy o innych nacjach (reprodukcja japońskiego zwoju uwieczniającego zawody w puszczaniu wiatrów zajmuje całe dwie strony), ale to czysta kurtuazja. Nasz bibliotekoznawca jest dumny, że to w Londynie ukazał się pierwszy słownik wulgaryzmów i gwary przestępczej, tudzież corocznie aktualizowany kieszonkowy katalog prostytutek, pracujących w Covent Garden i okolicach (z detalicznym opisem ich zalet i wad).

O zachodniej cywilizacji nie najlepiej świadczy fakt, że wiele pożytecznych dzieł kompetentnych autorów poszło w zapomnienie, zaś bezustanne zainteresowanie wzbudzają pozycje obarczone kardynalnymi błędami lub skrajnie nieudolne. Brooke-Hitching podobnie jak Mark Twain jest fanem wydanych w Paryżu w roku 1855 rozmówek portugalsko-angielskich. Ich autor o języku Szekspira miał nader mgliste pojęcie, co zaowocowało zwrotami w rodzaju: „Czy twoi rodzice już istnieją?", „Łamiesz mi głowę" albo „Wszystkie drzewa mają bardzo interes niedźwiedzia". Powieści tak złe, że aż dobre często stają się obiektem sadomasochistycznego kultu. Ze wszystkich wydań Biblii najwyższe ceny na aukcjach osiągają zaś egzemplarze, które padły ofiarą chochlika drukarskiego.

RYBO, DO NOGI!

Wydawałoby się, że plaga bestiariuszy, zbiorów plotek, legend i fantazji przedstawianych jako najprawdziwsza prawda, ustała wraz z nadejściem ery nowożytnej. Nic z tych rzeczy. W roku 1719 w Amsterdamie, jednej z intelektualnych stolic ówczesnego świata, ukazała się praca o morskich stworzeniach. Jej autor utrzymywał, że na własne oczy widział syreny i homary, wspinające się na drzewa. Miał też do czynienia z czworonożną rybą, która przez trzy dni łaziła za nim jak pies.

Jeszcze dłużej przetrwała miłość do senników, horoskopów oraz literatury ezoterycznej lub wręcz satanistycznej. Pokaźny zbiór tej ostatniej znajduje się w Archiwum Watykańskim, gdyż kuria wychodziła z założenia, że wroga trzeba jak najlepiej poznać, zanim się go pokona.

Osobny rozdział Brooke-Hitching poświęcił książkom szyfrowanym. Jak się okazuje, przykłady kamuflażu można znaleźć nawet w Biblii. Entuzjastą ukrytych kodów był Juliusz Cezar, Kamasutra zalecała ich stosowanie kobietom, pragnącym utrzymać swoje życie uczuciowe w tajemnicy. Dzieła Szekspira zawierają ponoć ukryte informacje, pozwalające zidentyfikować osobę prawdziwego autora „Hamleta". Pomysłowość ludzka nie zna granic. Przekazywano wiadomość we wnętrzu jajka lub wytatuowaną na ogolonej głowie posłańca (wyruszał w drogę, dopiero gdy włosy odrosły).

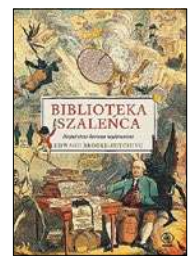

EDWARD BROOKE-HITCHING „BIBLIOTEKA SZALEŃCA" TŁUM. JANUSZ SZCZEPAŃSKI, DOM WYDAWNICZY REBIS 2020

POŚMIERTNI GRAFOMANI

Listy, pisane atramentem sympatycznym, czyli sokiem z cytryny, cebuli, ziół lub – w ostateczności – moczem, łatwo można było odczytać. Dlatego wojskowi, poszukiwacze skarbów tudzież okultyści wymyślali całe alfabety, by dostęp do wiedzy mieli jedynie wtajemniczeni. Miarą skuteczności tych zabiegów jest fakt, że są artefakty nierozszyfrowane do dzisiaj (patrz: słynny rękopis Wojnicza).

Manuskryptu, który polski antykwariusz kupił ponoć do jezuitów z Frascati, nie ima się żaden program komputerowy, co umacnia tezę, że mamy do czynienia z oszustwem albo żartem. Podobne mistyfikacje uprawiano już w starożytności: pewien ateński filozof zakpił ze swego mistrza, podsuwając mu rzekomą tragedię Sofoklesa, którą sam raczył był napisać. Epoka wielkich odkryć powołała do życia nowy gatunek bestsellera: wyssaną z palca relację z egzotycznej podróży.

Literackie humbugi powstawały zwykle z chęci zysku, sławy lub zemsty, ewentualnie dla draki. Czasem jednak pobudki autorów bywały szlachetne. Szkockie „Pieśni Osjana" i czeski „Rękopis królowodworski", fałszywe od pierwszej do ostatniej litery, zrodziła chęć dowartościowania rodaków przez dopisanie im chwalebnej przeszłości. Moda na takie zabiegi minęła wraz z romantyzmem, ale pod koniec wieku XIX furorę robiły utwory dyktowane przez duchy sławnych pisarzy i poetów w czasie seansów spirytystycznych.

Krytycy szydzili, że życie pozagrobowe źle wpływa na rozwój literackiego talentu. I oni jednak zostali upokorzeni. Romain Gary – pisarz, uznany za skończonego, udowodnił, że wystarczy wydać nową powieść pod pseudonimem, by recenzenci uznali ją za objawienie. Zyskująca coraz większą popularność literatura faktu też przyciąga blagierów. Niemiecki magazyn „Stern" dał się nabrać na fałszywe dzienniki Hitlera, gwiazdą „New York Timesa" został reporter, który z lenistwa (i dla lepszego efektu) zamiast pofatygować się na miejsce zdarzenia, zmyślał lub plagiatował cudze teksty.

Nie spodziewałbym się polskiego odpowiednika „Biblioteki szaleńca", choć w kategorii literaccy dziwacy i oszuści zapewne nie odstajemy od średniej światowej. Oprócz przypadków oczywistych typu „Kronika polska" Prokosza trzeba by bowiem odbrązowić wiele pomników, a na to nie jesteśmy gotowi. Poza tym autora z pewnością obciążono by współodpowiedzialnością za upadek czytelnictwa. Czasy, w których księgom przypisywano nadzwyczajną moc, traktowano jak talizmany, a pod wpływem lektury ludzie zmieniali swoje życie, już nie wrócą. Słychać requiem dla wynalazku Gutenberga. Na szczęście tacy jak Brooke-Hitching dbają, by znalazły się w nim również wesołe nuty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Parada oszustek

★★★★☆☆

REŻ. J. BAKESON
„O WSZYSTKO ZADBAM" („I CARE A LOT")
USA 2021

wyst. Rosamund Pike, Peter Dinklage, Dianne Wiest

Film Bakesona stawiam na tej samej półce co „Za wszelką cenę" Gusa Van Santa czy „W czym mamy problem" Johna Watersa. Były to czarne komedie wyszydzające rozmaite elementy amerykańskiego snu. W pierwszej główną figurą była bezwzględna prezenterka telewizyjna (Nicole Kidman), w drugiej perfekcyjna mama i żona (Kathleen Turner) mordująca wszystkich, którzy jej wizji idealnego domu mogli zagrozić. „O wszystko zadbam" to film lepszy od wspomnianych, zagrany znakomicie i łączący bardzo ponurą refleksję z wątpliwym moralnym pocieszeniem.

Marla Grayson to drapieżnik w skórze kobiety, specjalistka od opieki na osobami starszymi i bezradnymi. Przed sądem rodzinnym zgrywa ciepłą i godną zaufania, w rzeczywistości robi wszystko, by ograbić swych podopiecznych z całego majątku. Wszystko lege artis, bo wewnątrz systemu prawnego stworzyła własny system: zaprzyjaźniona lekarz wskazuje potencjalne bogate ofiary, zaprzyjaźniony szef domu opieki dba o to, by ograbiani nieszczęśnicy odcięci byli od świata, a naiwny sędzia orzeka zawsze na korzyść Marli, widząc w niej anioła na ziemi.

Wydaje się, że proceder dobiegnie końca, kiedy bezlitosna opiekunka weźmie na cel staruszkę powiązaną z rosyjską mafią, ale lekcja, której udziela nam Bakeson, jest inna: dziś nie pięść i rewolwer, lecz wykorzystywanie prawa jest najskuteczniejszym sposobem zarabiania pieniędzy. Bo system – jak to często przypominają ostatnio amerykańscy filmowcy – nie działa: nie chroni słabych, daje przewagę silnym i zamienia świat w dżunglę, gdzie przetrwają najbardziej bezwzględni.

Świetna jest tu aktorska robota: Rosamund Pike jako złowroga Marla (Złoty Glob), Dianne Wiest w roli niebezpiecznej staruszki oraz Peter Dinklage (Tyrion z serialu „Gra o tron") niespodziewanie jako rosyjski mafioso. „O wszystko zadbam" to także film wychwalający girl power, ale nie jestem pewien, czy w sposób, który spodoba się wyznawcom LGBTQ+. Amoralne organizatorki niecnego procederu to lesbijki, którym trudno z czystym sumieniem kibicować. Nie znaczy to jednak, że panowie są tu przedstawieni szczególnie korzystnie: niemal wszyscy to oszuści, bandyci lub zwykłe oblechy. Ot, hollywoodzki feminizm XXI stulecia. ©℗

NOWE SERIALE: „ALLEN KONTRA FARROW" HBO

Cztery godziny prania brudów. Czy przybliżające do prawdy? Mia Farrow pierwszy raz od lat publicznie wypowiada się o oskarżeniach wysuwanych wobec Woody'ego Allena, przed kamerą pojawia się też domniemana ofiara molestowania, czyli jej córka Dylan Farrow. Brak wypowiedzi drugiej strony. Reżyser nie chciał wystąpić, więc twórcy wykorzystali fragmenty wersji audio jego autobiografii (co będzie przedmiotem sprawy sądowej). Triumfują emocje, nie fakty, te zaś są takie, że żaden ze śledczych czy z sędziów nie uznał nigdy Allena za winnego. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***reż. Kirby Dick, Amy Ziering „Allen kontra Farrow", USA 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 3* ***„Formuła 1: Jazda o życie" („Formula 1: Drive to Survive")****, USA 2021*

• *sezon 3* ***„Stulecie winnych"****, Polska 2021* TVP 1

• *reż. Pendleton Ward* ***„Pora na przygodę: Odległe krainy" („Adventure Time: Distant Lands")****, USA 2020*

eprasa.pl 348985e4fc

Słońcem oślepieni

HBO GO

W Wielki Czwartek francuscy królowie zwykli myć nogi biedakom. Tradycja przepadła razem z monarchią. Wielka rewolucja to nad Sekwaną temat tabu, przekonał się o tym Wajda, gdy nakręcił „Dantona". Pierre Schoeller podszedł do sprawy jak pies do jeża. Jego film nie zadowoli ani fanów, ani krytyków przewrotu, który zaczął się od ataku na Bastylię. Po zburzeniu twierdzy na sąsiednią ulicę po raz pierwszy dociera słońce, co cieszy mieszkańców niemal tak samo jak upadek absolutyzmu. Kobiety maszerują na Wersal, śpiewają „Ah! ça ira", żądają „chleba i praw", sadzą drzewko wolności, zakładają trójkolorowe kokardy, wypełniają galerię dla widzów w Zgromadzeniu Narodowym. Królowi, który jest tu postacią drugorzędną, śnią się jego wielcy poprzednicy. Nazywają go Ludwikiem Zero i zarzucają mu nieudolność.

Film jest mało koherentny i nierówny. Reżyser dopuszcza do głosu deputowanych, dla których szczytem marzeń jest monarchia konstytucyjna, jednak idolami paryskiego ludu są odrażający demagog Marat i upudrowany fanatyk Robespierre. Andrzej Chyra jako polski sankiulota Łazowski wzywa do ataku na Tuileries. Rozbudzona politycznie praczka narzeka: „Przespaliśmy setki lat", ale po straceniu króla jej koleżanka przepowiada rodakom: „Jeszcze za tysiąc lat będziecie pokutować". No i pokutują. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. PIERRE SCHOELLER
„NARÓD I JEGO KRÓL" („UN PEUPLE ET SON ROI")
FRANCJA 2018

wyst. Adèle Haenel, Gaspard Ulliel, Olivier Gourmet

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BILET DO KATMANDU

W KINACH

Wiosny jeszcze nie widać, a Tomasz Jurkiewicz wspomina upalne lato. Ze studenckich czasów pamiętam nieładny zapach, który pojawiał się, gdy pociąg wjeżdżał na stację Trzebinia. Sądząc z wypowiedzi bohaterów mieszkających w cieniu rafinerii, pod tym względem nic się nie zmieniło. Tymi bohaterami są zdziecinniały dziadek, sfrustrowana matka i Jurek – dumny właściciel motocykla, przeżywający męki dorastania. W ospałym miasteczku pojawia się intruz, a wraz z nim pierwsze, nie najlepiej ulokowane uczucie. Film zaczyna się od popularnego słowa na „k", ale na szczęście Jurkiewicz, urodzony w pobliskim Chrzanowie, szybko spuszcza z tonu. W Trzebini „jest jak wszędzie", raz weselej, raz smutniej, a najczęściej nudno. Przed osunięciem się w banał kina inicjacyjnego ratują fabułę znakomicie dysponowani aktorzy. Dodatkowy plus za organowe solo, brak telefonów komórkowych i ochronnych maseczek.

★★★☆☆☆

REŻ. TOMASZ JURKIEWICZ
„KAŻDY MA SWOJE LATO"
POLSKA 2021

wyst. Nicolas Przygoda, Anita Poddębniak, Sandra Drzymalska

ONI WRÓCĄ!

vod.pl

Na pustyni w Arizonie, przy dźwiękach przerażającej muzyki, spada meteoryt. Astronom amator – jedyny, który miał okazję przyjrzeć się obiektowi – twierdzi, że w skały wbiła się rakieta w kształcie futbolówki. Niestety, z wyjątkiem narzeczonej nikt mu nie wierzy, a miejscowy szeryf ma ochotę Johna sponiewierać. Panowie noszą tweedowe marynarki, panie kuszą fryzurami à la Ava Gardner i Marilyn Monroe. Pojawia się też, modny w epoce zimnej wojny, motyw infiltracji. Film jest pod wieloma względami modelowy, pokazuje, jak przy użyciu skromnych środków osiągnąć efekt. Autor pomysłu, Ray Bradbury, przejrzał na wylot naturę gatunku homo sapiens, więc i to bliskie spotkanie trzeciego stopnia owocuje porażką. Co z tego, że kosmici „rozumieją więcej", skoro ludzie zamiast dorosnąć do kontaktu z obcymi cywilizacjami, „niszczą wszystko, czego nie rozumieją"? Zwłaszcza gdy jest upał. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆

REŻ. JACK ARNOLD
„PRZYBYSZE Z PRZESTRZENI KOSMICZNEJ"
USA 1953

wyst. Richard Carlson, Barbara Rush, Charles Drake

GRA TYGODNIA: „TWIERDZA: WŁADCY WOJNY"

★★★★☆☆

Siedem lat czekali fani „Twierdzy" na kolejną pełnoprawną odsłonę serii. Tym razem areną działań jest Daleki Wschód na przestrzeni kilkunastu stuleci – od III w. p.n.e. do wieku XIII. Starzy wyjadacze odnajdą się w znanej mechanice. Nowością są tytułowi „władcy wojny", czyli sterowani przez SI lokalni władcy, których możemy siłą lub sprawną polityką (punkty dyplomacji to kolejna nowość) zwasalizować, a następnie czerpać korzyści ekonomiczne lub zażądać od nich militarnego wsparcia. „Stronghold: Warlords" to zwłaszcza pięć kampanii (w tym jedna ekonomiczna) dla jednego gracza, ale dostajemy też tryby potyczki i multiplayer. Bywały lepsze odsłony serii, ale ta rozczarowaniem nie jest. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Strategia/RTS*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Firefly Studios, Cenega SA*

eprasa.pl 348985e4fc

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Luka po Kisielu

Nie lubię wszelkiego rodzaju wyborów z pism, skrótów, prokurowanych po śmierci rzekomych „autobiografii". Dlatego nieufnie podszedłem do „Reakcjonisty" – wydanej przez Kartę w serii „Świadectwa. XX wiek" w wyborze i opracowaniu Małgorzaty Sopyło esencji czy może kwintesencji ogromnego dorobku pisarskiego Stefana Kisielewskiego, zmarłego w 1991 r. świetnego felietonisty, publicysty, diarysty i powieściopisarza (jego dorobek muzyczny pozostawimy w tym wypadku na uboczu). A jednak wciągnęła mnie ta książka złożona nie tylko z ogólnie dostępnych tekstów, lecz także np. z niepublikowanych wystąpień na rozmaitych forach, wywiadów, a i wypowiedzi uwiecznionych przez nieodstępujących go w PRL-owskich czasach agentów Służby Bezpieczeństwa. W sumie „Reakcjonista" przedstawia oryginalny wizerunek Kisiela, myślę, że interesujący i dla tych, którzy o Kisielu wiedzą – jak im się zdaje – wszystko.

Był człowiekiem bez złudzeń, pozbawionym uprzedzeń, a myślącym, nade wszystko, racjonalnie. To dlatego w 1990 r. mówił wprost: „W nocy czytałem książkę Kuronia »Wiara i wina«. Facet przez całe życie nie miał pieniędzy, był dziadem. I czemuż on się tym tak chwali? Świetnie napisane, ale przerażające… Teraz jest ministrem pracy i spraw socjalnych, a mówi tylko o filantropii. Nie o tym, gdzie pracować, co robić, jak się dorabiać. Po prostu nie ma o tym pojęcia".

„Podpadał" każdemu. W pierwszym rzędzie, naturalnie, komunistom, ale i wszystkim innym doktrynerom; Solidarności, z którą sympatyzował, ale do niej nie wstąpił; „Tygodnikowi Powszechnemu", w którym zdobył sławę największego polskiego felietonisty, ale z którego linią się nie zgadzał; Jerzemu Giedroyciowi, dzięki któremu w ogóle zaczął pisać, a jednak skakał mu do oczu, ba, potrafił sprzeciwić się polityce prymasa Wyszyńskiego, którego wyjątkowo cenił i zazwyczaj wspierał. Generalnie rzecz biorąc, miał głęboko niesłuszne poglądy na wszystko.

FOT. WITOLD ROZNYSŁOWICZ / PAP

Słusznie zwraca uwagę w posłowiu Bartosz Kalicki na niedocenianie przez „kolegów" literatów powieści Kisiela (m.in. „Widziane z góry", „Cienie w pieczarze", „Ludzie z akwarium") wydawanych w Instytucie Literackim w Paryżu, podpisywanych z czasem rozszyfrowanym pseudonimem Tomasz Staliński. Dość przypomnieć tu opinię Tadeusza Konwickiego o pierwszej z tych książek: „To jakieś glindzioły. Toporna, kulfoniasta, niezręczna proza. Z zakalcami publicystyki niby to psychologicznej […]. I zieje z tej epiki jakimś zdumiewającym anachronizmem". Zaraz też Konwicki w swoim stylu docenia pisarza: „Był przez kilka lat za ojca narodu". Krytycznej ocenie pisarstwa Kisielewskiego towarzyszyła zresztą niekiedy zwyczajna zazdrość.

Raz w życiu rozmawiałem dłużej ze Stefanem Kisielewskim, jeszcze za komuny, i bardzo żałuję, że tylko ten jeden raz, zazdroszcząc swojemu redakcyjnemu koledze, Piotrowi Gabryelowi, który u schyłku życia Kisiela stał się jego stałym rozmówcą. Dwa miesiące przed śmiercią powiedział mu, niejako podsumowując swoje wieloletnie „wołanie na puszczy" czy „bicie głową w ściany": „Boję się, że zmarnowałem życie. Z jednej strony moje akcje polityczne przyniosły pewien rezultat, z drugiej – wszystko to stałoby się również beze mnie". Dalej: „W swoich książkach opisywałem głównie komunizm i marksistów – to było, według mnie, najciekawsze dziwactwo naszych czasów. Cóż z tego jednak, skoro w tej chwili to nikogo już nie interesuje, zostało zapomniane. A takie typy, jak Kliszko, Strzelecki, Gomułka – dla mnie najosobliwsze twory, jakie chodziły pod słońcem – nikogo teraz nie zajmują. Zapomniano o nich i o tym, że miliony ludzi dawały im się robić w konia.

Boję się więc, że w czarną dziurę niepamięci wpadnie również moja twórczość, tamtych dziwacznych czasów i ludzi dotycząca. Trzecia rzecz, której się boję, to żeby z Polską nie stało się coś niedobrego, ale to już, oczywiście, bez mojego udziału".

Luki po Kisielu nie dało się przez trzy dekady wypełnić. On, rzeczywiście, jak orzekł jego przyjaciel Jerzy Waldorff, był jak Wawel. Niedawno minęła 110. rocznica jego urodzin, 27 września minie 30 lat od chwili, gdy pożegnaliśmy tego absolutnie wyjątkowego człowieka. Wracajmy do jego publicystyki, felietonów, powieści, włącznie z tym – jak wybór dokonany przez Małgorzatę Sopyło nazwał Bartosz Kalicki – „niepowierzchownym kursem kisielizmu". ©℗

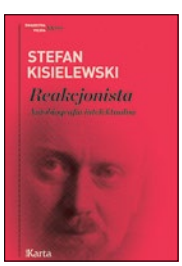

★★★★★☆

STEFAN KISIELEWSKI „REAKCJONISTA. AUTOBIOGRAFIA INTELEKTUALNA" OŚRODEK KARTA, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 348985e4fc

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Skrzywdzeni i poniżeni

Niczym średniowieczni włóczędzy pozostawiający na domach sekretne znaki („tu karmią", „omijaj ten dom") bohaterowie „Nomadlandu" kreślą własną mapę Ameryki i przekazują sobie podpowiedzi: tu można się za darmo umyć, tu jest najtańszy prąd, tu szukają kogoś do pomocy. Czytają „Podróże z Charleyem" Johna Steinbecka, klasykę literatury drogi, doprawiając swą niedolę szczyptą podróżniczej mitologii. Większość domów i posad wyrzucił kryzys finansowy roku 2008. Teraz wędrują za pracą sezonową, każdy jak potrafi: pick-upem, busem, kamperem. Bardzo często to ludzie starsi, którzy nie mają co liczyć na spokojną i szczęśliwą emeryturę. Jessica Bruder, autorka książki, podróżuje wraz z nimi, wysłuchuje opowieści o dawnym i obecnym życiu, zatrudnia się wraz z nimi, by sprawdzić, jak zbiera się buraki cukrowe albo jak wyglądają centra magazynowe Amazona od środka. (Podpowiedź: rozdział o Amazonie to jeden z najbardziej ponurych fragmentów i tak niewesołej książki).

W Wielkiej Brytanii w podobną podróż wybrał się dziennikarz James Bloodworth, autor książki „Zatyrani. Reportaż o najgorzej płatnych pracach". Jest to reportaż wcieleniowy, autor nie czuł się najlepiej, ukrywając swój prawdziwy zawód, ale nie miał wyboru, chcąc poznać prawdę o życiu ludzi pracujących za minimalne stawki. Przez pół roku zatrudniał się i zwalniał wraz z nimi, mieszkał w najnędzniejszych warunkach. Podobnie jak autorka „Nomadlandu" nie szczędzi krytyki nadzorcom siły roboczej z Amazona. Materiał do przemyślenia dla wszystkich tak szczęśliwych z faktu, że amerykański gigant wszedł właśnie do Polski.

Siłą rzeczy Bloodworth spędził wiele czasu wśród imigrantów, bo Anglicy po słabo płatne prace się nie schylają. Przybysz z Rumunii powiedział mu, że traktowany jest jak pies i zarabia nędznie, ale w ojczystym kraju traktowany byłby tak samo, zarabiał trzy razy mniej i do tego głodował. Rachunek więc jest prosty. Obie książki są gorzkim oskarżeniem współczesnego turbokapitalizmu rozwalającego tradycyjne struktury społeczne i zamieniającego przedstawicieli niższej klasy średniej w niewolników. Nie przynoszą odpowiedzi na pytanie „Jak temu zaradzić?", ale pokazują, skąd nadejdą uzasadnione wściekłość i bunt. ©℗

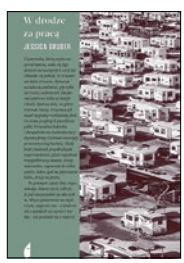

★★★★★☆
JESSICA BRUDER „NOMADLAND. W DRODZE ZA PRACĄ" WYDAWNICTWO CZARNE

★★★★★☆
JAMES BLOODWORTH „ZATYRANI" PRÓSZYŃSKI I S-KA

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Nie korzystaj z porad tych, którzy na nich korzystają". „Większość współczesnych udogodnień to kara w zawieszeniu". Tom aforyzmów autora bestsellerów „Czarny łabędź" i „Antykruchość", filozofa i ekonomisty.

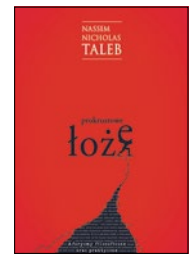

NASSIM NICHOLAS TALEB „PROKRUSTOWE ŁOŻE" ZYSK I S-KA

Sztuka teatralna inspirowana dziejami płk. Kuklińskiego, rzecz nie tylko o walce wywiadów i demaskowaniu sowieckich planów atomowej zagłady, lecz także, jak podpowiada autor, „studium archetypu samotnego wojownika".

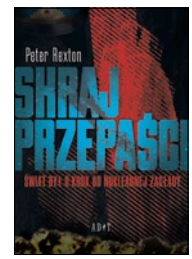

PETER REXTON „SKRAJ PRZEPAŚCI" AGENCJA DRAMATU I TEATRU

Autobiografia przywódcy Tybetańczyków przebywającego od ponad 60 lat na wygnaniu. Wstrząsająca opowieść o tragedii kraju niszczonego przez chińską dyktaturę komunistyczną i zarazem wezwanie do polityki bez przemocy.

DALAJLAMA „WOLNOŚĆ NA WYGNANIU" PIW

Nowa powieść jednego z ciekawszych autorów fantastyki („Modyfikowany węgiel", „Siły rynku"). Tym razem kierunek Mars, arena walki między siłami najbogatszych ludzi na Ziemi i ruchem na rzecz niepodległości planety. ©℗

poleca Piotr Gociek

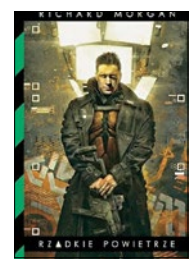

RICHARD MORGAN „RZADKIE POWIETRZE" MAG

KOMIKS TYGODNIA: „ŚWIAT DRYFTU"

Do krainy rozdartej wojną między elfami a trollami trafia ludzkie dziecię – dziewczyna w tajemniczy sposób związana z potężną czarownicą szykującą się do podboju Dryftu. Pierwszy tom cyklu nosi tytuł „Opowieść o złodziejach i trollach" i jest to autorska (rysunki plus scenariusz), pełna przygód i humoru opowieść fantasy uznanego twórcy holenderskiego, laureata Prix Saint-Michel za historyczny komiks „Apostata". Broeders jest przedstawicielem dobrej szkoły europejskiego komiksu, idącym w ślady Didiera Tarquina czy Régisa Loisela. To jego debiut na polskim rynku – bardzo obiecujący. ©℗

poleca Piotr Gociek

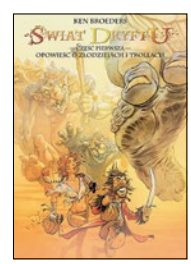

KEN BROEDERS „ŚWIAT DRYFTU" WYDAWNICTWO LOST IN TIME 2021

eprasa.pl 348985e4fc

Po dyżurze DOC.

FOT. ZESPOŁ DOC.PL

Ich „Ze stali" stało się nieformalnym hymnem pracowników służby zdrowia walczących z COVID-19 na pierwszej linii frontu. Po koncercie „Dla Medyków" w Polskim Radiu Rzeszów zmienili koncepcję, by klip do singla kręcić na siłowni, i poprosili tych, którym „Ze stali" jest poświęcony, czyli lekarzy, by przysyłali krótkie nagrania pokazujące ich pracę w dobie pandemii. Odzew był, teledysk powstał i zebrał sporą publiczność.
Konrad Baum i Tomasz Ryznar, którzy zakładali zespół DOC., sami są lekarzami. Ten pierwszy jest neurologiem, a po godzinach wokalistą i gitarzystą, od kilkunastu lat współtworzącym różne muzyczne projekty, uczestniczył w kilku talent show. Drugi ze współzałożycieli DOC. to lekarz internista. Oprócz medycyny ukończył także Państwową Szkołę Muzyczną I stopnia w klasie akordeonu, ale bardziej od akordeonu po drodze mu z gitarą basową. Skład DOC. uzupełnia trzech muzyków z Podkarpacia: klawiszowiec Witold Drapała, perkusista Filip Łukaszewicz oraz gitarzysta Kacper Radek. Projekt zrodził się w roku 2014, materiał na pierwszą (i jak dotąd jedyną) płytę powstawał dwa lata. W pełni autorski album „Dla kilku chwil" był udanym debiutem, uznanym za najlepszą płytę Podkarpacia w konkursie WERBEL 2017 organizowanym przez Polskie Radio Rzeszów. Autorem tekstów jest Konrad Baum, który wspólnie z Witoldem Drapałą komponował też muzykę. Aranżacja to już praca zespołowa całego DOC. – To materiał, nad którym pracowaliśmy przez dwa lata. Jest bardzo zróżnicowany. Mieszanka rocka, R'n'B. Nasz własny styl. Dojrzała, przemyślana całość – mówił w jednym z wywiadów Konrad Baum. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

45 lat zapomnienia

To dziewięcioosobowe combo nie doczekało się nawet małej płyty. Odkurzone po latach nagrania radiowe świadczą, że Komand Band był muzycznym zjawiskiem na scenie lat 70.

Klawiszowiec Janusz Koman, znany wcześniej z grup Czerwono-Czarni i Land, założył Koman Band w 1973 r. Formacja wzorowana na amerykańskim Blood, Sweat & Tears miała potężne brzmienie oparte na czteroosobowej sekcji dętej, rozwibrowanej gitarze, pulsującym basie i spajającym całość elektrycznym fortepianie lidera. Ekspresyjny, mocny głos Wojciecha Tarczyńskiego dodawał zespołowi ostatecznego, soulowego blasku.

Między kwietniem 1974 r. a październikiem 1975 r. KM zarejestrował osiem nagrań. Oprócz trzech doskonale wykonanych piosenek ze smyczkami à la „Shaft" Isaaca Hayesa usłyszymy trzy pięknie funkujące instrumentale i dwie suity. Mimo wyraźnych wpływów amerykańskiej muzyki fusion są to kompozycje nie tylko oryginalne, lecz także wręcz unikatowe na polskiej scenie. Świadczące o wielkich ambicjach lidera i jego wysokim kunszcie aranżacyjnym.

Niestety, Komanowi nie udało się utrzymać tak rozbudowanego składu zespołu. Nie nagrawszy żadnego przeboju, grupa przestała istnieć w połowie 1976 r. Lider wkroczył z powodzeniem w świat muzycznej estrady, współpracował m.in. z Krystyną Prońko, ze Stanem Borysem i Zdzisławą Sośnicką. ©℗

★★★★★☆
KOMAN BAND „CONTINUATION" GAD

★★★★☆☆
MUNIEK & PRZYJACIELE „NA ŻYWO I AKUSTYCZNIE 2018–19" ART2 MUSIC

Wokal, dwie gitary i harmonijki. Skromna trasa po klubach rozrosła się do 80 koncertów. Muniek śpiewa piosenki z płyt solowych oraz zespołów T.Love i Szwagierkolaski. Jest też Bob Dylan po polsku. Atmosfera rozluźniona.

★★★☆☆☆
PAT METHENY „ROAD TO THE SUN" MODERN RECORDINGS

Pat debiutuje jako kompozytor muzyki klasycznej na gitarę. Pierwszą suitę, „Four Paths of Light", napisał dla wirtuoza Jasona Vieauxa. Drugą, tytułową, dla Los Angeles Guitar Quartet. W finale Metheny interpretuje na 42-strunowej gitarze utwór Arvo Pärta. ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

Anton Czechow, „Trzy siostry", reż. Jan Englert, Teatr Narodowy w Warszawie, premiera: 27 lutego 2021 r. FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI

Grzegorz Kondrasiuk

Englertowi wyszedł spektakl nie do końca o tym, o czym zamierzał

Ironiczny, oniryczny Czechow

Do Czechowa przystępuję zawsze z tym samym pytaniem: Czy to jeszcze działa? Czy będzie to miało jakikolwiek sens dla widzów, a nie dla teatru kultywującego swoje wewnętrzne rytuały? Wiadomo – teatry lubią co jakiś czas „zrobić" tego arcyteatralnego autora, szczególnie jeśli w obsadzie mają pojawić się gwiazdy, których sceniczne życie należy podtrzymywać mocnymi, właśnie arcyteatralnymi rolami. Na te pytania „Trzy siostry" w Teatrze Narodowym nie udzieliły jasnej odpowiedzi, ale mimo to Janowi Englertowi, reżyserowi dyrektorowi trzeba oddać sprawiedliwość. Podjął ryzyko rzeczywistego zmierzenia się z tym dramatem, nie traktując go ani użytkowo (jako materiału do aktorskich popisów), ani stereotypowo – jako pretekstu do odegrania dobrze znanych i lubianych wariacji na motywach rosyjskiej melancholii.

Najnowszy spektakl Teatru Narodowego pokazuje potencjał drapieżnego tłumaczenia Agnieszki Lubomiry Piotrowskiej, zainteresowanej bolesną, brutalną stroną pisarstwa Antona Czechowa. Bo Englert wyreżyserował nie tylko sam dramat, lecz także jego tłumaczenie, napisane językiem współczesnym, komunikatywnym, uciekającym od kolorytu epoki, XIX-wiecznych konwencji i naiwnego poetyzowania. Nie skupiał się na salonowych formach, nie epatował nadmiernie samowarem i otoczeniem brzozowego lasu. O brzozach się tylko mówi (za dużo), a samowar jest niepotrzebny, bo – postawiony na stole – zasłania interlokutora. Zamiast stylizowanej, historycznej oprawy twórcy umieścili świat pewnego „miasta gubernialnego" i w carskiej Rosji z końca XIX w., i w czasie nieokreślonym, i w nieokreślonej przestrzeni. Rozsiane tu i ówdzie anachronizmy, jako sygnały nieciągłości (niekonsekwencje w datowaniu kostiumów, klakson samochodu…), wprowadzają w stan dysonansu poznawczego. To zmieszanie porządków, przy uchyleniu się od nachalnego uwspółcześnienia dramatu, tworzy teatralną formę współgrającą z językiem zaproponowanym przez tłumaczkę. Ma to być więc Czechow uniwersalny i filozoficzny. Wpisuje się w linię idącą aż od inscenizacji Axera, od słynnych „Trzech sióstr" z lat 60. z Teatru Współczesnego, która zapoczątkowała tradycję czytania rosyjskiego klasyka poprzez Becketta i wydobywania z tekstu ironii – płynącej z rozbieżności pomiędzy wzniosłymi, deklaratywnymi przekonaniami a skrzeczącą rzeczywistością.

Piotr Moss napisał do przedstawienia intrygującą muzykę, w której jest wiele ciszy, obietnic, szkiców melodii, która rozpędza się, wciąż nie może się rozpędzić – i jest adekwatna do tego dramatu ludzkiego niespełnienia, niedosytu, w której tyle zawiązujących się na chwilę porozumień, potencjalności, które zbyt szybko się rozwiewają. Tworzy przestrzeń, w której aktorzy mogą szukać energii w dialogu, w interakcjach, w tym tak charakterystycznym dla Czechowa, nieuchwytnym „pomiędzy słowami". (Tym bardziej szkoda, że i Narodowy dotknęła plaga mikroportów, zabijających piękno głosu, spłaszczających naturalne rejestry). W niektórych scenach udało się zespołowi osiągnąć hipnotyczny efekt dialogu gęsto nasyconego podtekstami. Wspaniale się ogląda grę tytułowego kobiecego tria (Masza – Wiktoria Gorodeckaja, Olga – Dominika Kluźniak, Irina – Michalina Łabacz), bo cenne, rzadkie są aktorki charyzmatyczne, które nie boją się brzydoty, odsłonięcia, nie krygują się, nie kierują prostą, starą jak świat zasadą: „Co nie dogram, to dowyglądam". Przez te teatralne godziny współczuję, rzecz jasna, Maszy, co jest chyba zgodne z literą dramatu… Z mężczyzn wygrywa Grzegorz Małecki w pozornie nieefektownej roli Kułygina, zdradzanego męża-pantoflarza-pedanta-nudziarza, ze swoim małym, ale przecież nieunieważnionym tragizmem. Jan Frycz na szczęście nie gra tutaj Jana Frycza, a Wierszynina, gra powściągliwie, przez co nie domyślamy się, o co może tej postaci chodzić.

W zapowiedziach padły reżyserskie hasła o chęci wypowiedzenia dramatu bankructwa i osamotnienia inteligencji. Stąd zapewne mocny akcent na pięknoduchowskie deklaracje o użyteczności, konieczności pracy na rzecz przyszłych pokoleń po to, by w finale skompromitować je pamiętnym, wściekłym, deziluzyjnym rozpoznaniem Andrieja. Przypomnijmy – spacerując z wózkiem, mówi on m.in.: „Jedzą, piją, śpią, potem umierają… Gaśnie w nich iskra boża i stają się tak samo żałosnymi, podobnymi do siebie trupami jak ich ojcowie i matki". W spektaklu niemal krzyczy w stronę Bogu ducha winnego niemowlęcia, do owej Sofijki. Ale Englertowi wyszedł spektakl nie do końca o tym, o czym zamierzał. Przede wszystkim, niestety, pojawiają się sztywność i sztampowość, wyczuwalna zwłaszcza w drugiej części, powodująca ześlizgiwanie się spektaklu w banał i w mały realizm. Natomiast reżyserskie pomysły i dopowiedzenia, przy – nazwijmy to – samowolnym dysponowaniu przez aktorów talentami, no i wreszcie przewijająca się przez całość spektaklu muzyczna metafora (niepokojący, niejasny symbol – harfistka na wózku inwalidzkim i muzykanci, którym należy dać pieniążek, bo „syty nie zacznie grać") odsyłają dramat Czechowa w regiony ogólnofilozoficzne. ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

Łukasz Warzecha

Jarosław Gowin został zmuszony do budowania odrębnej tożsamości swojego ugrupowania, która dawałaby mu szansę w kolejnych wyborach. Na razie to mu się nie udaje

Tańczący na linie

W genialnie złośliwym „Uchu prezesa" była pamiętna scena, w której do sekretariatu głównego bohatera przybywa pan Jarosław (w tej roli fenomenalny Andrzej Seweryn).

Pani Basia: – A pan to, widziałam, głosował za zmianami w tym całym sądzie?

Pan Jarosław: – Tak, ale, nie wiem, czy pani widziała, wcale się nie cieszyłem.

Pani Basia: – Ale pan głosował.

Pan Jarosław: – Ale się nie cieszyłem.

Pani Basia: – No ale pan głosował.

Pan Jarosław: – Ale się nie cieszyłem!

Pani Basia: – A ustawa to przechodzi większością tych, co się nie cieszą, czy tych, co głosują?

Pan Jarosław: – Byłem za tą ustawą, a potem poparłem weto przeciwko tej ustawie.

Pani Basia: – A to nie jest bez sensu?

Pan Jarosław: – Pozornie – jest. Ale dobra zmiana wymaga pewnej elastyczności.

Ta elastyczność, przez wielu uznawana za całkowity brak kręgosłupa, była znakiem firmowym Jarosława Gowina w pierwszej kadencji Zjednoczonej Prawicy. W drugiej sytuacja się zmieniła i satyryczny dialog sprzed paru lat nie opisuje już idealnie postawy prezesa Porozumienia, rozdzieranego zresztą wewnętrznym konfliktem. Wciąż jednak Jarosław Gowin balansuje między różnymi światami, tak jakby nie mógł się zdecydować, do którego chce należeć: opozycją a koalicją; etatyzmem a liberalizmem; samodzielnością a uzależnieniem. Dylematy księcia duńskiego Hamleta wydają się niepoważne przy rozdarciach Gowina.

ROZPOZNAWALNE ZDYSTANSOWANIE

Mało kto dziś pamięta, że przed wyborami w 2015 r. Jarosław Kaczyński deklarował, iż to Gowin, uznawany za zrównoważonego i spokojnego, konserwatywną oraz liberalną kotwicę w przyszłym rządzie, zostanie szefem MON. Zapowiedzi miały uspokoić tych, którzy obawiali się Antoniego Macierewicza. Obietnica została złamana, a Gowin, wówczas stojący na czele Polski Razem (zamienionej w Porozumienie w 2017 r.), został ministrem nauki.

To była dla niego wygodna pozycja. Mógł forsować swój projekt nowej Ustawy o szkolnictwie wyższym (bardzo zresztą do dziś mocno krytykowany przez część konserwatywnych środowisk akademickich), pozostając zarazem poza najbardziej widocznymi sferami konfliktu politycznego. Taka pozycja pozwalała mu nie brać bezpośrednio odpowiedzialności za te działania rządu, o których kształt mogliby mieć do Gowina największy żal ci, którzy z jego obecnością w Zjednoczonej Prawicy wiązali jakieś nadzieje. Chodzi przede wszystkim o kwestie gospodarcze i socjalne. Ze zdystansowania zrobił Gowin swój osobisty znak rozpoznawczy, ale zarazem sprawił, że dla ogromnej większości wyborców stał się niemal przezroczysty.

Owszem, w kilku momentach Porozumienie przyhamowało niektóre inicjatywy prowadzące do zwiększenia fiskalizmu. Bodaj najbardziej znany przypadek

eprasa.pl 348985e4fc

to powstrzymanie – już po wyborach 2019 r., ale i przy zaznaczaniu sprzeciwu wcześniej – likwidacji limitu 30-krotności przy opłacaniu składek na ZUS. Co istotne, swój jednoznaczny sprzeciw w razie głosowania w tej sprawie Gowin zapowiedział, mając już wzmocnioną reprezentację sejmową, złożoną z 18 posłów. Dzisiaj, po rozpadzie w Porozumieniu, jest to grupa mniejsza, ale wciąż wystarczająca, żeby wykoleić rząd opierający się na czteroosobowej większości.

Jeśli jednak spojrzymy na całość dokonań Gowina podczas jego sześciu lat u władzy u boku Jarosława Kaczyńskiego, to z punktu widzenia grupy, do której Porozumienie w teorii kierowało swoją ofertę, oszałamiającego sukcesu nie ma. Gowin nie przyhamował szaleńczego fiskalizmu, realizowanego w postaci mnóstwa drobnych nowych opłat, danin, podwyżek (bo przecież nie podatków). To w jakimś stopniu skutek wewnętrznej konstrukcji Zjednoczonej Prawicy, przynajmniej w jej pierwszej kadencji. Gowin był w większości sporów wewnątrzkoalicyjnych sprzymierzeńcem Mateusza Morawieckiego, którego nawet przy najlepszych chęciach nie sposób uznać za zagorzałego zwolennika wolnego rynku i niskich podatków. Wspólnie z Morawieckim sprzeciwiał się Zbigniewowi Ziobrze.

Zarazem to środowisko Gowina, z którego wywodziła się przecież jego była współtowarzyszka, minister rozwoju Jadwiga Emilewicz, opowiadało się za, w swoim mniemaniu, modernizacyjnymi rozwiązaniami, które jednak są zarazem bardzo kosztowne i wymuszają zwiększenie fiskalizmu. Porozumienie uznaje konieczność przeprowadzenia przebudowy polskiego systemu energetycznego według założeń unijnych, a to niesie przecież ze sobą olbrzymie koszty (pisałem o tym w poprzednich numerach „Do Rzeczy"). Już dziś możemy je zobaczyć na nowych rachunkach za prąd w postaci opłaty OZE.

Jaśniejszym punktem w politycznych dziejach Gowina, który chyba najsilniej unieważnił scenkę z „Ucha prezesa", była kwestia majowych wyborów prezydenckich w ubiegłym roku. Gowin wykorzystał wtedy swoją wzmocnioną reprezentację, żeby postawić stanowcze weto, i dopiął swego. Zarazem jednak najprawdopodobniej przypieczętował swoją przyszłość w roli partnera politycznego Jarosława Kaczyńskiego. Ten cios – choć wybory ostatecznie udało się Andrzejowi Dudzie wygrać – sprawił, że Gowin stał się dla Kaczyńskiego sprzymierzeńcem koniecznym, ale niewygodnym i nielojalnym (oczywiście nie jest tak, by kiedykolwiek istniała między tymi dwoma politykami wielka lojalność).

Obaj koalicjanci PiS – bo w tej samej sytuacji jest Ziobro – mają dzisiaj świadomość, że w perspektywie kolejnych wyborów parlamentarnych zmierzają prawdopodobnie ku z konieczności niezależnemu startowi – lub ewentualnie jakiejś formie całkowitego i ostatecznego podporządkowania PiS. To jednak trudno sobie wyobrazić bez wcielenia obu ugrupowań do partii Kaczyńskiego, co byłoby receptą na jej rozsadzenie od środka. Dlatego przecież prezes nie chciał przeprowadzić tego manewru z Ziobrą i jego Solidarną Polską.

TRUDNA EMANCYPACJA

W ten oto sposób partnerzy PiS zostali zmuszeni do podjęcia pracy nad swoimi odrębnymi tożsamościami politycznymi. Ziobro robi to konsekwentnie od wielu miesięcy i wypracował sobie wyrazisty wizerunek, wykraczający dalece poza jedyną kojarzoną z nim początkowo dziedzinę, czyli wymiar sprawiedliwości. Służą temu takie zagrywki jak sprzeciw wobec Planu Odbudowy czy wygaszenia polskiego węgla. To oczywiście również przy okazji podgryzanie Mateusza Morawieckiego.

Gowinowi idzie znacznie gorzej. Przełamanie wizerunku tego, który „głosował, ale się nie cieszył", wymagałoby serii mocnych gestów, na miarę tego z maja ubiegłego roku. Nic takiego się jednak nie dzieje, i to mimo że sytuacja jest w zasadzie sprzyjająca. Oto bowiem Jarosław Gowin stanął w drugiej kadencji jako wicepremier na czele Ministerstwa Pracy, Rozwoju i Technologii, a więc resortu odpowiadającego za stan polskiego biznesu. Ten zaś jest w wielu branżach w sytuacji fatalnej z powodu pandemii. Wicepremier mógł wziąć przedsiębiorców odważnie w obronę, ale jest maksymalnie wycofany, niemal nie zabiera głosu, gdy zrozpaczeni przedsiębiorcy w desperacji odmawiają podporządkowania się rządowym zakazom, do mediów posyła fatalnie odbieraną wiceminister Olgę Semeniuk, która jest w resorcie „strażnikiem" umieszczonym tam przez szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka. Semeniuk nie tylko poraża w mediach swoją niekompetencją, lecz także – tak wynika z moich rozmów nie tylko z przedsiębiorcami, kontaktującymi się z ministerstwem, lecz także z przedstawicielami administracji, zmuszonymi do współpracy z panią wiceminister – jest bardzo trudna we współpracy, a spotkania z nią nie przynoszą praktycznie żadnych rezultatów.

Gowin mógł w ciągu ostatniego roku bardzo zapunktować i zacząć sobie wypracowywać własny wizerunek, wprowadzając do powszechnej świadomości przynajmniej wiedzę, że stoi na czele odrębnego ugrupowania. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Fakt – wymagałoby to sprzeciwienia się w części Mateuszowi Morawieckiemu oraz zakwestionowania firmowanych przez jego rząd i jego samego metod walki z epidemią. Nie da się jednak zjeść ciastka i nadal go mieć.

W ten oto sposób Gowin trwa w koalicji, ale – z punktu widzenia zewnętrznego obserwatora o poglądach konserwatywno-liberalnych – w zasadzie nie do końca wiadomo dlaczego i po co. Być może ostateczne rozstrzygnięcie tej wątpliwości nastąpi wkrótce, wraz z ogłoszeniem przez premiera Nowego Ładu. W sprawie jego kształtu udało się podobno zbliżyć stanowiska PiS i koalicjantów. Przecieki, jakie dzisiaj mamy, mogą wskazywać na to, że będzie to po prostu program jeszcze agresywniejszej redystrybucji, w którym wszyscy powyżej przeciętnej zapłacą za korzyści dla tych poniżej. Jeżeli Porozumienie zgodziło się istotnie na taką formę programu (z elementami w rodzaju składki na ZUS płaconej w każdym przypadku, od każdej umowy każdego rodzaju od pełnego przychodu), to ugrupowanie Gowina zasłuży już w pełni na miano liberałów bezobjawowych.

W takim jednak przypadku przed „dużym Jarkiem" stanie poważny problem najpóźniej w 2023 r.: jeżeli Jarosław Kaczyński postanowi nie brać członków Porozumienia na listy PiS lub zaproponuje im miejsca, które w kolejnym Sejmie skażą partię Gowina na kompletną marginalizację w ledwo kilkuosobowym składzie, to Gowin nie będzie w stanie podjąć jakiejkolwiek samodzielnej akcji. Okaże się po prostu, że jego „elastyczność" zredukowała jego własny elektorat do ułamków procentu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EASTNEWS

Demiurg i miazga

Marek Jurek

Nigdy nie miałem wielkiego problemu z Adamem Michnikiem, bo też nigdy nie byłem jego wielbicielem

Szanowałem go, uważałem, że reprezentuje ważny nurt opozycji i że środowiska przeciwstawiające się PRL-owskiej władzy powinny były zachowywać wzajemną solidarność. Przy tym wszystkim od początku uważałem go za ideowego oponenta. „Kościół, lewicę, dialog" odebrałem nie tylko jako głos na temat działalności opozycji, lecz także zapowiedź sporu o kształt przyszłej Polski. Owszem, podobała mi się druga część tej książki, rozważanie o wierze z perspektywy niewiary. Ale stosunek jej autora do cywilizacji chrześcijańskiej najdobitniej streszczał fragment uznający, że obrona szkolnictwa katolickiego była postępowa w III Rzeszy, ale wsteczna w III Republice Francuskiej. Ta historyczna ilustracja wyraźnie pokazywała, jak Michnik widział przyszłą polską demokrację.

Nie byłem więc zaskoczony, gdy na początku lat 90. naczelny „Gazety Wyborczej" rysował swe wielkie ideogramy: „klerykalizacja życia publicznego", „nienawiść", Katolickie Państwo Narodu Polskiego. Cóż one oznaczały? „Klerykalizacją życia publicznego" szybko stała się nie tylko prywatna kaplica w pałacu prezydenckim, lecz także przywracanie ulicom ich tradycyjnych nazw, jeśli tylko nosiły wcześniej imiona świętych patronów. „Nienawiścią" stawała się każda forma polemiki ideowej, a w istocie – sama obecność ideowej prawicy. Katolickie Państwo Narodu Polskiego, gromka formuła używana w programach przedwojennych narodowców, miała tworzyć sylogizm sugerujący, że katolicki charakter państwa to po prostu programy (nigdy zresztą niezrealizowane) przedwojennej endecji, włącznie z antysemityzmem. Krótko mówiąc – założenie, że między Konstytucją marcową a programem ONR nie ma większej różnicy.

Warto to dziś przypomnieć, bo ta kampania Adama Michnika była co najmniej tak samo ważna jak toasty z Kiszczakiem. A przypominanie o niej jest jeszcze ważniejsze, bo – jak pokazują komentarze po publikacji „Demiurga" Romana Graczyka – jest dziś traktowana jako wątek drugoczy trzeciorzędny nawet na radykalnej centroprawicy. Tymczasem chodziło o sam kształt polskiej tożsamości i charakter odbudowywanego państwa.

Roman Graczyk w tytule swej książki celnie uchwycił istotę działalności Michnika. Był on rzeczywiście wytrwałym demiurgiem nowej zbiorowej kontrtożsamości. Jego sojusze z obozem PRL były bowiem funkcją marzeń o – jak to pisałem 30 lat temu – „Polsce bez prawicy", a w konsekwencji – bez wszystkiego, co prawica miała obowiązek reprezentować i czego bronić. Tę tyleż demiurgiczną, co dekonstrukcyjną funkcję „Gazeta Wyborcza" wytrwale realizowała przez 30 lat, demonstrując ją jeszcze w przededniu wybuchu niedawnych awantur aborcyjnych. To na jej łamach ich formę zaprojektował Urban: „Dopier..lajcie katolikom! Do..erdalajcie nacjonalistom! Dopie..alajcie biało-czerwonym!".

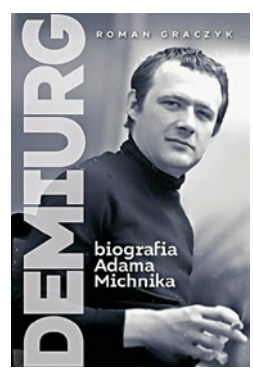

Dziś, niestety, słuchając i czytając recenzje po publikacji biografii Adama Michnika, odnoszę wrażenie, że gdyby nie jego gesty pod adresem Jaruzelskiego czy Kiszczaka na początku lat 90., jego poglądy i polityka nie budziłyby na radykalnej centroprawicy większych emocji. Potwierdza to zresztą nawet to, że najistotniejszy długofalowo element tamtego politycznego zwrotu, czyli promocja przywództwa Aleksandra Kwaśniewskiego na postkomunistycznej lewicy (wraz z całą modernizacją postkomunizmu, którą Kwaśniewski potem zrealizował), też jest ignorowany.

Demiurg nie jest stwórcą, demiurg nadaje formę chaosowi. Siłą Michnika, obok jego osobistych talentów, była od początku lat 90. (i trwająca po dziś dzień) słabość ideowa i programowa polskiej prawicy. Doktorzy kontrrewolucji uczyli, że jeśli chcemy naprawdę przeciwstawić się rewolucji, wówczas to, co było obyczajem naszych przodków, dla nas musi stać się nauką. Tymczasem gdy prawica katolicka przestrzegała na początku lat 90. XX w. choćby przed konsekwencjami przyjęcia jurysdykcji Trybunału Strasburskiego, centroprawica robiła z tej cesji polskiej suwerenności „test praw człowieka" i „święto demokracji".

Ugniatanie miazgi – jak nasz stan społeczny po komunizmie celnie nazwał Jerzy Andrzejewski – ułatwiała sama ugniatana materia. U progu niepodległości chodziło o dużo większe rzeczy niż polityka. Dobrze, żebyśmy to w końcu zrozumieli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

WIZJONERZY

ZDROWIA 2021

„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2021–2023"

NAGRODY DLA WYBITNYCH OSOBOWOŚCI
ŚWIATA MEDYCYNY ORAZ SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA,
LUDZI, KTÓRZY ZMIENIAJĄ POLSKĄ MEDYCYNĘ
I OPIEKĘ NAD PACJENTAMI.

INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 348985e4fc

Jan Bogatko
z Berlina

Pedofilia, czyli zwycięstwo Rewolucji Seksualnej

Rewolucja Seksualna pisana wielką literą? Tak, podobnie jak Wielka Rewolucja Francuska i jej następczyni Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa. Wszystkie one wywołały gigantyczne spustoszenie materialne i intelektualne na świecie, o nieprzemijających, drastycznych, antyhumanitarnych skutkach

Kolonia, Domplatz (plac Katedralny), rok 1980. Chłodny, słoneczny, wiosenny dzień. Na płycie (w miejscowym slangu) przed imponującą katedrą tłumy, głównie turystów z całego świata. Doskonałe miejsce do prezentacji politycznych żądań, do wszelkich demonstracji. Wielki transparent zasłania wejście do katedry i pilnujących go kanoników w szkarłatnych habitach (pilnują oni, żeby nikt nie wchodził do świątyni w kapeluszach czy półnago). Ów transparent trzymają dwaj, może 10-, może 12-letni, bladzi, sini od zimna chłopcy. Za nimi panowie w średnim wieku rozdają ulotki. Chętnych nie brakuje. Na transparencie hasło: „Zezwolić 12-latkom na seks".

Pedofilskie żądanie nikogo tu nie dziwi, Kolonia to wolne miasto, z tradycjami sięgającymi antycznego Rzymu. Ponadto lata 80. XX w. to w Niemczech okres „emancypacji" dewiacji seksualnych. Walka o wolność, jak głoszą ich piewcy. Jedną z niemieckich partii politycznych, opowiadających się za „depenalizacją pedofilii", byli postępowi Zieloni. Ale z Kolonii do Berlina daleko. A tymczasem w Berlinie…

Zaledwie dwa lata wcześniej, w 1978 r., ukazał się drukiem reportaż „Wir Kinder vom Bahnhof Zoo" („My, dzieci z dworca Zoo"). Wywołał prawdziwą sensację, aczkolwiek początkowo wiele bardziej lub mniej znanych wydawnictw, w tym słynne Rowohlt Verlag, odrzuciło manuskrypt autorstwa Kaia Hermanna i Horsta Riecka, wywiadu rzeki nieletniej prostytutki z dworca Zoo, Christiane Felscherinow. Uważały one, że reportaż nie spotka się z zainteresowaniem czytelników. Książkę wydało w końcu wydawnictwo tygodnika ilustrowanego „Stern" (początkowo tygodnik drukował ją w odcinkach na swych łamach). Przed opublikowaniem książki „Stern" ocenzurował manuskrypt, usuwając z niego drastyczną scenę gwałtu. Książka „My, dzieci z dworca Zoo" okazała się bestsellerem lat 1980 i 1981, potem wszedł na ekrany film o dzieciach-prostytutkach, ściągający do kin w Niemczech tłumy, także pedofilów.

Zapewne i książka, i film na jej podstawie przyciągnęły do Berlina, a zwłaszcza na dworzec Zoo, seksturystów z Niemiec i z Europy. A w byłej stolicy Rzeszy w latach 80. i 90. poza dworcem Zoo była przecież niezliczona liczba przybytków zapewniających uciechy zboczeńcom przy pełnej aprobacie miasta-landu. Władzy w Berlinie nie pełniła wówczas lewica, lecz CDU (w tym także Richard von Weizsäcker), z krótką przerwą w latach 1989–1991, kiedy to w berlińskim ratuszu zasiadał polityk SPD, Walter Momper.

BERLIŃSKIE CENTRUM SIECI PEDOFILÓW

W Berlinie, rządzonym przez chrześcijańską (z nazwy) demokrację, działy się rzeczy straszne. Jak straszne, o tym dowiedzieć się można z przerażającego w swej wymowie raportu Unabhängige Kommission für Fragen des sexuellen Kindesmissbrauchs (Niezależna Komisja do spraw Seksualnego Wykorzystywania Dzieci), której to sprawozdanie ukazało się pod koniec lutego. A ponieważ nie opisuje on przypadku seksualnego wykorzystania ministranta w Argentynie pół wieku temu, lecz życie codzienne w wielkim, nowoczesnym Berlinie, stąd zainteresowanie mediów w Niemczech pozostaje w pewnych granicach. Co więcej, panuje zmowa milczenia. Sabine Andresen, przewodnicząca Komisji, pisze o tym wprost: „Wyjaśnienie seksualnego wykorzystywania dzieci często natrafia na zastrzeżenia i przeszkody. Dlatego też należy wzmocnić tych wszystkich, którzy są zainteresowani jego wyjaśnieniem. Dostrzeżone przez opinię publiczną w okresie ostatnich dwóch lat aktualne przypadki seksualnej przemocy wobec dzieci wykazały fakt istnienia w tym kontekście struktur sieciowych. Nie chodzi tu jedynie o nowe zjawiska. Zorganizowane struktury przemocy seksualnej wobec dzieci i młodzieży powstały już przed epoką Internetu i przez tak długi czas mogły przyjąć stałą formę. Wykazują to wyraźnie badania".

Wstępny raport Unabhängige Kommission zur Aufarbeitung sexuellen Kindesmissbrauchs traktuje o programach

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. ADOBE STOCK

i działaniach sieci pedofilskich w Berlinie. Badania na zlecenie Komisji przeprowadzili Iris Hax, z wykształcenia historyk sztuki, i kulturoznawca Sven Reiss. Przeszukali oni skrupulatnie wszelkie dostępne archiwa środowisk homoseksualnych, lesbijskich i tzw. alternatywnych w stolicy Niemiec. Wynika z nich niezbicie, że Berlin Zachodni, a po zjednoczeniu Niemiec Berlin już jako zjednoczone miasto – od roku 1991, po kontrowersyjnej decyzji Bundestagu, stolica Republiki Federalnej Niemiec, siedziba parlamentu, rządu i głowy państwa – stanowił centrum sieci pedofilów. W archiwach tych Hax i Reiss znaleźli niezbite dowody na to, że pedofile, którzy dążyli do legalizacji kontaktów seksualnych z dziećmi i młodocianymi, mogli rozwijać swą działalność nie tylko pod parasolem ruchu homoseksualnego, lecz także w niszach tzw. kultury alternatywnej (czyli bagnie antykultury), takich jak tzw. alternatywna pedagogika, czy w środowisku tzw. autonomicznych.

Daniel Cohn-Bendit, polityk Zielonych, poseł do Paramentu Europejskiego, powiedział w 1982 r., że „to gra erotyczna", kiedy „rozbiera się pięcioletnia dziewczynka". W te erotyczne gry można się bawić nie tylko w Berlinie. Od lat 70. bowiem różne grupy pedofilskie w Niemczech otwarcie domagają się depenalizacji relacji seksualnych dorosłych z dziećmi i nieletnimi. Pedofile korzystali do lat 90. z solidarności środowiska lewicy. Wiadomo o tym, że w takich dzielnicach Berlina jak Kreuzberg, Schöneberg i Neukölln organizacje pedofilskie utrzymywały „placówki charytatywne" pod nazwami Falckensteinkeller czy Dziecięcy Telefon Zaufania. Tam specjaliści zarzucali przynęty na bezbronne dzieci. Ale dopiero z raportu Niezależnej Komisji dowiadujemy się o tym, jak dobrze i komercyjnie zorganizowane było środowisko berlińskich pedofilów, których celem było objęcie całych Niemiec swą zbrodniczą pajęczyną.

PROPAGANDA GENDER

Rewolucja Seksualna '68 weszła w nową fazę, w etap rewolucji gender. To mniej więcej tak, jak po socjalizmie w Rosji przystąpiono do budowy komunizmu. Co ciekawe, liderami tej rewolucji są znowu Zieloni, który jeszcze nie do końca rozliczyli się ze swych antywartości z lat propagowania pedofilii. Ta rewolucja genderowa to przecież nic innego jak „rewolucja antropologiczna". Pierwszy raz termin ten pojawił się w wystąpieniu papieża Benedykta XVI 21 grudnia 2012 r. Benedykt XVI powiedział wówczas: „Wedle tej filozofii płeć nie jest wynikiem działania natury, które przejmuje człowiek i wypełnia osobiście znaczeniem, lecz stanowi rolę społeczną, o której decyduje samemu, podczas gdy dotąd decydowało o tym społeczeństwo. Oczywista staje się zdecydowana nieprawda owej teorii i tkwiącej w niej rewolucji antropologicznej".

Mathias von Gersdorf z organizacji Dzieci w Niebezpieczeństwie zauważa, że ten czy ów mniema, iż rewolucja gender to czysta utopia, która jest skazana na fiasko, ponieważ jest sprzeczna z naturą człowieka, a zatem jest nieszkodliwa. A przecież – dodaje – jest dokładnie przeciwnie: „Właśnie ten fakt, że rewolucja ta skierowana jest przeciwko naturze i ma na celu utopię, czyni ją groźną". Lobby genderowe w Niemczech brutalnie usiłuje narzucić społeczeństwu tę ideologię. Tam, gdzie to tylko możliwe, żąda od społeczeństwa „tolerancji" wobec tej antyhumanitarnej ideologii. Jako przykład Mathias von Gersdorf przytacza „Dyrektywy w zakresie wychowania seksualnego" z roku 2016, wydane w Hesji, w których to autorzy domagają się zagwarantowania „akceptacji seksualnej różnorodności" w szkole i w języku.

Usiłuje się ludziom wmawiać, że owa „seksualna różnorodność" i jej akceptacja gwarantowane są zgoła przez niemiecką konstytucję. Wielu ludzi, na skutek zmasowanej propagandy, uprawianej nawet przez wydawnictwo słowników języka niemieckiego, takie jak Duden, jest o tym święcie przekonanych. Tymczasem nic bardziej mylnego! Artykuł 3 niemieckiej Ustawy zasadniczej (Grundgesetz, GG) stanowi: „(1) Wszyscy ludzie są równi wobec prawa. (2) Mężczyźni i kobiety są równouprawnieni. Państwo wspiera rzeczywistą realizację równouprawnienia kobiet i mężczyzn i działa na rzecz usunięcia istniejących nierówności. (3) Nikt nie może być poszkodowany, względnie uprzywilejowany z powodu płci, pochodzenia, rasy, języka, wiary, poglądów religijnych czy politycznych. Nikt nie może ponosić szkody z powodu niepełnosprawności".

Wymowa niemieckiej konstytucji jest jednoznaczna i nie ma w niej miejsca na igraszki z ideologią gender. Ale rewolucja pod sztandarem Gilberta Bakera (mylonym z biblijną tęczą!) nie odpuszcza. Już niemal 11 lat temu SPD, komuniści (Die Linke) i Bündnis 90/Zieloni wystąpili do Bundestagu z wnioskiem o nowelizację niemieckiej konstytucji. Artykuł 3 miano by uzupełnić następującym zapisem: „Nikt nie może zostać uprzywilejowany, względnie poszkodowany [...] z powodu swej tożsamości płciowej". W owym czasie „tożsamość seksualna" dotyczyła lesbijek, homoseksualistów, biseksualistów, transpłciowych i interseksualistów.

Komisja Prawna Bundestagu odrzuciła jednak wówczas ten wniosek także z tego powodu, że kategoria „tożsamość płciowa" może objąć pedofilów. Ciekawostką jest to, że „ekspert" partii Die Linke, broniący wniosku w Komisji Bundestagu, Helmut Graupner, austriacki aktywista homoseksualny, sam wyraża poglądy pedofilskie, np. w swej pracy doktorskiej, o czym publicznie wiadomo.

Ale na tym pewnie nie koniec. Uchodzi za pewne, że jeśli tylko zużyje się instrument zarzutu pedofilii wobec księży, głównie katolickich, to po spodziewanym orzeczeniu komisji psychologów zboczenie to zostanie uznane także w ustawie zasadniczej za wymagającą ochrony przed dyskryminacją orientację seksualną w rozumieniu niemieckiej (i nie tylko) lewicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. NAC

Gest Hitlera, nie Cezara

eprasa.pl 348985e4fc

Maciej Korkuć

Doświadczenie niemieckiej okupacji wykreśliło z katalogu dopuszczalnych w Polsce symbolicznych gestów pozdrowienie wyciągniętą ręką

Symbole i gesty mają swoje znaczenie. I mają swoje życie, obrastają – szczególnie w czasach dramatycznych przeżyć dotykających milionów ludzi – nowymi treściami. Tak było z symbolami narodowosocjalistycznej Rzeszy Niemieckiej i komunistycznego Związku Sowieckiego. Znakami ideologii komunistycznej i państwa stworzonego przez bolszewików, umieszczonymi w godłach państwowych i na flagach sowieckiego państwa, stały się dwa najzwyklejsze narzędzia pracy chłopa i robotnika – skrzyżowane ze sobą sierp i młot – oraz czerwona gwiazda. Rzesza Niemiecka Adolfa Hitlera, a wcześniej kierowana przez niego Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników sięgnęły po symbolikę swastyki, a do swojego codziennego stylu publicznych prezentacji dodały gest pozdrowienia demonstrowanego wyciągniętą wyprostowaną ręką. Na skutek niemieckich praktyk okupacyjnych z czasów drugiej wojny światowej zarówno swastyka, jak i ten gest stały się dla milionów ludzi, również (a raczej: przede wszystkim) w Polsce, przywołaniem traumatycznego doświadczenia z tego czasu. Symbolami, pod którymi pozbawiano wolności, poniżano, wyniszczano, mordowano miliony niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci. To były symbole i gesty, którymi oprawcy z dumą się posługiwali, rezerwując je wyłącznie dla swojej nacji, umieszczając je jako znaki niemieckiego panowania wszędzie, gdzie sięgała ich władza. Tymi symbolami „ozdabiali" swoje ordery i odznaczenia, swoje budynki, swoje więzienia i swoje niemieckie obozy koncentracyjne oraz fabryki śmierci – na urągowisko dla więzionych i mordowanych. Tym gestem witał Hitler rzesze wiwatujących na jego cześć rodaków i tym gestem odpowiadały mu rozentuzjazmowane tłumy rasowych przedstawicieli Herrenvolku.

Faktem jest, że ani ten gest, ani znak nie były wynikiem autorskiej inwencji Hitlera. Swastyka, wzięta w latach 30 XX w. przez przywódców NSDAP na znaki państwowe Rzeszy Niemieckiej, nie była symbolem nowym. Wykorzystano harmonijny, mający olbrzymią ilość znaczeń kształt, obecny od zarania dziejów w niemal wszystkich kulturach świata. W „Słowniku wyrazów obcych" Michała Arcta, przedwojennym, a więc wolnym od horroru doświadczeń drugiej wojny światowej, czytamy prostą definicję swastyki: „prymitywny symboliczno-religijny ornament w rozmaitych formach znajdowany w zabytkach dawnych wieków niemal we wszystkich częściach świata, szczególnie w dawnej Persji, Indiach, Chinach, Japonii, a także i w Ameryce […] swastyki uważane są jako talizman szczęścia, błogosławieństwa". Pod tym względem Niemcy nie byli więc szczególnie oryginalni. Czarnej swastyce, wpisanej w białe koło (dla kontrastu: czarny znak na czerwonym płacie byłby niewystarczająco widoczny), umieszczonej na czerwonej socjalistycznej fladze w 1935 r. nadali oficjalną rangę znaku państwowego całej Rzeszy Niemieckiej.

Oczywiście nie spowodowało to automatycznie rezygnacji z tego znaku w tysiącach różnych miejsc na całym świecie. To byłby nonsens. W Polsce i kiedyś na całej Słowiańszczyźnie znak swastyki, bardzo często w odmianach nieco inaczej rysowanych niż ta w wersji niemieckiej, albo sam jej motyw pojawiały się w różnych postaciach nie tylko w dawnych wiekach, lecz także w pierwszych dekadach XX w. Na Podhalu swastyki („krzyżyk niespodziany") rzeźbiono na powałach domów, kuto na miejscach pamięci (jak na tatrzańskim upamiętnieniu śmierci kompozytora Mieczysława Karłowicza z 1909 r.) – w dobrej wierze, na szczęście. Bez jakichkolwiek konotacji z tym, co dopiero później i do nas przyniesie ze sobą ideologia niemieckiego narodowego socjalizmu. Swastyka wpisana w szarotkę albo różne formy krzyża kawalerskiego poszerzone o dodatki przypominające ów krzyż obrotowy były w Polsce odznakami pułków podhalańskich. Obecne były także w symbolice jednostek zasłużonych w walce o niepodległość i granice, chociażby w odznace pamiątkowej 4. Pułku Piechoty Legionów Polskich. Ich znaczenie interpretowano w sposób pozytywny, głęboko osadzony w naszych tradycjach, a nie jakichkolwiek innych.

Wiemy, że w latach 30. XX w. również w Polsce, w niektórych ugrupowaniach, pojawiły się gesty wyciągniętej ręki (w teorii niedokładnie takie same). Są zachowane i znane fotografie np. członków Stronnictwa Narodowego, którzy posługują się takim interpretowanym po swojemu pozdrowieniem. Bynajmniej nie oznaczały one solidarności z narodowosocjalistycznymi Niemcami. Tak jak swastyki z polskich odznak wojskowych nie miały nic wspólnego z niemiecką NSDAP, która panoszyła się za naszą zachodnią granicą.

„POZDROWIENIE NIEMIECKIE"

Aż nastał rok 1939 i wtargnęła na polskie ziemie Rzesza Niemiecka wespół ze swoim sowieckim sojusznikiem. Pod swoimi znakami państwowymi, gestami pozdrowień, Niemcy ustalili nową hierarchię, na której szczycie stali germańscy przedstawiciele „rasy panów". Ich znaki państwowe stały się symbolem towarzyszącym masowym zbrodniom ludobójstwa, działalności fabryk śmierci, były znakiem „zdobiącym" wszystkie miasta i urzędy państwowe Rzeszy Niemieckiej osadzane w zawłaszczonych budynkach. Niemieckie znaki i gesty towarzyszyły też operacji wymordowania milionów polskich Żydów, brutalnym pacyfikacjom polskich wsi, niekończącym się zbrodniom i poniewieraniu ludzkiej godności.

Symbolami odpowiadano na symbole. Na ulicach miast malowano swastyki na szubienicach, czyli znaki, które w swojej wymowie dla obu stron były czytelne. Nie miały bynajmniej nic wspólnego z Persją ani z Indiami. Skupiały całą nienawiść do zbrodniczych niemieckich okupantów: zapowiadały zemstę, zbliżający się czas pociągnięcia ich do odpowiedzialności za okrucieństwa i zbrodnie. Wojna na symbole stała się częścią wojennej walki propagandowej. Utrwalała jednoznaczne interpretacje znaków plastycznych i wykonywanych z okrzykiem: „Heil, Hitler!" pozdrowień.

Nic dziwnego, że doświadczenie niemieckiej okupacji ową wyciągniętą rękę wykreśliło z katalogu dopuszczalnych w Polsce symbolicznych gestów. Obecność Rzeszy Niemieckiej na ziemiach polskich uczyniła również z niego aż nadto jednoznaczny znak utożsamiany z tym wszystkim, co towarzyszyło zbrodniom przeciwko milionom obywateli Rzeczypospolitej. Zresztą sami Niemcy zadbali o klarowność pod tym względem.

eprasa.pl 348985e4fc

Wbrew dzisiejszym nazwom formalnie nie określano tego „pozdrowieniem nazistowskim" (już nie wspominając nawet o jakimś „salucie rzymskim"). W Generalnym Gubernatorstwie obowiązywała prawnie sformułowana nazwa: „pozdrowienie niemieckie". Już 23 listopada 1939 r. na podstawie „dekretu Führera i Kanclerza Rzeszy Niemieckiej" Adolfa Hitlera w Generalnym Gubernatorstwie wprowadzono „Rozporządzenie o używaniu niemieckich godeł i stosowaniu niemieckiego pozdrowienia". Mówiło ono, że stosowanie tegoż „niemieckiego pozdrowienia" jest w GG przywilejem wyłącznie Niemców. Podobnie zaznaczano, że „chorągwi Rzeszy Niemieckiej i symboli ruchu narodowosocjalistycznego wolno używać w Generalnym Gubernatorstwie tylko Niemcom". Kto się do tego nie zastosował z polskich czy żydowskich „podludzi", ten podlegał odpowiedzialności karnej. Tak więc w praktyce okupacyjnej również to „niemieckie pozdrowienie" było „nur für Deutsche".

Tak jak w przypadku swastyki owo „pozdrowienie" zostało ugruntowane jako czytelny dla wszystkich symbol niemieckiego panowania, wyższości nad Polakami i Żydami oraz pogardy dla polskich oraz żydowskich mieszkańców GG. Skala niemieckich zbrodni trwale przesłoniła w naszej części świata wcześniejsze konotacje tych symboli, stając się w komunikacji społecznej jednoznacznym nawiązaniem do horroru narodowego socjalizmu.

W takich okolicznościach po drugiej wojnie światowej te wcześniej bardziej wieloznaczne symbole i gesty nabrały w przestrzeni publicznej wymiaru jednoznacznego. I choć wciąż na odległych kontynentach oraz w wizerunkach sprzed wojny widzimy odniesienia do dawnych znaczeń, to u nas walec historii zrobił swoje. W dzisiejszej Polsce swastyka i „niemieckie pozdrowienie" zostały utrwalone jako znienawidzone symbole niemieckiej okupacji i jej zbrodniczości.

Nie bez powodu w symbolice wojskowej w wolnej Polsce nie ma miejsca na żadne nawiązania do takich symboli. Byłoby to bowiem obraźliwe dla pamięci ofiar niemieckiej okupacji i żadne tłumaczenia, że chodzi o coś innego, by nie pomogły. Nie jest przypadkiem, że po odzyskaniu niepodległości w Polsce zarówno w konstytucji, jak i w Kodeksie karnym umieszczono zapisy jednoznacznie penalizujące pochwałę systemów totalitarnych, w art. 13 konstytucji enumeratywnie wymienionych jako nazizm, faszyzm i komunizm. Takich zapisów nie ma zapewne w konstytucjach Ekwadoru czy Paragwaju. Trudno się jednak dziwić. Tam drugiej wojny światowej nie było, a państwa legitymujące się znakiem swastyki, względnie znakiem sierpa i młota, nie przyniosły brutalnego zniewolenia, tak jak na ziemiach polskich, ani nie zaznaczyły swojej władzy milionami ofiar.

Na ulicach miast malowano swastyki na szubienicach, czyli znaki, które w swojej wymowie dla obu stron były czytelne

ANTYCZNE „HAJLOWANIE"?

Dzisiaj trudno przejść do porządku dziennego nad wciąż pojawiającymi się stwierdzeniami, że gest „pozdrowienia niemieckiego" z czasów narodowego socjalizmu w III Rzeszy jest „salutem rzymskim". Padło takie określenie również w artykule Macieja Pieczyńskiego „Droga nacjonalisty" (opublikowanym ostatnio w „Do Rzeczy") na temat niesławnego zamieszania wokół nominacji i odwołania Tomasza Greniucha. Oczywiście nie podejrzewam autora tekstu o opaczne intencje. Raczej widzę w tym odniesienie do pojawiających się tu i ówdzie tego typu tłumaczeń. Tym bardziej trzeba zaznaczyć, że nie byłoby dziwnym, gdyby ktoś określał „salutem rzymskim" gest wykonywany przez człowieka przebranego za żołnierza rzymskich legionów na pokazie grup rekonstrukcyjnych. Hełm, tarcza, zbroja byłyby atrybutami dokładnie wyjaśniającymi, że mamy do czynienia z gestem z czasów Imperium Romanum. To można zrozumieć. Na tej zasadzie grupy rekonstrukcyjne w mundurach przedwojennych pułków, np. podhalańskich, mogą i powinny nosić odznaki przedwojenne – takie, jakimi one były. Tym bardziej nie ma powodów, aby niszczyć lub fałszywie interpretować przedwojenne „krzyżyki niespodziane". Wciąż jako elementy pochodzące z lat przedwojennych możemy je oglądać np. na balustradzie schroniska Murowaniec w Tatrach. To przecież pamiątki sprzed epoki niemieckiej okupacji.

Zbyt mocno Polskę przeorano, wykorzystując te gesty i symbole, żebyśmy się godzili na ich obecność w przestrzeni publicznej. Jeżeli ktoś w miejscach publicznych demonstracyjnie maluje swastykę, to umieszcza symbol w sposób czytelny niosący ze sobą przekaz obraźliwy dla pamięci milionów ofiar niemieckiej okupacji. Tej wymowy nie zmienia ignorancja malującego. I nie będzie to przekaz z wczesnej Słowiańszczyzny czy z Indii, tylko z Polski, w której gloryfikacji zbrodniczych systemów totalitarnych zakazuje prawo. Podobnie malowany na ścianie symbol skrzyżowanego sierpa i młota to nie nawiązanie do narzędzi rolno-przemysłowych, ale od XX w. symbol zbrodniczej ideologii i sowieckiego państwa – tak jak III Rzesza – mającego na sumieniu morze przelanej krwi i cierpień niewinnych ludzi.

Dlatego w odniesieniu do gestów „niemieckiego pozdrowienia" z czasów narodowosocjalistycznej Rzeszy konieczne jest nazywanie rzeczy po imieniu, a nie opowiadanie bajek o „salucie rzymskim". Na jednej z fotografii sprzed kilkunastu lat, przedstawiającej młodych działaczy ONR wykonujących ten gest, która ostatnio obiegła media, nie widać bynajmniej, aby byli w rzymskich strojach z czasów antyku. Wręcz przeciwnie. Widać jednolite koszule i opaskę na ręku. Czy te stroje organizacyjne też są nawiązaniem do czasów Cezara i Marka Aureliusza? Już pomijam to, że sama potoczna polska nazwa tego gestu („hajlowanie") w sposób bardziej niż jednoznaczny pokazuje, jak on jest dzisiaj przez Polaków rozumiany.

Dobrze, że w artykule Macieja Pieczyńskiego wybrzmiewają słowa innego byłego działacza ONR, który w swoim środowisku nie widzi miejsca dla „osób hajlujacych". Trudno w tym miejscu nie zgodzić się ze słowami rabina Michaela Schudricha, któremu takie obrazki kojarzą się z niepojmowalną „chęcią przynależenia do grupy, która chciała wyeliminować twój naród". Rabin zadał też retoryczne pytanie: „Czy istniał chociaż jeden członek przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego, którego ktoś z rodziny nie zginął z rąk Niemców?".

Dlatego nie dość przypominać, że tego typu gesty kierowane w stronę polskich flag, nawet jeśli wynikają z ignorancji, są obraźliwe również dla polskich barw narodowych, dla polskiej pamięci narodowej, dla pamięci milionów polskich, żydowskich i wszystkich innych ofiar niemieckiej okupacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem historii, naczelnikiem Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie.

eprasa.pl 348985e4fc

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Spór o Becka

Wreszcie! Instytut Zachodni wznowił klasyczną monografię prof. Stanisława Żerki „Stosunki polsko-niemieckie 1938–1939". Jest to najlepsza książka naukowa dotycząca tego zagadnienia i doskonale się stało, że trafiła znów do rąk czytelników. Pierwsze wydanie z 1998 r. dawno już się bowiem wyczerpało.

W swojej książce prof. Żerko rozprawił się z szeregiem mitów dotyczących polityki Becka. Po pierwsze, Polska pod koniec lat 30. nie prowadziła „polityki równowagi" między Niemcami a ZSRS. Z Warszawy do Berlina – jak udowadnia profesor – było znacznie bliżej niż z Warszawy do Moskwy. I nie chodzi tu o geografię.

Od 26 stycznia 1934 r., gdy Polska podpisała z Niemcami układ, nastąpiło zbliżenie obu państw. Polska pod koniec lat 30. rzeczywiście „balansowała", ale między Niemcami a obozem anglo-francuskim. Ostatecznie, jak wiadomo, wybrała tę drugą opcję.

O planach, jakie wobec Polski miał Adolf Hitler, prof. Żerko pisze w sposób następujący: „Polska miała zabezpieczyć Rzeszę od wschodu podczas przygotowywanej rozprawy z mocarstwami zachodnimi. Dopiero po pokonaniu Francji i »wypchnięciu« Wielkiej Brytanii na wyspy doszłoby do uderzenia na ZSRR. Podczas tej wojny wojska polskie walczyć miały u boku Wehrmachtu".

Profesor Żerko wskazuje na błędy polityki Józefa Becka. Na czele z największym, najbardziej katastrofalnym. Czyli zignorowaniem groźby antypolskiego sojuszu między Niemcami a Związkiem Sowieckim. Taki scenariusz Beck odrzucał, nie rozumiejąc, że Hitler, gdy Polska powie mu „nie", będzie musiał znaleźć na wschodzie innego sojusznika.

Książka prof. Żerki wywarła olbrzymi wpływ na moje poglądy. Chylę czoła przed rzeczowością i klarownością wywodu profesora. Nie ze wszystkim się jednak zgadzam. Profesor uważa, że decyzja Becka o odrzuceniu oferty Berlina była słuszna, bo jej przyjęcie oznaczałoby „satelizację" Polski, a po wojnie doszłoby do „drastycznego zredukowania terytorium Rzeczypospolitej".

No cóż, trudno nie zauważyć, że dokładnie takie były długofalowe skutki polityki Becka. Polska została zsatelizowana i pozbawiona połowy terytorium. A po drodze spalona, zburzona i utopiona we krwi. ©℗

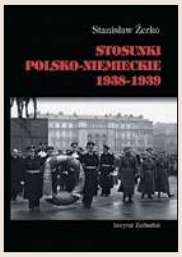

★★★★★★

STANISŁAW ŻERKO
„STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE 1938–1939"
INSTYTUT ZACHODNI

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Po obu stronach granicy

Pokój zawarty po zwycięskiej wojnie z bolszewikami poza endecją nie zadowalał w Polsce właściwie nikogo. Dla Piłsudskiego był to ostateczny koniec jego koncepcji federacyjnych, natomiast dla znacznej grupy obywateli Rzeczypospolitej stanowił potwierdzenie faktu, że władze zostawiły rodaków na Kresach na pastwę komunistów. Faktycznie, ponad milion Polaków pozostało poza granicami kraju i przekreślono też kilkuwiekową pracę kulturową na Wschodzie. Politycy z Warszawy potraktowali tamtejszych Polaków instrumentalnie i – jak zauważył jeden z białoruskich ziemian – dali im do zrozumienia, że „Murzyn może odejść".

Ponad milion Polaków pozostało poza granicami kraju

Oczywiście nikt nie mógł przewidzieć, jak potoczą się dalsze losy Europy i świata, ale już wówczas znaczny niepokój okazywał Piłsudski.

„Wy tej Polski nie utrzymacie – mówił po ratyfikacji traktatu. – Ta burza, która nadciąga, jest zbyt wielka. Obecna Polska zdolna jest do życia tylko w jakimś szczęśliwym, złotym okresie dziejów. Ja przegrałem swoje życie. Nie udało mi się powołać do życia dużego związku federacyjnego, z którym świat musiałby się liczyć".

Chociaż od zawarcia traktatu w Rydze minęło sto lat (18 marca 1921 r.), to wciąż zauważalne są różnice na ziemiach położonych po obu stronach wówczas wyznaczonej granicy. Nie tylko przed i za Zbruczem, lecz także na Białorusi. Miałem się o tym okazję przekonać podczas swoich kresowych wędrówek.

Dawne polskie miasteczko Rubieżewicze, leżące ok. 1,5 km przed dawną granicą, ma zupełnie inny charakter niż miejscowości znajdujące się dalej na wschód. Rubieżewicze wprawdzie są dzisiaj wsią, ale to czysta i schludna miejscowość, a jej uroku nie zakłócają nawet żółte rury z instalacją gazową. Sowieckim obyczajem zostały bowiem poprowadzone na zewnątrz i oplatają dawną drewnianą zabudowę.

Natomiast jadąc w kierunku Dzierżyńska, napotykamy typowo bolszewickie porządki: rozpadające się domy i płoty, wszechogarniający bałagan i chaos. Trudno było wręcz uwierzyć, że przewaliły się tutaj druga wojna światowa i kilkadziesiąt lat komunizmu, a blisko siebie leżące miejscowości są tak odmienne pod względem kulturowym i cywilizacyjnym. Szkoda tylko, że nasi rodacy z Rubieżewicz przyznający się do swojej narodowości już niemal zapomnieli polski język. Inna sprawa, że witali nas bardzo gorąco, a samochód osobowy na polskich numerach wzbudził tam prawdziwą sensację. We wsi bowiem tylko czasami pojawiają się polskie autokary ze zorganizowanymi grupami turystycznymi. ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

Wywiad z aktorką Meghan Markle i jej mężem księciem Sussexu przeprowadziła za kilka milionów dolarów słynna Oprah FOT. HANDOUT/GETTY IMAGES

Zemsta zbuntowanych książąt

Jacek Przybylski

Pławiąca się w luksusie księżna Meghan ze łzami w oczach wyznała przed kamerami, jak ciężkie było dla niej życie w złotej klatce na brytyjskim dworze. W wywiadzie, o którym wspomniały niemal wszystkie najważniejsze światowe media, poskarżyła się też na „uciszanie" przez rodzinę królewską oraz ubolewała z powodu domniemanego rasizmu w pałacu Buckingham

Aktorka Meghan Markle, żona księcia Sussexu oraz udzielna księżna Hollywood, światowej opinii publicznej znana jest głównie z dwóch ról. Po pierwsze, ambitnej asystentki w serialu „W garniturach", która z sezonu na sezon stawała się co prawda coraz bardziej płaczliwa i trudniejsza do zniesienia, to jednak zapewne nie było winą Meghan, lecz scenarzystów.

Prawdziwą sławę przyniosła jej ostatnia rola, do której scenariusz Markle pisze sama. Otóż pochodząca z rozbitej rodziny Meghan nie tylko zdołała uwieść złotowłosego księcia Sussexu – ta sztuka w przypadku niejednego księcia udawała się już wielu amerykańskim aktorkom – lecz także skłoniła go do ożenku, a następnie do porzucenia funkcji publicznych, odcięcia się od bogatej i wpływowej rodziny oraz przeprowadzki z Frogmore Cottage w deszczowej Wielkiej Brytanii do ekskluzywnej willi w słonecznej Kalifornii (za którą oczywiście zapłacił jej ukochany książę z bajki).

W tym przypadku historia rechocze tak, że aż czka. Z powodu innej rozwódki z USA Edward VII w latach 40. XX w. stracił bowiem zarówno głowę, jak i koronę. Przedwojenna historia miłosna mocno wpłynęła na młodość obecnie panującej Elżbiety. Spokojną starość 95-letniej monarchini psuje zaś romans ukochanego rudego wnusia z aktorką, której tradycyjna brytyjska dyskrecja jest

eprasa.pl 348985e4fc

równie obca jak wierność składanym ślubom.

DÉJÀ VU

Świat zaczął znów mówić o nieco już zapomnianej aktorce, gdy wraz z posłusznym małżonkiem księciem udzieliła aż dwugodzinnego (sic!) wywiadu telewizyjnego. Był to pierwszy tego typu show, od kiedy para celebrytów ogłosiła odejście z królewskiego dworu i chęć zdobycia niezależności finansowej.

Zwierzeń dotyczących trudów codziennego życia bogatej księżnej cierpliwie wysłuchała miliarderka i ikona nowoczesnego „dziennikarstwa" Oprah Winfrey (za co dostała ponoć od stacji CBS od 7 do 9 mln dol.) oraz – już z czystej dobroci serca lub chęci zdobycia wiedzy o byłych „royalsach" – 17 mln Amerykanów, ok. 12 mln Brytyjczyków i 1,3 mln Polaków.

Dawna książęca para nie rozczarowała żądnych sensacji widzów. Meghan bez skrupułów nie tylko przejęła naszyjnik, który należał niegdyś do matki jej męża, lecz także próbowała powtórzyć medialny sukces księżnej Diany, która zanim z kochankiem Dodim al-Fayedem zginęła w paryskim tunelu, w słynnym wywiadzie dla BBC w roku 1995 również utyskiwała na trudny los członków rodziny królewskiej.

Oczywiście, wystarczyłoby przed ślubem z księciem obejrzeć jeden film o księżnej Dianie lub przeczytać streszczenie którejś z tysięcy książek o rodzinie królewskiej, aby wiedzieć, że to nie tyle rodzina, ile instytucja. Pałacowe intrygi zawsze świetnie się jednak sprzedają, więc i Oprah dzielnie wysłuchała niedojrzałej 40-latki skarżącej się na życie w złotej klatce, której zazdroszczą jej miliony na całym świecie.

Meghan powtórzyła więc zawsze dobrze sprzedający się wśród telewidzów wątek powracających myśli samobójczych i braku pomocy ze strony rodziny królewskiej. – Po prostu nie chciałam już dłużej żyć – wyznała ze łzami w oczach. Aby jednak nie wszystkie wątki były takie same jak w historii zmarłej tragicznie teściowej, amerykańska aktorka zdecydowała się na wprowadzenie do swojej ckliwej historyjki niezwykle modnego współcześnie oskarżenia o rasizm.

Aktorka trzeciego planu, znów niemal ze łzami w oczach, opowiedziała, że w rodzinie królewskiej prowadzone były rozmowy, „jak ciemna może być skóra" jej dziecka z księciem Harrym. Ona sama co prawda nigdy takich rozważań nie słyszała, ale jej mąż już ponoć tak, choć w telewizyjnym wywiadzie podkreślił, że nigdy nie zdradzi, z kim odbył taką rozmowę.

Meghan zasugerowała również, że to fakt, iż ich syn nie jest w 100 proc. biały, sprawił, że Archie nie ma tytułu książęcego ani prawa do ochrony. Oczywiście, teoretycznie wystarczy rzucić okiem na edykt Jerzego V z początku XX w., aby dowiedzieć się, że prawo do tytułu mają jedynie synowie, córki oraz wnukowie i wnuczki monarchy, a więc Archie nabędzie go dopiero wówczas, gdy na tronie zasiądzie król Karol. Za 7–9 mln dol. nikt nie może jednak wymagać dobrego przygotowania do wywiadu. Zresztą obecnie walka z rasizmem wymaga zapewne, aby surowe zasady obowiązywały tylko 100-procentowo białych potomków rodziny królewskiej, reszta tytuły i majątki powinna zapewne dostawać awansem jako odszkodowanie za

REKLAMA

eprasa.pl 348985e4fc

wieki prześladowań, które „przeżyło" to niemal dwuletnie dziecko. Narzekanie na brak ochrony ze strony celebrytów, którzy sami porzucili dwór królewski, również nie przez wszystkich może być jednoznacznie oceniane.

To oczywiście nie koniec żalów i łez. Meghan Markle narzekała również podczas wywiadu, że czuła się „uciszana" przez dwór. Zapewne jako aktorka nie wiedziała, jak temu zaradzić, ale na szczęście o odcięciu od mediów mogła teraz opowiedzieć milionom widzów na całym świecie.

W wywiadzie transmitowanym na cały świat telewizyjna Markle podkreśliła też, jak bardzo zależy jej na prywatności i jak źle się czuła, gdy co rusz w niepochlebnym tonie pisały o niej brytyjskie tabloidy, a paparazzi ścigali ją na każdym kroku. Złośliwcy mogliby sądzić, że aktorka lubi światło jupiterów, a jako osoba publiczna, korzystająca z ochrony i innych udogodnień opłacanych przez brytyjskich podatników, zdaje sobie sprawę z tego, że media mogą się nią interesować.

Para „zbuntowanych royalsów" znów będzie miała wiele okazji do narzekania na dziennikarzy. Publicznego prania prywatnych brudów podczas dwóch godzin wywiadu nie było bowiem końca.

Celebryci skarżyli się, że serdeczna i pomocna była dla nich tylko królowa Elżbieta. Harry żalił się również, że jego ojciec, książę Karol, przez wiele miesięcy nie odbierał od niego telefonu. Co dla księcia było zupełnie niezrozumiałe, bo przecież tatuś „przeszedł przez to samo" (czytaj: rodzina królewska z trudem akceptowała pozamałżeński romans rozpieszczonego księcia z mężatką Kamilą Parker Bowles). Harry narzekał na dystans, jaki zapanował między nim a bratem, który postanowił nie zdradzać własnej rodziny.

Scenarzyści nie zapomnieli także o momencie dla miłośników książęcych dzieci – hollywoodzka księżna zdradziła więc, że już latem ma termin porodu drugiego dziecka, tym razem córki.

WOLNOŚĆ SŁOWA TYLKO DLA WYBRANYCH

Tylko najbardziej naiwni fani aktorki i byłego księcia mogą sądzić, że była to po prostu szczera rozmowa, a pytania nie były wcześniej ustawione. Co prawda o uczciwości dziennikarskiej zapewniła Oprah Winfrey, ale w jej prawdomówność chciałoby się wierzyć tak samo mocno, jak wierzy nastolatek w prawdziwość św. Mikołaja.

I chociaż nie ma żadnej wątpliwości, że każda wypowiedź w tej koszmarnie długiej, miejscami przesłodzonej, a miejscami przepłakanej historii była wcześniej w szczegółach dopracowana, to trzeba przyznać, że oboje świetnie zagrali swoje role i osiągnęli zamierzony cel. Trafili na pierwsze strony dzienników nie tylko w Wielkiej Brytanii, lecz także w wielu krajach świata. Rozpisywały się o nich media plotkarskie oraz branżowe – czyli związane z reklamą i public relations. Nie ma więc żadnej wątpliwości, że para znacząco zwiększyła swoją wartość marketingową. Zatrudnienie Meghan i Harry'ego do kampanii medialnej będzie więc po tym wywiadzie ogromnie kosztowne i zapewne przekroczy budżet niejednego producenta pieluch. Celebryci, którzy uciekli z dworu królewskiego, jako najbardziej znani buntownicy świata mogą jednak wspierać wszystkie te marki, które swój przekaz adresują właśnie do konsumenckich rebeliantów, wolnomyślicieli czy marzycieli.

Chociaż nie ma wątpliwości, że każda wypowiedź w tej koszmarnie długiej, miejscami przesłodzonej, a miejscami przepłakanej historii była wcześniej w szczegółach dopracowana, to trzeba przyznać, że oboje świetnie zagrali swoje role i osiągnęli zamierzony cel

Meghan – zwykła amerykańska aktorka, która po poślubieniu księcia nagle odkryła, że życie nie jest tylko bajką – świetnie zbudowała rolę ofiary, której życie uratowała tylko bohaterska postawa ukochanego męża, syna Królowej Ludzkich Serc. Dzięki temu aktorka będzie mogła zarabiać dziesiątki milionów dolarów nie tylko na promocji antydepresantów, lecz także na kontraktach, które po tak głośnym wywiadzie łatwiej będzie zawierać przedstawicielom jej firmy producenckiej.

Po ostrych słowach, które padły w wywiadzie, oświadczenie musiał wydać pałac Buckingham. W krótkim komunikacie podkreślono, że Harry, Meghan oraz ich syn Archie „zawsze będą ukochanymi członkami rodziny". Dwór odniósł się również do oskarżenia o rasizm, stwierdzając dyplomatycznie, że chociaż wspomnienia różnych rozmów mogą się różnić, to zarzut został potraktowany bardzo poważnie i „zostanie załatwiony przez rodzinę prywatnie".

– Nie wierzę w ani jedno jej słowo. Nie wierzyłbym jej, gdyby czytała mi prognozę pogody – tak wywiad trzeciorzędnej aktorki skomentował na antenie programu „Good Morning Britain" popularny prezenter Piers Morgan. Taka postawa spotkała się z krytyką tysięcy oburzonych widzów. Zaledwie dzień później rzecznik prasowy stacji ITV przekazał informację, że był to ostatni odcinek programu, który prowadził Morgan. Mimo ogromnej presji miłośników politycznej poprawności prezenter nie wycofał się ze swoich słów. – Wierzę w wolność słowa, wierzę w prawo do posiadania własnego zdania – stwierdził pozbawiony pracy prezenter po sześciu latach prowadzenia porannego programu. – Nie wierzę w niemal żadne słowo, które wychodzi z jej ust. Sądzę, że szkody, które wyrządziła brytyjskiej monarchii oraz królowej w czasie, gdy książę Filip leży w szpitalu, są ogromne i godne pogardy – podkreślił Morgan.

Negatywnie zwierzenia pary oceniła też duża część Brytyjczyków. Zdaniem 47 proc. ankietowanych w sondażu YouGov wywiad, którego udzieliła książęca para, był „niestosowny". Za „stosowny" uznało go 21 proc. pytanych.

Zemsta Meghan uderzyła również w rodzinę królewską, która w ostatnim czasie cieszyła się dobrymi notowaniami w społeczeństwie. Na szczęście z sondażu YouGov wynika, że po emisji wywiadu więcej Brytyjczyków współczuje członkom rodziny królewskiej (16 proc.) niż Meghan i Harry'emu (12 proc.). Królowa Elżbieta oraz cały sztab ekspertów od wizerunku znów będą jednak musieli włożyć sporo pracy w naprawę skutków tego, że kolejny brytyjski książę stracił głowę dla trzecioplanowej amerykańskiej aktorki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

Francuski rząd zdelegalizował 3 marca prawicowe stowarzyszenie Génération Identitaire z powodu prowadzonych akcji protestacyjnych przeciwko masowej imigracji i postępującej islamizacji Francji.

Chociaż wszystkie ich akcje zostały do tej pory uznane przez francuski wymiar sprawiedliwości za pokojowe i mieszczące się w ramach prawa, to młodzi prawicowi aktywiści z Génération Identitaire (Pokolenie Tożsamościowe), w polskich mediach zwani tożsamościowcami czy identytarystami, od lat byli na celowniku francuskiego rządu.

Z mecenasem Gilles'em-Williamem Goldnadelem, francusko-izraelskim adwokatem stowarzyszenia Génération Identitaire (Pokolenie Tożsamościowe)
rozmawia Olivier Bault

Nie żyję w państwie w pełni demokratycznym

Zaczęło się od akcji protestacyjnej na dachu meczetu w budowie w Poitiers w 2012 r. Meczet ten był współfinansowany przez Katar, a według jego imama, który jest powiązany z organizacją bliską Bractwu Muzułmańskiemu, nazwa meczetu – Droga Męczenników – odnosi się do bitwy pod Poitiers w 732 r., kiedy to siły frankijskie położyły kres islamskiej inwazji na Galię. Kilku przywódcom patriotycznego protestu tożsamościowców groziły wyroki więzienia i wysokie grzywny w sądzie pierwszej instancji, zanim po latach procesu sądowego sąd apelacyjny uwolnił ich od zarzutów. Podobnie było w przypadku głośnej akcji „Mission Europe" w Alpach. W kwietniu 2018 r. blisko stu młodych ludzi z Génération Identitaire zorganizowało akcję na przełęczy Col de l'Échelle na granicy z Włochami. Wykorzystując helikoptery i ciężarówki oraz logo Defend Europe – to samo, którego europejscy tożsamościowcy użyli dla statku wysłanego na wody libijskie w 2017 r. w celu monitorowania wtargnięć innych statków organizacji pozarządowych i zgłaszania ich libijskiej straży przybrzeżnej – aktywiści utworzyli symboliczny punkt kontroli granicznej, aby zaprotestować przeciwko niekontrolowanemu przepływowi nielegalnych imigrantów. Chociaż misja „Obrona Europy" w Alpach była pokojowa i nie odnotowano żadnego przypadku przemocy, to francuskie media głównego nurtu, które w większości są lewicowe i przychylne migrantom, były bardzo krytyczne wobec protestu i nazywały go „skrajnie prawicowym", a nawet „neonazistowskim" w niektórych przypadkach.

Akcja Génération Identitaire w Alpach była postrzegana jako duży sukces grupy, ale niezwłocznie po niej prokuratorzy działający na polecenie rządu wytoczyli stowarzyszeniu kolejne sprawy sądowe. Dopiero w grudniu 2020 r. surowe grzywny i kary pozbawienia wolności zasądzone w pierwszej instancji zostały ostatecznie i w całości anulowane przez Sąd Apelacyjny w Grenoble.

Natomiast po tym, jak grupa ok. 30 aktywistów z Génération Identitaire zorganizowała podobną akcję – choć na mniejszą skalę – na granicy francusko-hiszpańskiej w Pirenejach w styczniu ubiegłego roku, francuski rząd postanowił rozwiązać stowarzyszenie Génération Identitaire, co wywołało falę ostrej krytyki i zarzuty o łamanie zasad demokracji i praworządności przez władzę wykonawczą.

OLIVIER BAULT: Na rozwiązanie organizacji Génération Identitaire zareagował pan deklaracją: „Jest to zarówno zbrodnia polityczna wymierzona w demokrację, jak i błąd natury moralnej uderzający w naród francuski". W jakim sensie rozwiązanie tej organizacji jest zbrodnią przeciw demokracji? Rząd francuski rozwiązał przecież organizacje islamistyczne, takie jak Barakacity czy CCIF. Czy nie było właściwe rozwiązanie w ten sam sposób organizacji uznawanej za skrajnie prawicową?

GILLES-WILLIAM GOLDNADEL: Uważam właśnie, że ta fałszywa symetria, która jest polityczną manipulacją, jest zbrodnią przeciwko demokracji. Stawianie znaku równości między, z jednej strony, organizacjami islamistycznymi, mającymi co najmniej niejednoznaczny stosunek do terroryzmu, antysemityzmu islamistycznego, a nawet całkiem jednoznaczny stosunek w odniesieniu do antysyjonizmu, otwarcie niechętnymi wobec idei solidarności narodowej i przynależności do Republiki, uznającymi pierwszeństwo szariatu nad francuskim prawem, a z drugiej strony, organizacją, która całkowicie odrzuca wszelkie formy przemocy fizycznej, nie posługuje się esencjalistycznym dyskursem w odniesieniu do kategorii takich jak rasizm czy antysemityzm, to podejście bardzo antydemokratyczne. Chce się wykluczyć z politycznej przestrzeni ludzi, którzy uważają, że dzisiejsza imigracja jako zjawisko rozmywa narodową tożsamość, ze względu na jej masowy i często nielegalny charakter, i że stanowi ona problem zagrażający bezpieczeństwu narodowemu i bezpieczeństwu mieszkańców kraju.

eprasa.pl 348985e4fc

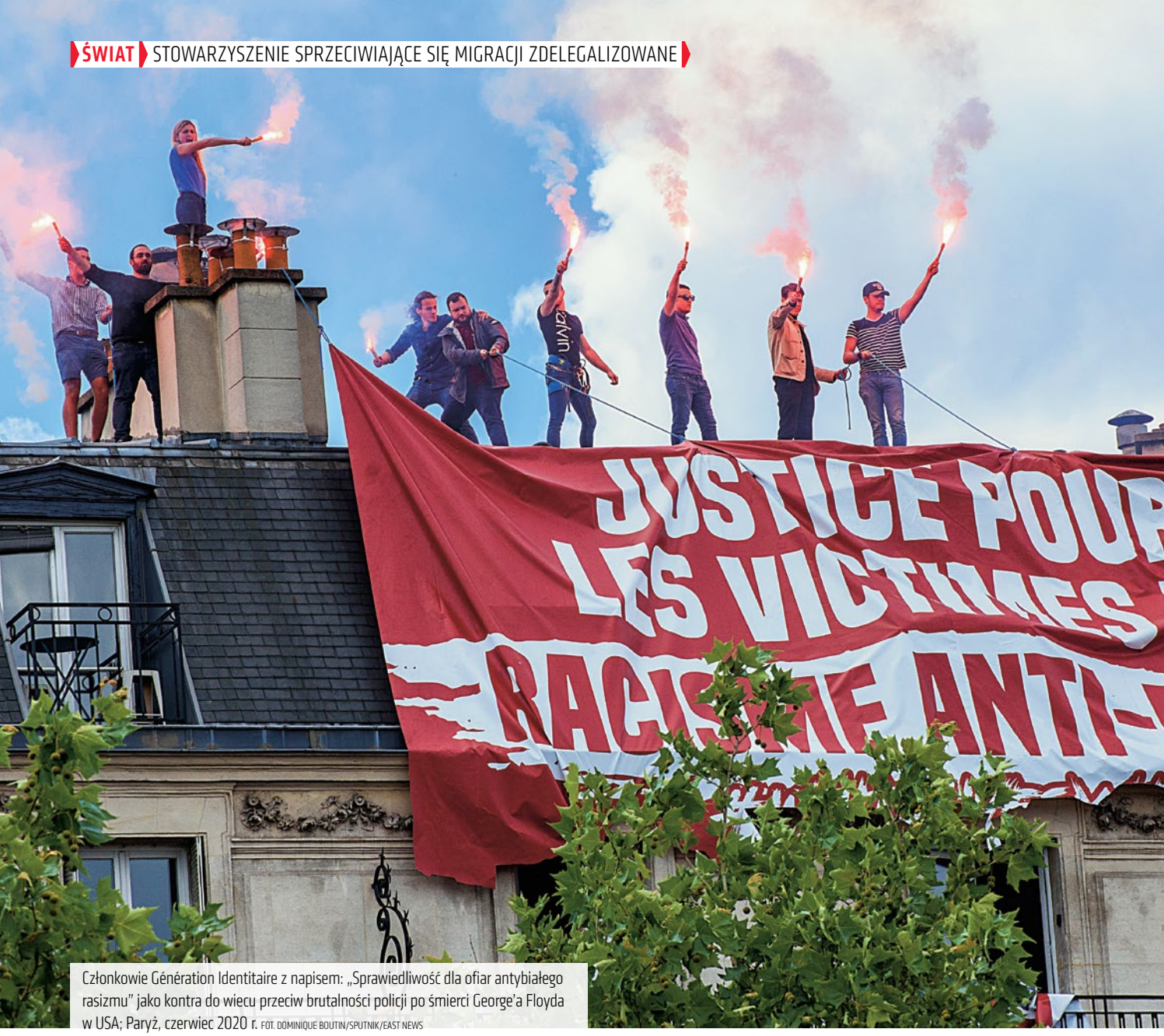

Członkowie Génération Identitaire z napisem: „Sprawiedliwość dla ofiar antybiałego rasizmu" jako kontra do wiecu przeciw brutalności policji po śmierci George'a Floyda w USA; Paryż, czerwiec 2020 r. FOT. DOMINIQUE BOUTIN/SPUTNIK/EAST NEWS

Sam fakt negatywnego postrzegania imigracji miałby być uznany za dyskryminujący.

Dzisiaj, dzięki nieco większej swobodzie myśli i wypowiedzi, większość Francuzów twierdzi, że imigracja była zbyt masowa i że miała miejsce w zbyt krótkim czasie, że uniemożliwiło to jakąkolwiek integrację, że sposób, w jaki przedstawiono przyjmowanie imigrantów przez Francuzów, wbrew jakimkolwiek faktom, robiąc z nich rasistów, jedynie rodziło poczucie wrogości u niektórych imigrantów. Nie stało się to z ich własnej winy, ale z winy mediów, klasy politycznej i ideologicznej naszego kraju. Zdecydowana większość Francuzów chciałaby, aby nasze granice były szanowane, i pragnęłaby nadal mieć pewne poczucie, że w swoim własnym kraju jest u siebie. Nie chcą mieć wrażenia, że zostali najechani z pogwałceniem prawa Republiki Francuskiej.

Uznanie za rasistę kogoś, kto patrzy na zjawisko migracji bez deformujących rzeczywistość okularów, jest zniewagą dla zdecydowanej większości Francuzów.

Tymczasem minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin stawia stowarzyszeniu Génération Identitaire zarzut podżegania do nienawiści rasowej i tworzenia milicji. Na czym opierają się te zarzuty?

Opierają się one na zaprzeczaniu prawdzie. Pierwszy zarzut, który pokazuje miałkość prawną, polityczną, faktograficzną i intelektualną tego rozumowania, dotyczy okupowania budowy powstającego meczetu. Tak się składa, że aktywiści, którzy blokowali budowę, zostali uwolnieni od zarzutów przez sąd. Tak się również składa, że równolegle Éric Coquerel, deputowany partii France Insoumise, towarzyszył nielegalnym imigrantom, gdy ci okupowali nie kościół w budowie, ale samą bazylikę Saint-Denis, gdzie pochowani są królowie Francji. Nie wszczęto żadnego postępowania przeciwko deputowanemu Coquerelowi ani nawet przeciwko samym imigrantom, nie zainicjowano też procedury rozwiązania partii France Insoumise. Na tym przykładzie, który jako pierwszy został podany przez rzecznika rządu, aby uzasadnić rozwiązanie stowarzyszenia, widać jawną niesprawiedliwość, którą wyrządza się młodym ludziom zrozpaczonym z powodu bezsilności państwa. Co jest smutne i ironiczne, to fakt, że minister spraw wewnętrznych należy do tych, którzy chcieliby w kilka dni lub w kilka miesięcy tej bezsilności państwa zaradzić.

eprasa.pl 348985e4fc

To ich przynajmniej, rzekomo, łączy z młodymi ludźmi reprezentującymi Génération Identitaire.

Udzielając wywiadu dla France Inter w połowie stycznia, poprzednik aktualnego ministra, pan Castaner, wyznał, że bardzo żałuje, iż jego służby po przeanalizowaniu akt sądowych nie znalazły uzasadnienia dla rozwiązania Génération Identitaire. To, co skłoniło Darmanina do rozwiązania tej organizacji, to akcja przeprowadzona w Pirenejach w styczniu tego roku, która bardzo go zdegustowała. Była ona bliźniaczą akcją tej przeprowadzonej w Alpach w kwietniu 2018 r., wobec której zarzuty zostały oddalone w postępowaniu sądowym. Jak zatem w tych warunkach mogę brać na poważnie prawne uzasadnienia ministra spraw wewnętrznych?

Podam jeszcze jeden przykład cytowany przez ministra spraw wewnętrznych. Chodzi o sławnego terrorystę z Christchurch w Nowej Zelandii, który przelał pieniądze na konto Génération Identitaire. Okazuje się, że przelał tysiąc euro dwa miesiące przed dokonaną przez siebie zbrodnią. Gdy stowarzyszenie Génération Identitaire dowiedziało się o tym, przekazało tę kwotę na cele charytatywne. Oznacza to, że jeśli ja jutro przekażę pieniądze na stowarzyszenie, które pan utworzył, aby pana wspomóc, a za dwa miesiące dopuszczę się dowolnego aktu przemocy, nawet jeśli nie mieliśmy nigdy okazji się poznać, będzie pan od razu traktowany jako współwinny moich czynów, przynajmniej na płaszczyźnie intelektualnej.

Jak mogę traktować z powagą uzasadnienie decyzji podane przez ministra spraw wewnętrznych, gdy jest on zmuszony do posługiwania się tak słabym argumentem?

Gdybym żył w państwie prawa, stawiłbym się przed Radą Stanu [najwyższą instancją administracyjną – przyp. red.], proszę wybaczyć wyrażenie, z palcem w nosie. Ale tak się składa, że wiem, iż nie żyję w państwie prawa, ponieważ gdyby tak było, nikt nigdy nie odważyłby się rozwiązać tak pokojowego, żeby nie powiedzieć pacyfistycznego stowarzyszenia.

Jeśli chodzi o określenie, że tworzy się „milicje", prawdą jest, iż ludzie ci w czasie operacji w górach mieli na sobie niebieskie kurtki z logo organizacji. Ale skoro tak, to trzeba będzie rozwiązać bezzwłocznie wszystkie organizacje zrzeszające przewodników wysokogórskich. Jak potwierdza to orzecznictwo sądowe, milicja to formacja uzbrojona albo w której powszechnie uprawia się sztuki walki i do której wstęp uwarunkowany jest selekcją według kryteriów sprawności fizycznej. A tymczasem, nawet w moim wieku, gdyby naszła mnie taka ochota, mógłbym wstąpić do Génération Identitaire.

Czy jest pan zatem gotowy, jeśli Rada Państwa nie przyzna stowarzyszeniu racji, wnieść skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka?

Tak, choć mam pewne obawy co do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, bo wiem, że organizacje pozarządowe pana Sorosa mają tam niestety wiele do powiedzenia. Napisałem kilka artykułów na ten temat. Członkowie niektórych tych organizacji zostali sędziami ETPC i nie zawahali się wydawać wyroków w sprawach dotyczących organizacji pozarządowych Sorosa. ETPC skazał zresztą Francję za próbę wydalenia do Algierii algierskiego terrorysty uznanego za winnego przez francuski sąd, gdyż przejął się jego losem w kraju pochodzenia. Oznacza to, że ETPC bardziej martwi się o bezpieczeństwo algierskiego terrorysty niż uczciwych Europejczyków. Ale nie zawaham się, mimo wszystko, wnieść sprawy do rozpatrzenia przed tę wysoką instancję.

Francja jest bardzo aktywna, jeśli chodzi o wsparcie udzielane Komisji Europejskiej w jej sporach z Węgrami i Polską w odniesieniu do kwestii przestrzegania zasad państwa prawa oraz zasad demokratycznych. Szczególnie francuski sekretarz stanu Clément Beaune jest w tym aktywny. Tymczasem w kontekście sprawy Génération Identitaire czy to nie Francja ma problem z demokracją i państwem prawa, z powodu którego powinny ją spotkać sankcje Brukseli?

Słabo znam sytuację w Polsce, ale znam dobrze sytuację we Francji. Trudno mi sobie wyobrazić, aby polska telewizja publiczna, która podobno jest w rękach władzy, mogła być tak uległa wobec ideologii panującej i tak pozbawiona pluralizmu jak nadawcy publicznych mediów francuskich. Nie wyobrażam sobie, aby to mogło być możliwe.

Jeśli chodzi o pana Clémenta Beaune'a, to jest to ktoś, kto głosi, że należy posługiwać się publicznymi mediami do celów prounijnych po to, by kształtować opinię przychylną integracji europejskiej, a narzędziem tej polityki mają być także premie wypłacane dziennikarzom mediów publicznych, którzy poświęcaliby swoje artykuły czy materiały kwestiom europejskim. Jeśli nie mamy tutaj do czynienia z perspektywą orwellowską, to nie wiem, jak nazwać sytuację, w której się znajdujemy. Nie wiem zatem, jak wygląda sytuacja w Polsce, ale wiem, że ja sam nie żyję w państwie w pełni demokratycznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mecenas Gilles-William Goldnadel – jest adwokatem stowarzyszenia Génération Identitaire (Pokolenie Tożsamościowe), prezesem organizacji Adwokaci bez Granic, eseistą, publicystą m.in. „Le Figaro", „Valeurs Actuelles" i Radia RMC.

eprasa.pl 348985e4fc

Podróże z zastrzykiem

Agnieszka Niewińska

W Dubaju, Indiach, a może na Kubie? Pojawiły się oferty wyjazdów na szczepienia dla tych, którzy nie chcą czekać w kolejce. Najczęściej to opcje dla osób z zasobniejszym portfelem

Przy okazji akcji szczepień będę mogła poznać Mazowsze – żartuje Alicja, 33-latka z Warszawy. Jej rodzice mają już wystawione e-skierowania na szczepienie. – Od razu zaczęliśmy szukać terminów. Z mamą w tym tygodniu jedziemy do punktu szczepień 90 km na północ od Warszawy. Z tatą 100 km na południe, do Skaryszewa – opowiada.

Skąd pomysł na szczepienie daleko poza miejscem zamieszkania? – W Skaryszewie udało się zabukować szczepienie trzy tygodnie wcześniej niż w Warszawie. Co prawda, z powodu braku dostaw szczepionek wizyta została przełożona o dwa tygodnie, ale w Warszawie pewnie byłoby podobnie. Trzy tygodnie to sporo dla seniorów, którzy od roku niemal nie wychodzą z domu, nie spotykają się z rodziną. Mamę wiozę z kolei do punktu szczepień w jednej z mazowieckich wsi. Terminów w Warszawie było sporo, nawet na następny dzień, ale tylko ze szczepionką AstraZeneca. Zależało nam na zaszczepieniu mamy Pfizerem lub Moderną, by nie czekać 12 tygodni na drugą dawkę. Termin szczepienia Moderną znalazł się 90 km od Warszawy – mówi Alicja. I dodaje, że na drugi koniec Polski po szczepienie by nie pojechali. – Akceptowalna była wyprawa trwająca do dwóch godzin w jedną stronę. Rodzice początkowo nie byli zachwyceni perspektywą takiej szczepionkowej turystyki, ale łatwo dali się przekonać. Teraz każdy wyjazd jest dla nich atrakcją.

WILLA, BASEN I DWIE DAWKI

O ile seniorzy chcący się zaszczepić możliwie najszybciej podróżują do oddalonych punktów szczepień w kraju, o tyle młodszym rocznikom poza czekaniem pozostaje szukanie zagranicznych ofert. Napływ szczepionkowych turystów przeżyła Floryda, która początkowo nie wymagała, by na szczepienie rejestrowali się tylko jej mieszkańcy. W efekcie na Florydę po szczepionkę przyjeżdżali ludzie z innych stanów (w tym celebryci szczepiący siebie czy krewnych) oraz obywatele innych państw – Kanady, Argentyny czy Indii. W efekcie słoneczny stan zmienił przepisy i teraz trzeba okazać dowód tożsamości lub prawo jazdy wydane na Florydzie.

Przy odpowiednio zasobnym portfelu można znaleźć szczepienie połączone z zagranicznym urlopem. Ofertę dla tych szczególnie zamożnych w styczniu przedstawił Knightsbridge Circle, brytyjski ekskluzywny klub organizujący podróże skrojone na miarę (członkowie klubu są

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 348985e4fc

starannie dobierani, a opłata za przynależność do tego elitarnego grona wynosi 24 tys. funtów rocznie, czyli równowartość ok. 100 tys. zł). Klub podróżniczy zaproponował wyprawy do Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich czy do Indii. Wakacyjny wypoczynek miał być połączony z przyjęciem dwóch dawek szczepionki na COVID-19. Chęć przystąpienia do klubu z miejsca wyraziło ponad 2 tys. osób, choć szczepionkowa wyprawa z Knightsbridge Circle to raczej wakacje dla najbogatszych. Dwadzieścia jeden dni w Dubaju z przelotem i zakwaterowaniem to koszt 40 tys. funtów (ok. 200 tys. zł). – Rezerwujemy [członkom klubu – przyp. red.] piękną willę z basenem, szefem kuchni i personelem domowym. Lądują, przyjmują pierwszą dawkę i czekają na drugą. Część osób do Indii wyjechała na cały ten czas. Inne przyleciały po pierwszą dawkę, wyleciały na Madagaskar, a później wróciły po drugą – opowiadał jeszcze w styczniu „The Telegraph" założyciel klubu Stuart McNeill.

PRACA ZDALNA, SZCZEPIENIE GRATIS

Doniesienia o wyjazdach na wakacje połączone ze szczepieniem w Zjednoczonych Emiratach Arabskich pojawiły się także w hiszpańskich mediach. ZEA to jeden ze szczepionkowych liderów. Zaszczepionych zostało tam już blisko 60 proc. obywateli. Oficjalnie prawo do zaszczepienia się w ZEA wciąż mają tylko obywatele i rezydenci. Nieoficjalnie wiadomo, że będąc na miejscu, można skorzystać ze szczepienia w którejś z prywatnych klinik. Z kolportowanych w sieci informacji od mieszkańców tego kraju wynika, że w tym celu lepiej wyjechać poza Dubaj do jednego z mniejszych emiratów.

Są jednak obcokrajowcy, którzy legalnie i za darmo mogą się zaszczepić w Dubaju. To cyfrowi nomadzi, czyli osoby, którym do pracy wystarczy komputer i Internet, a zadania mogą wykonywać z każdego miejsca na Ziemi. W październiku ubiegłego roku ZEA wprowadziła specjalną wizę dla cyfrowych nomadów. Jeśli mają pracę poza granicami ZEA, środki w wysokości 5 tys. dol. miesięcznie i ubezpieczenie medyczne ważne w Dubaju, to mogą dostać wizę na roczny pobyt. Zarówno dla siebie, jak i dla rodziny. Dla wielu pracujących zdalnie to atrakcyjna oferta, bo pozostały tam nieliczne obostrzenia. Działają restauracje, hotele, można korzystać z atrakcji turystycznych. Żeby przyciągnąć nowych rezydentów, Dubaj przeprowadził nawet kampanię w mediach. – Dużo osób pracujących np. w Berlinie czy Hiszpanii interesuje się tym, żeby tu przyjechać. Uważają, że w Dubaju sytuacja jest lepsza niż gdzie indziej, jest mniej niepewności – mówił Franc24 pracujący zdalnie z Dubaju Nail Ambikar, jeden z założycieli start-upu B2B Pay proponującego internetowy transfer pieniędzy. Darmowa szczepionka to dla pracowników zdalnych dodatkowy atut, tyle że ZEA szczepi chińskim preparatem.

Wiadomo już, że szczepionkowych turystów z otwartymi ramionami przyjmować będzie Kuba

Przez austriacką stronę Impfreisen.at też można zgłosić się na wakacje ze szczepieniem lub samo szczepienie za granicą. Koszt wyprawy np. do Serbii po szczepionkę Johnson & Johnson zaczyna się od ok. 3 tys. euro (wymagana jest tylko jedna dawka). Inicjator tego biznesu Christian W. Mucha wyjaśnia jednak na stronie Impfreisen.at, że chce pomóc tym, których na taki wyjazd nie stać. Jedno zgłoszenie na 10 przez stronę ma być darmowym szczepieniem. Trzeba tylko w odpowiedniej rubryce dobrze uzasadnić, dlaczego nie możemy za nie zapłacić. Mucha ma w planach umowy z kolejnymi krajami, które szczepienia chcą wykorzystać do ożywienia ruchu turystycznego.

UKŁUCIE NA KARAIBACH

Wiadomo już, że szczepionkowych turystów z otwartymi ramionami przyjmować będzie Kuba. Jej kulejąca ekonomia w pandemii jeszcze podupadła ze względu na brak turystów. Kuba pracuje też nad kilkoma szczepionkami przeciw COVID-19. Największe nadzieje wiąże z Soberana 02, która z początkiem marca weszła w trzeci etap badań klinicznych. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to w tym roku zaszczepimy całą populację Kuby – zapowiedziała w styczniu Vicente Vérez Bencomo, dyrektor kubańskiego Instytutu Finlay. – Turyści, jeśli zechcą, będą mieli opcję zaszczepienia się na Kubie – dodał.

Obiecującym kierunkiem dla szczepionkowych turystów może się okazać Rosja, która produkuje szczepionkę Sputnik V. Chociaż oficjalnie akcja szczepień w Rosji na razie dotyczy tylko Rosji, to reporter France24 z kamerą towarzyszył w szczepieniu studentowi z Bangladeszu, a także spotkał młodą Rosjankę, która choć jest rezydentką w Niemczech, na szczepienie przyjechała do Rosji. Nikt nawet nie sprawdził jej obywatelstwa. – Gdybym chciała zaszczepić się w Niemczech, musiałabym się ustawić w kolejce. Tutaj nie miałam nawet ze sobą mojego rosyjskiego paszportu, a mimo to zostałam zaszczepiona w pięć minut – opowiadała Alina.

Na polskim rynku turystycznym nie ma jeszcze ofert wakacji ze szczepieniem. Czy w ogóle się pojawią? Doktor Piotr Kociszewski, prodziekan Wydziału Turystyki i Rekreacji Szkoły Głównej Turystyki i Hotelarstwa Vistula, bardzo w to wątpi. – Turystyka medyczna nie jest niczym nowym, ale w przypadku szczepień wydaje się, że polskie biura podróży raczej nie będą rozwijać takiego kanału wyjazdowego. Komisja Europejska krajom członkowskim pozostawiła decyzje, kto może się u nich zaszczepić. Państwa UE szczepią swoich obywateli czy osoby ze stałym pobytem w danym kraju, a nie przyjezdnych. Wiele państw spoza UE też ogranicza akcję szczepień do obywateli, rezydentów, podatników. Propozycje wyjazdów poza UE, o których głośno było ostatnio w mediach, to przykłady ofert pojedynczych zachodnich butikowych biur podróży skierowane do zamożnych klientów. Trzeba mieć jeszcze do nich dostęp, więc z taką ofertą występują firmy, które wcześniej organizowały np. wyjazdy biznesowe – wskazuje dr Kociszewski.

Dodaje, że w krajach, które będą gotowe szczepić turystów, touroperatorzy mogliby zapewnić pakiet obejmujący transport, zakwaterowanie, wyżywienie i zwiedzanie. – Pozostaje jednak pytanie o wzięcie odpowiedzialności za procedurę, jaką jest szczepienie, za ewentualne powikłania. W cenie standardowych ubezpieczeń turystycznych w większości przypadków w tej chwili zawarta jest podstawowa ochrona związana m.in. z kosztami hospitalizacji na skutek COVID-19. Nie widzę jednak takiej możliwości, żeby biuro podróży wzięło na siebie odpowiedzialność za szczepienie turysty. Dlatego nie spodziewajmy się lawiny pakietów w egzotycznych destynacjach połączonych ze szczepieniem, do tego nie zawsze pewnym preparatem – podkreśla dr Kociszewski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

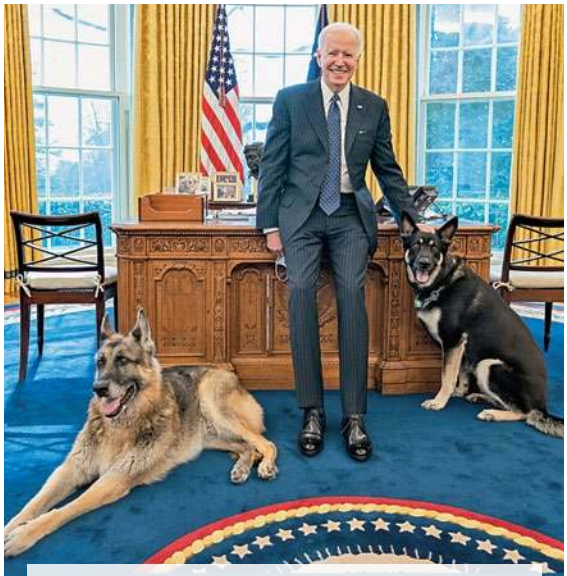

FOT. WHITE HOUSE/ZUMA PRESS/FORUM

PSY EKSMITOWANE Z BIAŁEGO DOMU

Nic tak nie ociepla wizerunku polityków jak zwierzęta domowe. Joe Biden ocieplał swój wizerunek dwoma owczarkami – Champem i Majorem. Były sesje zdjęciowe w gabinecie owalnym, historie o ich adoptowaniu ze schroniska dla zwierząt. Ale skończyło się. Psy eksmitowano. Jeden z nich dotkliwie pogryzł ochroniarza prezydenta.

IZRAEL NIE WPUŚCIŁ SZEFA PFIZERA

Albert Bourla, szef koncernu farmaceutycznego Pfizer, który produkuje szczepionkę na koronawirusa, niespodziewanie musiał odwołać swoją wizytę w Izraelu, bo... nie jest zaszczepiony na COVID-19 i nie zostałby wpuszczony do tego kraju. Albert Bourla już w grudniu ubiegłego roku tłumaczył w mediach, że nie szczepi się na koronawirusa, bo ma 59 lat, jest zdrowy i uważa, że wiele więcej osób przed nim bardziej potrzebuje szczepionki.

PRZEMOC NA PROTEŚCIE PRZECIW PRZEMOCY

W stolicy Meksyku kobiety 8 marca zorganizowały marsz przeciw przemocy wobec kobiet. Setki aktywistek na marsz poszły – nie wiadomo dlaczego – uzbrojone w młotki, pałki i inne tego typu przedmioty. Rozłamały barierę otaczającą siedzibę prezydenta kraju. Gdy drogę zastąpił im oddział policji – tak się składa, że złożony tylko z funkcjonariuszek – manifestantki oblały policjantki benzyną i podpaliły.

BIAŁORUŚ WYDALA ZA ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Polski konsul w Brześciu Jerzy Timofiejuk został uznany za persona non grata i musiał opuścić Białoruś. Powód? Wziął udział w spotkaniu z harcerzami organizowanym przez Forum Polskich Inicjatyw Lokalnych z okazji Dnia Żołnierzy Wyklętych. Białoruskie MSZ uznało, że to „heroizacja przestępców wojennych, cyniczne usprawiedliwianie ludobójstwa narodu białoruskiego i poważne naruszanie obowiązków strony polskiej w niedopuszczaniu do heroizacji nazizmu".

DZIADEK POMYLIŁ WNUKA

Ta historia jest z Polski, ale warto wyjątkowo dać jej miejsce w rubryce. Otóż pewien dziadek z Lubartowa odebrał z przedszkola czteroletniego wnuka. W domu dał mu obiad, a potem cukierka na deser i włączył mu bajki. Okazało się, że pomylił się i zamiast wnuka odebrał jego kolegę z grupy. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Okrutna lekcja dla świata

W oficjalnym cenniku na islamskim targu bydła i kobiet za dziewczynkę w wieku od roku do lat dziewięciu trzeba było zapłacić 172 dol. (662 zł), a za nastolatkę (od 10. do 20. roku życia) 130 dol. Takie stawki za jazydki i chrześcijanki obowiązywały w irackim Mosulu. Wiele z nich z kartką u szyi, na której widniała cena wypisana po arabsku i angielsku, po wielokrotnych gwałtach i torturach, na targ bydła i kobiet trafiało wiele razy. Dwudziestolatki wyceniano na 86 dol., trzydziestolatki na 75 dol., a czterdziestolatki sprzedawno po 43 dol. (165 zł).

Przerażający cennik to jeden z dokumentów, którego kopię otrzymał papież Franciszek podczas pielgrzymki do Iraku. Drugi mówi o oznaczaniu literą „N" domów chrześcijan, którzy musieli przejść na islam, płacić dżizję lub opuścić dom w ciągu 24 godzin.

Te koszmarne czasy chwilowo minęły. Islamscy radykałowie wciąż jednak są groźni. Prześladowanie chrześcijan z roku na rok nasila się na całym świecie. UE woli jednak zajmować się obroną świata przed urojeniami wojowników LGBTQIA. Informacje o prześladowaniach chrześcijan nudzą również główne światowe media. Szkoda. Przywódcy Europy z koszmarnych doświadczeń tysięcy irackich kobiet powinni bowiem szybko wyciągnąć wnioski. W przeciwnym razie podobny los grozić może kolejnym tysiącom kobiet. Nie tylko na Bliskim Wschodzie.

Tęczowi aktywiści, tak chętnie niszczący chrześcijańskie fundamenty Europy, powinni pamiętać, że w Państwie Islamskim gejów zrzucano z wieży lub kamienowano, podczas gdy w Polsce nic im nie grozi i nigdy nie groziło. Warto więc zamiast „chronić" UE przed tradycyjnymi wartościami, zacząć ją stanowczo bronić przed terrorystami i lewicowymi radykałami. ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

Deweloperski Fundusz Gwarancyjny jednak powstanie

Urszula Hofman

Konrad Płochocki

Projekt ustawy o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego lub domu jednorodzinnego oraz o Deweloperskim Funduszu Gwarancyjnym zakłada, że oprócz utworzenia Deweloperskiego Funduszu Gwarancyjnego (DFG) z obowiązkową składką na jego rzecz na przedsiębiorców nałożone zostaną dodatkowe obowiązki faktyczne, ewidencyjne i rachunkowe, związane z umowami rezerwacyjnymi, raportowaniem czy procedurami odbioru lokalu mieszkalnego. Wnioskodawcy z UOKiK argumentują to zwiększeniem ochrony nabywców lokali, lecz branża jest sceptyczna i zadaje pytanie: Czy faktycznie klienci są obecnie niedostatecznie chronieni?

Nowe przepisy przewidują stworzenie DFG ze składek wpłacanych przez deweloperów. Będą one odprowadzane od wpłat nabywców na mieszkaniowy rachunek powierniczy. Dla otwartych rachunków powierniczych wyniosą maksymalnie 2 proc. wartości każdego sprzedanego lokalu. Dla zamkniętych – maksymalnie 0,2 proc. Środki te byłyby wypłacane m.in. w przypadku upadłości dewelopera lub banku prowadzącego otwarte lub zamknięte rachunki powiernicze. To tyle, jeśli chodzi o teorię nowego systemu zabezpieczającego nabywców. Jak jednak wygląda praktyka obecnie obowiązujących mechanizmów?

Przeszło dziewięć lat funkcjonowania ustawy deweloperskiej pokazało, że zagwarantowany jej przepisami poziom ochrony dla kupujących mieszkania jest odpowiedni. W tym okresie były zaledwie dwie upadłości przy otwartym rachunku powierniczym. Przy czym w jednym przypadku doszło najprawdopodobniej do przestępstwa, a w drugim inwestycja częściowo nie została objęta reżimem ustawy deweloperskiej, czyli również niezgodnie z prawem – uważa Przemysław Dziąg, radca prawny PZFD.

W podobnym tonie wypowiada się biuro Rzecznika Praw Obywatelskich na łamach „Dziennika Gazety Prawnej": „Aktualnie do BRPO nie wpływają już raczej skargi na deweloperów – w skali roku są to dosłownie pojedyncze pisma. Tych skarg było w przeszłości dużo więcej. Po nowelizacjach „ustawy deweloperskiej", które doprecyzowały jej regulacje, skargi do RPO są sporadyczne i wynikają raczej z braku dostatecznej świadomości prawnej obywateli.

CZY MIESZKANIA PODROŻEJĄ?

Polski Związek Firm Deweloperskich od początku prac nad nowelizacją stał na stanowisku, że składki nie powinny przekraczać 0,5 proc. ceny mieszkania, czyli tyle, ile według szacunków UOKiK pozwoliłoby zebrać co roku kwotę rzędu 140 mln zł. Szacuje też, że w przypadku wprowadzenia dodatkowej opłaty w wysokości 2 proc. wartości mieszkania może spowodować to wzrost cen mieszkania o kilka lub nawet kilkanaście tysięcy złotych.

– Uważam, że obecna sytuacja deweloperów na rynku jest stabilna, a klienci są należycie zabezpieczeni i nie widzę przesłanek, aby ją zmieniać. Wprowadzenie DFG oczywiście jeszcze bardziej zwiększy to bezpieczeństwo, ale może równocześnie przyczynić się do wzrostu cen nieruchomości – ocenia Grzegorz Kiełpsz, prezes Polskiego Związku Firm Deweloperskich.

JAK NOWELIZACJA WPŁYNIE NA RYNEK MIESZKAŃ Z PUNKTU WIDZENIA DEWELOPERA?

Gdy w 2012 r. zajmowałam się implementacją przepisów tzw. ustawy deweloperskiej w swojej organizacji, była ona w wielu aspektach trudna w interpretacji, ale stanowiła pozytywne wyzwanie – wspomina Urszula Hofman z Grupy Inwest. Prawne doprecyzowanie działalności firm deweloperskich jest jak najbardziej korzystne w aspekcie relacji z klientem. Jednakże obecnie zapowiadane zmiany traktujemy jako idące zbyt daleko. Fundusz Gwarancyjny, zapowiadany od wielu lat, jest korzystny w relacjach klient-deweloper. Niepokoi nas jednak wysokość składek, a także możliwość ich multiplikowania, co niewątpliwie spowoduje wzrost cen mieszkań. Zbyt intensywne wkraczanie ustawodawcy w sprawy wolnego rynku kończy się zazwyczaj spiętrzeniem procedur oraz wzrostem cen. Tak jest w każdym aspekcie gospodarki. Naszym zdaniem Fundusz Gwarancyjny powinien być skonstruowany jako swego rodzaju depozyt, a pozytywne zakończenie procesu realizacji zwalniałoby składki wpłacane przez konkretną firmę i dawało jej płynność potrzebną do realizacji nowych inwestycji. Kolejne daniny doprowadzą rynek do monopolizacji, gdzie tylko najwięksi będą w stanie przetrwać. Jednak „ustawowe" niejako zwiększanie obostrzeń, a co za tym idzie – cen, doprowadzić może do sytuacji, w której większa liczba lokali znajdzie się we władaniu Funduszy, a Kowalskiego po prostu nie będzie stać na kupno własnego lokum.

CO OPRÓCZ DFG JEST W PROJEKCIE NOWELIZACJI?

Poza utworzeniem DFG projekt zawiera wiele szczegółowych rozwiązań, które chce narzucić UOKiK. PZFD podsumował, że takich małych, ale krytycznych uwag ma kilkadziesiąt i gdyby temat sprowadzał się do samego DFG przy rozsądnej stawce i przy pozostawieniu mechanizmów z poprzedniej ustawy, to nie zgłaszałby żadnych uwag. Związek od 2019 r. stoi na stanowisku, że przy obecnej wartości rynku szacowanej na ok. 55–60 mld zł wystarczyłaby składka na poziomie 0,3%, co umożliwiłoby zebranie 140 mln zł w pierwszym roku, o czym pisał UOKiK w ocenie skutków regulacji. Nie ma bowiem sensu zbierać pieniędzy w nieskończoność, żeby tworzyć niepotrzebnie ogromny fundusz, który byłby apetycznym kąskiem dla polityków.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 348985e4fc

Niebezpieczeństwa Funduszu Odbudowy

Tomasz Cukiernik

Europejski Fundusz Odbudowy ma pomóc krajom UE po kryzysie związanym z pandemią. Jednak raczej zdewastuje konkurencyjność gospodarek

Nie licząc urzędników obsługujących i wdrażających plany oraz projekty, deszcz pieniędzy nie przyniesie społeczeństwu dobrobytu. Wystarczy wspomnieć, że New Deal Franklina Delano Roosevelta opóźnił odbudowę gospodarki amerykańskiej po wielkim kryzysie. Tak samo jak po pożodze drugiej wojny światowej to nie plan Marshalla zbudował dobrobyt Europy Zachodniej. Mniej znany jest przykład z antypodów, gdzie całkowitą katastrofą zakończył się wielki program państwowych inwestycji przemysłowych w Nowej Zelandii w latach 70. i 80. XX w. o nazwie Think Big. Wzrosły zadłużenie publiczne, inflacja i bezrobocie, bo zamiast wypracowania spodziewanego przez urzędników zysku do państwowych inwestycji cały czas musiał dokładać podatnik.

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY

W grę wchodzi 750 mld euro w grantach i pożyczkach. Oficjalnie pieniądze te mają iść na odbudowę gospodarek państw członkowskich Unii Europejskiej po koronakryzysie. W rzeczywistości – jeśli przyjrzymy się bliżej pomysłom eurokratów – okazuje się, że nie jest to żaden plan odbudowy po pandemii, a tyl-

eprasa.pl 348985e4fc

Unijni politycy chcą pomóc, a zaszkodzą. Na zdjęciu szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i Charles Michel, szef Rady Europejskiej

FOT. DAINA LE LARDIC/EP/EUROPEAN UNION

ko przyspieszenie realizacji dotychczasowej polityki unijnych planistów związanych przede wszystkim z klimatohisterią. Zapisana w unijnych dokumentach transformacja klimatyczna to nic innego, jak zdewastowanie konkurencyjności gospodarki, szczególnie polskiej, opartej na węglu (na tym etapie rozwoju Polska nie potrzebuje drogich i nieefektywnych odnawialnych źródeł energii oraz pojazdów elektrycznych) i dobranie się jeszcze głębiej do kieszeni podatników.

Eric Heymann, analityk Deutsche Banku, napisał, iż „twierdzenie, że neutralność klimatyczna może być strategią wzrostu gospodarczego, jest myśleniem życzeniowym", a wprowadzenie w życie Europejskiego Zielonego Ładu będzie oznaczało utratę konkurencyjności przemysłu w UE oraz konieczność podporządkowania życia i budżetów domowych obywateli „ekodyktaturze". Już teraz z powodu unijnych regulacji środowiskowych płacimy wyższe rachunki za energię elektryczną, za paliwa i za odbiór odpadów. Według szacunków zapisanych w rządowym planie w latach 2021–2040 koszty transformacji energetycznej w Polsce wyniosą ok. 1,6 bln zł. To sześć razy więcej niż maksymalna unijna propozycja dla Polski z Funduszu Odbudowy.

Z kolei w przypadku transformacji cyfrowej możemy się spodziewać jeszcze większej inwigilacji i przez to dalszej utraty naszej prywatności. W obu przypadkach Polska będzie zmuszona do importowania zachodnich technologii zielonych i cyfrowych. Co natomiast wspólnego z koronawirusem i ze zmianami klimatu ma równość kobiet, o którą Bruksela również nakazuje walczyć państwom członkowskim w ramach odbudowy po koronakryzysie – chyba nie wie nikt. Również polscy urzędnicy ministerialni, którzy napisali, że „zasady równości szans kobiet i mężczyzn oraz zapewnienia równych szans zostaną uwzględnione na każdym etapie zarządzania i wdrażania planu". Unia kazała, to napisali…

Plan Odbudowy skupia w jednym miejscu wszystkie niebezpieczeństwa i ułomności związane z interwencjonizmem państwowym w gospodarce. Będziemy mieli do czynienia z większą ingerencją urzędników, którzy będą rozdawali pieniądze sektorowi prywatnemu oraz nadzorowali państwowe inwestycje.

Ostatecznie plan zostanie sfinansowany nowymi podatkami, które zaczęła już wdrażać Bruksela. Europodatek od plastiku niepodlegającego recyklingowi już obowiązuje, a w kolejce czekają nas: opłata cyfrowa, graniczne opłaty od emisji CO_2, zmiana i rozszerzenie unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji na transport lotniczy i morski oraz podatek od transakcji finansowych i podatek związany z sektorem przedsiębiorstw lub nową wspólną podstawą opodatkowania osób prawnych.

Widać wyraźnie, że za to całe rozdawnictwo i wydatki państwa w ramach Krajowego Planu Odbudowy zapłacą w przyszłości firmy i konsumenci. Skutkiem tego interwencjonizmu siłą rzeczy będzie również wzrost biurokracji i zadłużenia publicznego. W historii takie działania zawsze kończyły się źle, a już na pewno nigdy nie udało się biurokratom zrealizować zamierzonych celów.

INTERWENCJONIZM PAŃSTWOWY NIE DZIAŁA

Jak czytamy w projekcie Krajowego Planu Odbudowy, przygotowanym w lutym przez Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej, „zgodnie z założeniami instrumentu RRF [Europejski Instrument na rzecz Odbudowy i Zwiększania Odporności] celem strategicznym KPO jest odbudowa potencjału rozwojowego gospodarki utraconego w wyniku

eprasa.pl 348985e4fc

pandemii (recovery) oraz wsparcie budowy trwałej konkurencyjności gospodarki i wzrost poziomu życia społeczeństwa w dłuższym horyzoncie czasowym (resilience), co będzie odbywać się m.in. poprzez przyspieszenie rozwoju niskoemisyjnej gospodarki o obiegu zamkniętym, która w sposób odpowiedzialny wykorzystuje zasoby środowiska (green growth), a także rozwój oparty na wykorzystaniu rozwiązań cyfrowych (digital growth)".

Jedno zdanie, a tyle w nim przekłamań i błędów. Po pierwsze, potencjał rozwojowy gospodarki nie został utracony w wyniku pandemii, tylko w rezultacie wprowadzania przez rząd lockdownu. Po drugie, jeszcze żadnemu państwu na świecie nie udało się zwiększyć dobrobytu poprzez pompowanie do gospodarki publicznych pieniędzy. Wręcz przeciwnie – skutek zawsze był dokładnie odwrotny. Efektem jest ubożenie albo słabszy niż możliwy do osiągnięcia wzrost gospodarczy. Tymczasem sama Unia Europejska zachęca kraje członkowskie do zwiększenia w ramach planu odbudowy inwestycji publicznych! W jednym z komunikatów Komisji Europejskiej jest mowa o „zwiększeniu roli sektora publicznego w gospodarce", a także o tym, że „konieczne będą skuteczniejsze i silniejsze państwo opiekuńcze, aktywna polityka rynku pracy".

Po trzecie, jak można przyspieszyć wzrost i polepszyć konkurencyjność gospodarki wyższymi kosztami? A właśnie wdrażana w ramach tego planu unijna polityka energetyczno-klimatyczna już wywołuje i jeszcze będzie wywoływała gigantyczne koszty dla gospodarki. Oczywiście niektórzy na tym zyskają, ale większość straci. Wyższe koszty mogą co najwyżej wzrost spowolnić, a nie go przyspieszyć.

Po czwarte, wykorzystanie rozwiązań cyfrowych to chyba tak na doczepkę, bo nie było gdzie tego wpisać, a Unia wymaga.

Po piąte, wiara w biurokrację nadal jest niezachwiana, mimo setek lat, które udowodniły niezbicie, że ani interwencjonizm państwowy, ani inwestycje publiczne nie działają. Urzędnicy ministerialni, nowo tworzone grupy robocze, władze samorządowe będą oceniać proponowane projekty i decydować, który z nich będzie realizowany, a który zostanie odrzucony. Ci ludzie nie tylko nie będą odpowiadać za podejmowane decyzje, lecz także będą wydawać nie-

Każde mieszanie się rządu w porządek rynkowy nie tylko jest arogancką zuchwałością, lecz także narusza mechanizmy rynkowe

swoje pieniądze na nieswoje cele, czyli w najgorszy możliwy sposób – rozrzutnie i niecelowo. Wspomnieć należy też przy tym o wielkim potencjale wzrostu korupcji na styku pieniędzy publicznych i prywatnych.

Język oficjalnych rządowych dokumentów na ten temat nie jest zbyt wysokiego lotu: „Oczekiwanym rezultatem realizacji celu strategicznego KPO jest zwiększenie produktywności gospodarki, która będzie zdolna do tworzenia wysokiej jakości miejsc pracy, dostępnych dla większej liczby osób". Mamy tu raczej do czynienia z wyświechtanymi frazesami. Podobne wrażenie „pobożnych życzeń" można odnieść, czytając odpowiedź biura prasowego Komisji Europejskiej o tym, że Next Generation EU „pomoże naprawić bezpośrednie szkody gospodarcze i społeczne spowodowane pandemią koronawirusa. Europa po COVID-19 stanie się bardziej ekologiczna, cyfrowa, odporniejsza i lepiej dostosowana do obecnych i przyszłych wyzwań". Dalej czytamy, że „aby pomóc w naprawieniu szkód gospodarczych i społecznych spowodowanych pandemią koronawirusa, Komisja Europejska, Parlament Europejski i przywódcy UE uzgodnili plan naprawy, który pomoże wyjść z kryzysu i położy podwaliny pod nowoczesną i bardziej zrównoważoną Europę. Proponuje się Next Generation EU jako jednorazowy instrument kryzysowy, wprowadzany tymczasowo i używany wyłącznie do reagowania kryzysowego oraz środków naprawczych". Banały, z których kompletnie nic nie wynika.

LEPIEJ ZRZUCIĆ PIENIĄDZE Z MOSTU

Ratuje nas tylko to, że Krajowy Plan Odbudowy dotyczy bardzo małego wycinka gospodarki. Mianowicie w przeliczeniu na sześć lat funkcjonowania planu (lata 2021–2026) łączna maksymalna wartość grantów i pożyczek od Unii Europejskiej (ok. 60 mld euro) nie sięgnie nawet 2 proc. PKB Polski w tym okresie. Tak małe – w relacji do PKB – fundusze nie mogą mieć istotnego znaczenia gospodarczego. Trzeba jednak mieć świadomość, że sam interwencjonizm państwa będzie dotyczył nie tylko branż i firm uczestniczących w tym socjalistycznym eksperymencie, lecz także rozleje się na pozostałe sektory gospodarki, która jest przecież systemem naczyń połączonych. Ten wpływ będzie miał dokładnie odwrotny rezultat do tego, co deklarują urzędnicy. Każde mieszanie się rządu w porządek rynkowy, który jest powiązany niezliczoną siecią skomplikowanych współuzależnień, jest nie tylko arogancką zuchwałością, że urzędnik może wiedzieć lepiej, lecz także narusza optymalne działanie mechanizmów rynkowych. Następuje gorsza alokacja zasobów, co sprawia, że rozwój gospodarczy jest wolniejszy, a dobrobyt znacznie mniejszy, niż byłby, gdyby w tym przypadku Unia Europejska nie wtrącała się do procesów gospodarczych.

Tymczasem firmy nie potrzebują żadnych planów odbudowy, a czegoś dokładnie przeciwnego. Tych samych reform, które zrealizowano w Nowej Zelandii w latach 80.: deregulacji i liberalizacji prowadzenia działalności gospodarczej (ograniczenia wpływu biurokracji, co szczególnie serwuje nam Unia), zmniejszenia obciążeń fiskalnych i z tytułu ubezpieczeń społecznych oraz pewności i prostoty prawa, w tym szczególnie podatkowego. Tylko ten kierunek – a nie europlany i eurointerwencjonizm – może zapewnić trwały rozwój, który przełoży się na wzrost dobrobytu całego społeczeństwa.

Roger Douglas, nowozelandzki minister finansów i reformator tamtejszej gospodarki, po katastrofie Think Big powiedział, że efekt byłby lepszy, gdyby te 10 mld dolarów nowozelandzkich, wydanych na ten program, zrzucić z mostu, bo kilku Nowozelandczyków pływających tam wyłowiłoby je i nigdy nie zainwestowałoby tych pieniędzy w takie projekty. I nie ma znaczenia, że wtedy były to inwestycje w przemysł ciężki, a Unia Europejska żąda wydania miliardów na zieloną energię, elektromobilność i cyfryzację. Skutek będzie identyczny, bo w obu przypadkach decydują urzędnicy, a marnowane mają być pieniądze podatników. Ktoś będzie potem musiał po tym posprzątać. Kiedy Brukseli trafi się drugi Douglas?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Plan planów

Każdy kolejny plan szefa polskiego rządu dla Polski cieszy, a szykowany najnowszy, ze względu na jego szczególny rozmach i kompleksowość (ma podobno aż 16 filarów!), a także na to, że nie jest po prostu nowym planem dla Polski, lecz Nowym Polskim Ładem, i to w dodatku poprzedzonym przez wielki Krajowy Plan Odbudowy, cieszy w dwójnasób.

Wszelako, mówiąc szczerze, czy poprzedni plan, z 2017 r. – nazwany Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju do roku 2020 (z perspektywą do 2030 r.), który filarów miał co prawda mniej, ale za to jakich! – radował mniej? Albo wcześniejszy – Plan Morawieckiego, ten z 2016 r.? No przecież nie. A jego ambitne zamierzenia – wyrwania Polski z pięciu pułapek: średniego dochodu, braku równowagi, przeciętnego produktu, katastrofy demograficznej i słabości instytucjonalnej – wciąż czekają na polityka, który potrafiłby je zrealizować. Podobnie jak plan odbudowy inwestycji – odbudowy z 20 proc. PKB w 2015 r. do 25 proc. PKB chyba w 2020 r., które na razie stopniały do 18 proc. PKB.

Czy jednak, w gruncie rzeczy, nie tak samo cieszył ogłoszony w 2016 r. plan elektryfikacji komunikacji prywatnej, dzięki któremu już w 2025 r., za niecałe pięć lat, po polskich drogach ma jeździć milion aut na prąd? (Brakuje już tylko 989 706 sztuk).

Czy nie tak samo radował zainicjowany również w 2016 r. plan Mieszkanie Plus, w ramach którego powstać ma nieprzeliczona liczba tanich mieszkań na wynajem z opcją zakupu – a co najmniej 2,5 mln takich mieszkań, z których już dziś, a więc po zaledwie pięciu latach starań i zabiegów, gotowych jest aż 1 tys.?

Czy nie równie mocno kontentował zamysł uczynienia z Polski – dzięki planowi Batory – liczącego się producenta promów pasażerskich? Planowi ogłoszonemu w 2017 r. przez polskiego wicepremiera podczas wbijania stępki pod pierwszy z nich. I choć co prawda promów tych nadal nie budujemy (a stocznia, w której wbijano stępkę, chwilowo została zamknięta), to plan Batory – jak zapewnia odpowiedni minister – rozwija się nadspodziewanie dobrze.

Ale przecież w ostatnich latach były i inne, „pomniejsze" plany, czasami wchodzące w skład „dużego", czasami ogłaszane osobno, czasami dotyczące całej Polski, czasami niektórych województw. I wszystkie one także cieszyły. Ot, choćby plan budowy polskich dronów, opatrzony zgrabnym kryptonimem Żwirko i Wigura. Ktoś go jeszcze pamięta? Albo plan Luxtorpeda 2.0, zakładający stworzenie z dwóch województw zagłębia firm produkujących pojazdy dla komunikacji miejskiej. Dalej – plan zakupu dla polskiej armii kilkudziesięciu (70?) helikopterów oraz kilku łodzi podwodnych. Nie wspominając o dawno zapomnianym – a szkoda – planie (z 2016 r.) postawienia strzelnicy w każdym powiecie; strzelnice są już dwie, a powiatów tylko kilka setek. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Patolegislacja

Gdy 6 marca pracowicie rachowałem, korzystając z wydruku ze strony Dziennika Ustaw, było 55. Gdy piszę ten felieton (11 marca), jest już 56, bo doszło kolejne. Zresztą tradycyjnie ogłoszone na kilka godzin przed momentem wejścia w życie. Tyle rozporządzeń o wprowadzeniu określonych ograniczeń, zakazów i nakazów w związku z epidemią SARS-CoV-2 wyprodukował nasz rząd od 20 marca ubiegłego roku, gdy – rozporządzeniem – minister zdrowia ogłosił stan epidemii. Jak nietrudno policzyć, wychodzi średnio po jednym rozporządzeniu na tydzień, lecz oczywiście tak to się nie rozkładało. Bywały okresy nieco spokojniejsze; bywały i takie, kiedy rozporządzenia pojawiały się gromadnie, tak jak kiedyś autobusy poza rozkładem, jedno po drugim, nawet dzień po dniu.

Nadprodukcja rozporządzeń wynikała z chwiejności taktyki epidemicznej, ale też z niechlujności

Mowa tu jedynie o rozporządzeniach, dotyczących ogólnych zasad postępowania, wydawanych najpierw przez krótki czas przez ministra zdrowia, a potem już przez Radę Ministrów. Gdyby doliczyć rozporządzenia innych ministrów, dotyczące ich dziedzin – ministra zdrowia właśnie, ministra edukacji, spraw wewnętrznych i administracji itd. – setka spokojnie zostałaby przekroczona.

Żadnym usprawiedliwieniem nie jest tu dynamika sytuacji. Nadprodukcja rozporządzeń wynikała bardzo często z chwiejności samej taktyki epidemicznej, ale też ze zwykłej niechlujności, gdy chwilę po wydaniu jednego rozporządzenia trzeba je było poprawiać innym, żeby uniknąć oczywistych bzdur.

Jedna z bardziej znanych rzymskich paremii głosi: ignorantia iuris nocet – nieznajomość prawa szkodzi. Chodzi o to, że obwiniony nie powinien móc się tłumaczyć, iż o istnieniu danego przepisu nie wiedział. I ta zasada ma jednak swoje granice. Żaden obywatel nie jest zobowiązany do siedzenia z nosem przy komputerze i sprawdzania codziennie w Dzienniku Ustaw, czy władzy przypadkiem nie przyszło do głowy wyprodukować nowego rozporządzenia. Teoretycznie powinny sytuację na bieżąco śledzić służby, ale nawet tu jest problem – policjanci też gubią się w obowiązujących zasadach.

Na taką sytuację ukuto znakomite określenie: patolegislacja. Jest też inne: biegunka legislacyjna. Przy czym słowo „biegunka" czasem zastępuje się dosadniejszym. Ten prawny bałagan trzeba będzie kiedyś posprzątać. To także będzie element powrotu do normalności. Tej normalnej normalności, nie jakiejś „nowej normalności". ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

Wojna o forum

Łukasz Zboralski

Krynica-Zdrój po blisko 30 latach straciła Forum Ekonomiczne, które przeniosło się na stałe do Karpacza. Czy naprawdę sprawa rozbiła się o remontowany w mieście deptak?

Forum Ekonomiczne to najstarsze i największe wydarzenie kongresowo-konferencyjne w kraju. Od lat raz w roku do Krynicy-Zdroju zjeżdżali przedstawiciele świata biznesu i polityki. Premierzy, ministrowie, prezesi wielkich koncernów, szefowie banków. Ostatnie imprezy gromadziły ponad 4,5 tys. gości, z tego 1,5 tys. stanowili obcokrajowcy.

– Zaczęło się w roku 1992 r. właśnie w Krynicy-Zdroju, bo tam były hotele i warunki umożliwiające zorganizowanie konferencji, na którą przyjechało ok. 130 uczestników – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy" Zygmunt Berdychowski, twórca kongresu, himalaista, były poseł, szef Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Instytucie Studiów Wschodnich. – Wówczas w znanym mi świecie nie było lepszych warunków, żeby przyjąć gości takiego wydarzenia.

W ubiegłym roku po raz pierwszy od 28 lat goście nie przyjechali do Krynicy-Zdroju. Wszystko zablokowała pandemia, cały powiat stał się „strefą czerwoną". Impreza przeniosła się do Karpacza. I już tam zostanie.

Jak do tego doszło, że samorządowcy z Małopolski stracili coś, co ochoczo przechwycili samorządowcy z Dolnego Śląska?

DEPTAK NIEZGODY

Chociaż to może wydawać się niewiarygodne, to sprawa rozbiła się o… miejski deptak. To wokół niego w Krynicy-Zdroju co roku wyrastało miasteczko konferencyjne. Berdychowski przyznaje, że tę lokalizację przed dekadami wybrano przypadkowo, ale potem okazała się właściwie jedyną z umożliwiających rozwój tej imprezy. Tylko tam w mieście można bowiem było postawić niezbędną na czas imprezy infrastrukturę, która pozwalała skupić wszystko w jednym miejscu.

Samych sal konferencyjnych w 2019 r. potrzeba było aż 39. Z tego tylko sześć znajdowało się w stałych obiektach; 33 trzeba było wybudować w tymczasowych pawilonach.

To, co powstawało wokół deptaka, pozwalało na nim samym stworzyć wyjątkową atmosferę. To tu, przechadzając się, przedsiębiorcy mogli spotkać rekiny polskiego biznesu, polityków z pierwszych stron gazet. Wielu gości zjeżdżało do Krynicy zwabionych właśnie możliwością odbycia wielu takich spotkań w jednym miejscu.

Tymczasem w ubiegłym roku kończyła się też 10-letnia umowa wiążąca organizatorów Forum Ekonomicznego z samorządem miejskim, wojewódzkim i Uzdrowiskiem Krynica Żegiestów SA, a samorządowcy postanowili deptak wyremontować. I obstawali przy tym, by deptak z imprezy wyłączyć.

– My chcieliśmy tylko powrotu do warunków z 2019 r., ale okazało się to niemożliwe – mówi Berdychowski. – Proponowano nam inne lokalizacje na imprezę. Na przykład Górę Parkową. Ale jak zorganizować taką imprezę w lesie na zboczu osuwiska, z drogą dojazdową o szerokości 3 metrów i bez dróg ewakuacyjnych? Proponowano nam też obiekt zabytkowy oraz halę lodową. Na tej hali miała być recepcja imprezy. No, może hokeistom takie toalety jak tam nie przeszkadzają, ale gościom, którzy właśnie przylecieli kilkaset kilometrów samolotem… Nie mogliśmy się na to zgodzić.

Samorząd Krynicy-Zdroju proponował jeszcze inne rzeczy, które instytut odrzucił. Organizatorzy forum wyliczają, że miasto np. wskazało w ofercie cztery sale konferencyjne po 150 mkw. w zabytkowych Starych Łazienkach Mineralnych. A w rzeczywistości są tam jedynie cztery pokoje po 15 mkw. każdy, a budowla objęta jest ochroną architektoniczną i nic tam znaleźć się więcej nie może.

– Nie wyobrażam sobie, jak skutecznie mielibyśmy zadbać o bezpieczeństwo gości i innych uczestników FE w nowo proponowanych warunkach, jeżeli nie da się zrobić alternatywnej drogi dojazdu służb zabezpieczenia, jeżeli droga ewakuacji pieszej jest praktycznie jedna i niezbyt bezpieczna... – komentował na portalu Sadeczanin.info propozycje miasta były generał policji Marek Hebda, koordynator forum do spraw bezpieczeństwa.

– W Davos na czas forum ekonomicznego odcinane jest całe miasto, a my odcinaliśmy tylko środek deptaka – dodaje Berdychowski. – Tego typu imprezy wymagają wyłączenia pewnych obszarów. W tej sprawie nie da się po prostu postępować inaczej.

Organizatorzy przejrzeli więc inne oferty i wybrali inne miejsce. Świetne warunki oferował Poznań, ale uznano, że warto, by spotkanie miało nadal urok małej, górskiej miejscowości. Komisja

eprasa.pl 348985e4fc

W ubiegłym roku ze względu na pandemię Forum Ekonomiczne odbyło się w Karpaczu. I zostanie tam na sześć lat FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

przetargowa zajmująca się Forum Ekonomicznym postawiła więc na Karpacz. Ten też mocno walczył o imprezę. Wysiłki o jej organizowanie połączyły samorządowców PiS, Platformy, niezależnych – ramię w ramię o przyciągnięcie do siebie forum walczyły władze samorządowe województwa dolnośląskiego, władze Wrocławia i małego Karpacza. Udało się. Pod koniec stycznia podpisana została umowa na organizację Forum Ekonomicznego na następne sześć lat.

– Jeśli widzisz po drugiej stronie ludzi, którzy się cieszą, że będziesz z nimi pracował, to jakże to inna atmosfera od tej, w której musisz się ciągle wykłócać i o coś prosić, udowadniać, że nic złego nie robisz – komentuje Berdychowski. I dodaje: – Na Dolnym Śląsku atmosfera była ujmująca.

Nie tylko atmosfera w Karpaczu ujęła organizatorów. Gdy w Krynicy jeden nocleg tylko ze śniadaniem kosztował aż 1200 zł za osobę, w Karpaczu – jak nieoficjalnie się dowiedzieliśmy – goście Forum Ekonomicznego za 1170 zł będą mogli mieć trzy doby hotelowe, i to z obiadami w formie szwedzkiego stołu.

Dlaczego samorządowcy z Dolnego Śląska tak się starali przejąć tę imprezę? – Ponieważ to jest prestiżowe forum, jedno z najważniejszych w Europie Środkowo-Wschodniej, a my jesteśmy jednym z najdynamiczniej rozwijających się regionów w UE i chcemy pokazać, co dobrego dzieje się na Dolnym Śląsku – odpowiada nam Cezary Przybylski, marszałek województwa dolnośląskiego. Zauważa, że ten pomysł wspierali wszyscy lokalni politycy, bez względu na barwy partyjne. – To dobry przykład tego, że się kłócimy, są spory, ale potrafimy też patrzeć na interes Dolnego Śląska – mówi Przybylski. I dodaje: – Braliśmy też pod uwagę, że to promocja Karpacza i całego regionu. Kto tam przyjedzie na forum, ten będzie potem wracał na wypoczynek z rodziną, ze znajomymi. Nic tak nie przekona do czegoś jak osobiste doświadczenie.

NAGŁY ZWROT AKCJI

Gdy klamka zapadła i wiadomo było, że impreza na stałe przenosi się do Karpacza, małopolscy samorządowcy ogłosili jednak własną imprezę w Krynicy. – Zaczęły się naciski na burmistrza Krynicy-Zdroju i marszałka województwa małopolskiego. Ludzie mieli im za złe, że ta impreza wymknęła im się z rąk – mówi nam informator znający kulisy sprawy.

Na początku marca Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego, Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie, gmina Krynica i Uzdrowisko Krynica-Żegiestów ogłosiły podpisanie listu intencyjnego w sprawie organizacji Forum Gospodarczego (nazwa Forum Ekonomiczne jest zastrzeżona). Z zapowiedzi samorządowców wynika, że pod nową nazwą chcą kontynuować imprezę, którą właśnie straciły. Do tego stopnia się do niej odwołują, że zapowiedzieli nawet towarzyszący tak jak do tej pory Forum Ekonomicznemu festiwal biegowy. Nawet termin ma być taki sam – początek września.

Jak ustaliło „Do Rzeczy", deptak, którego miasto nie chciało udostępniać, nowej imprezie udostępniony jednak zostanie. Jak to możliwe, skoro wcześniej władze uznawały, że remont za 15 mln zł uniemożliwia przeznaczenie tego miejsca na konferencję? Burmistrz Krynicy-Zdroju przyznał nam, że podczas rozmów z Instytutem Spraw Wschodnich nie chciał imprezy na deptaku. Twierdzi, że potem jednak zdanie zmieniono. – Zmieniliśmy ofertę i instytut dostał nawet więcej powierzchni tam, niż oczekiwał – mówi „Do Rzeczy" burmistrz Piotr Ryba. – Po ostatnim długim spotkaniu wyszliśmy z przekonaniem, że jesteśmy dogadani, i byliśmy zaskoczeni, że wybrano Karpacz – dodaje samorządowiec z PiS.

Zakulisowo zaczęła się ogromna walka o to, kto ściągnie VIP-ów. Według naszych nieoficjalnych informacji samorządowcy z Małopolski mogą starać się pozyskać jako operatora Forum Gospodarczego Mikołaja Budzanowskiego. Ten były wiceminister skarbu jest współtwórcą kongresu technologicznego ImpactCEE w Krakowie. Dlaczego akurat on? Żona Budzanowskiego w rządzie Zjednoczonej Prawicy była wiceministrem nauki, ma dobry kontakt z Jarosławem Gowinem. Nie jest wykluczone, że taką drogą Krynica zdobyłaby wicepremiera jako gościa swojej imprezy. Chociaż akurat w wyborach burmistrza Gowin poparł przeciwnika Piotra Ryby. – Nie uczestniczę w tych negocjacjach z operatorami, więc nie mogę potwierdzić informacji o rozmowach z tą osobą – mówi nam burmistrz Ryba. – Mogę tylko powiedzieć, że jesteśmy pewni sukcesu. Ludzie przyjeżdżali tu na forum ze względu na sentyment do miejsca. Nasza impreza, w nowym formacie, będzie imprezą lepszą – zapowiada.

Berdychowski jest jednak spokojny o przyszłość Forum Ekonomicznego w Karpaczu. – Forum Ekonomiczne było przez lata świadkiem narodzin kolejnych wielkich konferencji, które przy narodzinach wieszczyły koniec epoki naszej imprezy. A my przetrwaliśmy, bo zatrudniamy ludzi, którzy potrafią to dobrze robić – przekonuje. – Konkurencja zawsze będzie. I konkurencja zawsze wychodzi na zdrowie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

Z Janem-Krzysztofem Dudą, arcymistrzem szachowym
rozmawia Łukasz Majchrzyk

Szachy to niekoniecznie gra dla nerdów

ŁUKASZ MAJCHRZYK: W czasie pandemii sport na pewien czas zamarł, a królewska gra spokojnie przeniosła się do Internetu. Popularność rośnie?

JAN-KRZYSZTOF DUDA: Liczba turniejów szachowych granych na żywo drastycznie się zmniejszyła, ale mamy tę przewagę nad innymi dyscyplinami, że mogliśmy się przenieść do sieci. W tej formule odbywa się wiele turniejów w szachach szybkich i błyskawicznych, a przez pandemię to się nawet spotęgowało. Nie ma jednak turniejów w szachach tradycyjnych, bo partie są za długie, żeby je pokazywać on-line. Rodzi się też problem oszustw, bo ciężko sobie wyobrazić, że ktoś siedzi non stop przez kilka godzin przed monitorem i nie może wykonać innych czynności, w tym sięgnąć po elektroniczny doping. Na pewno bardzo pomógł nam, szachistom, serial „Gambit królowej", gdzie szachy zostały pokazane w ciekawy sposób. To mogło uświadomić widzom, że szachy to niekoniecznie gra dla nerdów. Wiele spraw dzieli ludzi, a szachy mają tę zaletę, że mogą łączyć i są grą dla każdego.

Pana popularność pewnie też pomaga szachom w Polsce?

Uważam to za swoją powinność, bo szachy są bardzo przydatne w życiu, pomagają rozwijać przydatne na co dzień umiejętności, takie jak choćby strategiczne myślenie, i chciałbym, żeby okazały się pomocne dla jak największej liczby osób. Nie zależy mi na osobistym rozgłosie, ale obecność w mediach rozpoznawalnego szachisty pomaga całej dyscyplinie. Dało się to odczuć zwłaszcza po moim zwycięstwie nad Carlsenem, który nie przegrał w partii klasycznej przez ok. 800 dni. Niemal automatycznie wzrosło zainteresowanie szachami w Polsce, z czego się bardzo cieszę. To jest gra, którą warto poznać, ćwiczyć, zwłaszcza teraz, kiedy ludzie mniej wychodzą z domów i szukają odskoczni od ograniczeń pandemicznych.

Pan jest nerdem?

Nie uważam się za nerda, nie mam nawet zacięcia do przedmiotów ścisłych. Kiedy ludzie słyszą, że jestem szachistą, to od razu myślą, że jestem wybitnym umysłem fizycznym czy matematycznym. Oczywiście wielu graczy ma takie predyspozycje, ale ja akurat do nich nie należę. Matematyka, również w roli narzędzia wspierającego w szachach, nie jest moją najmocniejszą stroną. Są zresztą różne, sprawdzające się w praktyce, podejścia do mojej dyscypliny, poza matematyczno-analitycznym. Dla mnie szachy to przede wszystkim gra i osobiście często kieruję się intuicją. Szachiści tacy jak ja widzą szachy jako grę przeciwko żywemu przeciwnikowi, gdzie ważna jest psychologia, czyli poznawanie i analizowanie zachowań rywala. Jest jeszcze trzecia droga, droga szachisty artysty. Ludziom obserwującym szachowe rozgrywki często podoba się to, co widzą na szachownicy, i uważają samą grę za formę sztuki.

Zawsze po drugiej stronie jest żywy człowiek. Szachiści próbują się delikatnie wyprowadzić z równowagi przed pierwszym posunięciem?

Raczej nie spotyka się w szachach tego rodzaju zagrywek. Szachy są sportem indywidualnym, ale nie jest tak, jak opowiadał Arnold Schwarzenegger, mó-

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. ŁUKASZ CAGULSKI/PAP

wiąc o kulturystyce, gdzie trzeba innych obrzucić błotem, żeby samemu wyraźniej błyszczeć. W szachach w ostatecznym rozrachunku i tak wszystko zweryfikuje szachownica. Są w użyciu wprawdzie różne drobne sztuczki. Jedną z nich jest ciągłe odchodzenie od szachownicy, dzięki czemu przeciwnik przestaje widzieć nasze emocje i nie jest w stanie nas „odczytać". Nie wie wówczas, czy nam się podoba pozycja. Ja mam w zwyczaju chodzić po sali w trakcie partii szachowej, ale nie robię tego, żeby komuś zaszkodzić, tylko dlatego, że to lubię, że mi to pomaga. Wracając do sztuczek, są zawodnicy, którzy wykonują dobre, przemyślane ruchy, a się krzywią, udając, że coś przeoczyli, że są z siebie niezadowoleni. Szachy to jednak nie jest poker i w przeciwieństwie do kart elementy czytania rywala nie odgrywają aż tak dużej roli. Tu karty są odkryte, czyli wszystko stoi na szachownicy, każdy może to zobaczyć. Jeśli już staram się przechytrzyć przeciwnika, to robię to inaczej. Czasami nie gram teoretycznie najlepszych ruchów, ale – znając rywala – wybieram to, co nie spodoba się przeciwnikowi.

Skąd pan wie, co się nie spodoba np. Magnusowi Carlsenowi?

Najczęściej próbuje się zaskoczyć w debiutach, czyli początkowej fazie partii. Tu wielką rolę odegrały w ostatnich latach komputery służące do analiz optymalnych posunięć. Dzięki nim wiemy, który ruch jest dobry, a który nie. Im jednak dalej w las, z im lepszymi zawodnikami gramy, tym większa jest szansa, że napotkamy pozycję, której nie widzieliśmy, i wtedy na znaczeniu zyskuje intuicja. Wydaje nam się, mamy przeczucie, że nasz ruch będzie nieprzyjemny dla przeciwnika, ale nigdy nie mamy pewności. To jest błądzenie po omacku.

Michaił Tal mówił, że w partii czasem wchodzi się do gęstego lasu, w którym dwa plus dwa równa się pięć i tylko jeden gracz stamtąd wychodzi.

On grał bardzo niekonwencjonalnie w szachy. Nie było chyba drugiej takiej osoby w historii. Stwarzał na szachownicy kompletny, na pierwszy rzut oka, chaos. Powiedziałbym, że robił zadymę i nikt nie wiedział, co i po co robi. Ta strategia działała, bo lepiej od przeciwników orientował się w tym pozornie chaotycznym układzie pozycji. Znajdowali oni receptę na wygraną dopiero po przegranej partii, analizując jej przebieg. Tal to był jednak gracz uniwersalny, potrafił też grać spokojnie i zwyciężyć w ten sposób z Michaiłem Botwinnikiem, który był z kolei uważany za czołowego przedstawiciela szkoły sowieckiej – szachów doskonale zaplanowanych i uporządkowanych.

Chciałby pan grać jak Tal czy jeśli okazałoby się, że droga Botwinnika jest skuteczna, to by się pan do niej dostosował?

Uważam, że gram lepiej niż Botwinnik, ale nie dlatego, że jestem od niego mądrzejszy, tylko ze względu na to, że rywalizuję w innych czasach. Dostęp do komputerów drastycznie zmienił nasz sport. Podobnie jest w skokach narciarskich, gdzie teraz zawodnicy latają o wiele dalej niż ich poprzednicy, bo znają styl „V" i mają lepszy sprzęt. Obecnie szachiści z czołowej „100" rankingu FIDE bez problemu pokonaliby rywali sprzed 30 lat. Gdyby jednak wielkie umysły szachów z przeszłości miały dostęp do obecnej technologii, to wynik mógłby być inny.

Czytałem, że zdarzało się, iż zamyślił się pan nad ruchem na 20 minut. Często udaje się tak zaskoczyć przeciwnika?

Najczęściej taki długi „zawias" się zdarza, gdy pozycja jest skomplikowana i trzeba wszystko dobrze policzyć, żeby od razu nie przegrać partii. Warto jednak wiedzieć, że czas gry przez ostatnie dziesięciolecia się znacząco skrócił i dzisiejsze 20 minut namysłu nad ruchem to naprawdę niewiele. W latach 60. partie były odkładane na kolejny dzień. Jeden z graczy zapisywał tajny ruch, wkładał jego zapis do koperty, którą chowano do sejfu. W nocy trwały burze mózgów w szerszym gronie, a następnego dnia była dogrywka zaczynająca się od tego tajnego ruchu. Dzisiaj partie szachowe trwają do siedmiu godzin. Przyjmuje się, że jeśli ktoś się zastanawia nad ruchem dłużej niż 20 minut, to z dużym prawdopodobieństwem wykona słabe posunięcie, bo logiczne rozumowanie ustępuje z czasem wątpliwościom. Oczywiście może być też tak, że pozycję da się w takim czasie przeliczyć do końca, przewidując wszystkie kolejne ruchy, i wykonać dzięki temu takie posunięcie, które praktycznie da zwycięstwo w partii. To się zdarza jednak rzadko. Zużycie zbyt dużej ilości czasu na jedno posunięcie może też spowodować pośpiech w kolejnych ruchach i swoistą ruletkę, dlatego wielu zawodników stara się równomiernie rozłożyć czas na wszystkie ruchy. Gracze reprezentujący starsze pokolenie często namyślają się dłużej na początku rozgrywki, bo uważają, że jest to decydujący moment. Zastanawiają się nawet 40 minut, żeby zrozumieć, w którą stronę idzie partia. Ja staram się nie zużywać więcej niż 15 minut na ruch. Są różne podejścia i nie da się jednoznacznie określić, że któreś jest lepsze.

Dobrze się pan jednak czuje w szachach szybkich i błyskawicznych, gdzie trzeba reagować natychmiast.

Szachy błyskawiczne lubię najbardziej. Tam partia może trwać maksymalnie 10 minut, nie ma czasu na liczenie. W tej odmianie szachów osiągnąłem największy sukces, zostając w 2018 r. wicemistrzem świata. Jestem zawodnikiem opierającym się na intuicji, co mi pomaga w tej formie rozgrywki. Takie szachy są bardzo atrakcyjne dla kibiców. Partie są krótkie, a często nawet najlepszym zawodnikom zdarzają się błędy, których by nie popełnili w partiach klasycznych,

eprasa.pl 348985e4fc

bo intuicja bywa zwodnicza. Dobrze się to ogląda, nikt by przy takiej partii nie zasnął. Długie transmisje z szachów klasycznych w mediach zdarzają się chyba tylko w Norwegii, od kiedy sukcesy zaczął odnosić Magnus Carlsen. Mam nadzieję, że kiedyś w Polsce też zapanuje powszechna moda na szachy.

Skoro mowa o mistrzu świata, to ograł go pan ostatnio dwa razy. Co on sobie teraz myśli o Janie-Krzysztofie Dudzie?

Nie wiem, co o mnie myśli, ale na pewno był sfrustrowany po tych przegranych. Po porażce w maju napisał w mediach społecznościowych, że całe dobre wrażenie z turnieju się rozwiało. Myślę, że dość dobrze zna moje partie, choć z drugiej strony ja zapewne mocniej wgłębiam się w jego rozgrywki. Już kilka lat temu powiedział o mnie, że gram bardzo atrakcyjne szachy, nigdy na remis, zawsze dążąc do zwycięstwa. Dodał też wtedy, że brakowało mi trochę wyszkolenia (śmiech).

A dla pana Carlsen stał się już rywalem jak każdy inny?

To najsilniejszy gracz na świecie, który ma dużą przewagę w rankingu nawet nad drugim zawodnikiem. Przypisywany mu przydomek – Mozart Szachów – mówi o nim wiele. Zaczął grać w wieku pięciu lat, mając lat 13, zyskał tytuł arcymistrza, a w wieku 23 lat został mistrzem świata. Jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych sportowców w swoim kraju. Gdy stał się bardzo popularny, a wraz z nim na popularności zyskały szachy, było nawet tak, że nie sposób było kupić w Norwegii szachownicy. Wygrywał wówczas w sportowych plebiscytach nawet z Marit Bjørgen. Do Magnusa i innych najlepszych zawodników jeszcze mi nieco brakuje.

Wróćmy do szachów internetowych, które dają większe pole do oszustw. Jak się dba o uczciwość w trakcie partii?

Stosuje się różne środki zapobiegawcze. Musimy mieć w pomieszczeniu, w którym gramy, dwie kamerki, jedną z przodu i drugą za plecami, pokazującą ekran i drzwi wejściowe do pokoju. Przy grze w Internecie oszustw zdarza się znacznie więcej. Jeżeli chodzi o motywację kierującą oszustami, to domyślam się, że chodzi o pieniądze, bo ludzie potrafią robić różne rzeczy, żeby zarobić za wszelką cenę. To jest przykre, ale prawdziwe.

Czasami najlepszym szachistom się zdarza, że mają zgodność wykonywanych posunięć z komputerem na poziomie 98 proc.

Jak się oszukuje?

Głównie przy użyciu dopingu elektronicznego, czyli korzystania z silnika szachowego w telefonie lub słuchawce ukrytej w uchu. To nie jest porównywalne do wzięcia EPO w przypadku lekkoatletyki, gdzie możliwości zawodnika zwiększają się o ok. 10–20 proc. Dzięki dopingowi elektronicznemu ktoś może nawet zacząć grać lepiej niż Magnus Carlsen. Dziś ludzie nie mają żadnych szans z silnikami szachowymi. Już w 1997 r. Garri Kasparow przegrał z Deep Blue, czyli pierwszym komputerem szachowym, który był w stanie rywalizować z arcymistrzami, wyprodukowanym przez IBM. Tamta technologia była prymitywna w porównaniu z obecnie stosowaną. Przyznam, że nie rozumiem osób, które oszukują w szachach. Cóż za radość miałbym z tego, że wsiadłbym do samochodu i prześcignąłbym na bieżni Usaina Bolta? Niestety, oszustwa zdarzają się nawet wśród silnych zawodników, z tytułem arcymistrza, choć w większości przypadków oszukują amatorzy. Wpada bardzo wielu nieuczciwych szachistów, bo korzystają z dopingu w bardzo mało finezyjny sposób. Jeśli ktoś nieustannie wykonuje ruchy podpowiadane przez komputer, to widać, że oszukuje. Dobry szachista szybko się zorientuje, że po drugiej stronie jest ktoś, kto łamie zasady. Czasami najlepszym szachistom się zdarza, że mają zgodność wykonywanych posunięć z komputerem na poziomie 98 proc., ale dotyczy to pojedynczych partii. Szachiści mówią jednak o tzw. komputerowych ruchach. Maszyny wykonują je na podstawie bardzo skomplikowanych obliczeń, których człowiek nie jest w stanie samodzielnie przeprowadzić. Dla rywala i obserwujących posunięcie to wygląda na pozbawione sensu, ale na długim dystansie okazuje się kluczowe. Środowisko szachistów jest w stanie wyczuć oszustwo i oszusta, ale problemem może być brak twardych dowodów. Z czasem może być jednak jeszcze trudniej. Kto wie, co przyniesie przyszłość? Może pojawią się chipy dopingowe wszczepiane zawodnikom? Nie chcę jednak podsuwać pomysłów oszustom.

Carlsen sam organizował turnieje i podobno wysyłał uczestnikom sprzęt do nagrywania?

To prawda. Byliśmy cały czas pokazywani na dwóch kamerach. Udostępnialiśmy też widok na menedżera zadań komputera. Szachiści z czołówki światowej nie mają jednak pokus do oszukiwania. Chcą być najlepsi w naturalny sposób, mają zbyt dużo do stracenia. Nikt ze światowej czołówki by o tym nawet nie pomyślał. Nie po to się gra w szachy.

Na koniec pomówmy o pana planach. Jak budować ranking w czasie epidemii, który pozwoliłby panu w przyszłości wziąć udział w turnieju kandydatów?

Pozycję w rankingu buduje się, grając przy stole, dlatego teraz, w trakcie pandemii, rankingi są zamrożone. Ich zasady są skomplikowane, ale można je sprowadzić do tego, że jeśli wygrywam z kimś o moim rankingu, to za zwycięstwo dostaję pięć punktów, za porażkę tracę tyle samo, a przy remisie sytuacja się nie zmienia. Przy partiach z lepszymi więcej dostaję za wygraną i mniej tracę w przypadku porażki, a nawet dostaję punkty za remis. Im wyżej się jest, tym trudniej się poprawiać, bo zostaje mniej zawodników z równie wysokim rankingiem. Trzeba grać z najlepszymi na świecie, żeby się utrzymać. Turniej w holenderskim Wijk aan Zee był jednym z nielicznych organizowanych ostatnio, który się odbywa na żywo. To jest taki szachowy Wimbledon, trwa trzy tygodnie, a dodatkowym utrudnieniem jest pogoda, szybko zapadający zmrok.

Z powodu pandemii ciągle nie znamy następnego przeciwnika Carlsena w walce o tytuł.

Turniej kandydatów wystartował w marcu i został przerwany w połowie z powodu zamykania granic. Miał być dogrywany w październiku, listopadzie, ale pandemia pokrzyżowała plany. Podobno ma być wznowiony w kwietniu. Każdy jest ciekaw, co z tego wyjdzie, bo zawodnik, który był w dobrej formie przed rokiem, nie musi dobrze grać teraz, a liczy się wyłącznie zwycięstwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

TEST „DO RZECZY": MOTOROLA MOTO G30

Rewelacyjna bateria, ekran o częstotliwości odświeżania 90 Hz, przyzwoita wydajność, niezły aparat główny i świetny stosunek ceny do jakości – to największe zalety najnowszego modelu Motoroli, który ma spore szanse w walce o tytuł króla budżetowych smartfonów roku 2021.

6,5-calowy wyświetlacz wykonany w technologii IPS LCD ma częstotliwość odświeżania na poziomie 90 Hz, co jest istotną zaletą w tym przedziale cenowym. Szkoda jednak, że maksymalna rozdzielczość w tym modelu to zaledwie 720 x 1600, podczas gdy wiele tanich telefonów oferuje już FHD+. Rozczarowuje również jakość kolorów, a także wyświetlanej czerni. Po pewnym czasie można jednak do tego przywyknąć.

Pod tylną klapką zamontowano ośmiordzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 662 2 Ghz oraz 4 GB pamięci RAM. Taka specyfikacja sprawia, że G30 nie może być tytanem prędkości. Dzięki zastosowaniu nowego systemu Android 11 bez masy zbędnych aplikacji testowany model bez większego trudu wykonuje codzienne smartfonowe obowiązki. Czasem na dokończenie danej operacji trzeba chwilę poczekać, ale podczas testu nigdy się nie zdarzyło, aby system nagle wymusił zamknięcie jakiejś aplikacji lub nie otworzył nowej. Moto G30 umożliwia nawet odpalenie podstawowych gier dostępnych w sklepie Google Play. Pamięć na dane wynosi 128 GB, co po uwzględnieniu plików systemowych pozostawia ok. 105 GB do dyspozycji użytkownika.

Kolejny plus: dobry jak na tę klasę cenową aparat główny o rozdzielczości 64 MP z obiektywem o jasności f/1.7, którym można już robić naprawdę przyzwoite zdjęcia. Niestety za pomocą pozostałych obiektywów – makro- oraz ultraszerokokątnego – fotografie zrobione przy gorszym oświetleniu wychodzą już marnej jakości z dużą ilością szumów. Tylko przeciętna jest też jakość nagrań wideo, ale w tej klasie cenowej jest to akceptowalne.

Ogromną zaletą testowanego modelu jest akumulator o pojemności aż 5000 mAh, który przy normalnym użytkowaniu telefonu wystarcza spokojnie na dwa dni. Ci, którzy rzadziej sięgają po smartfon, mogą liczyć nawet na trzy dni na jednym ładowaniu. W razie potrzeby baterię można doładować szybką ładowarką o mocy 20 W.

Co bardzo ważne, Moto G30 została uzbrojona we wszelkie niezbędne w codziennym życiu elementy, takie jak czytnik linii papilarnych (umieszczony wygodnie na tylnej klapce), moduł NFC (umożliwiający dokonywanie bezprzewodowych płatności), hybrydowy dual SIM oraz wyjście słuchawkowe 3,5 mm.

Do testowanego modelu w zestawie dołączone jest też cienkie, przezroczyste etui. Miły gest, który pozwala zaoszczędzić kilkadziesiąt złotych.

Wady? Wprawdzie Moto G30 jest solidnie wykonana, ale design tego nieco zbyt otyłego telefonu trudno uznać za porywający. Mocno odczuwalna jest również jego waga (200 g). Szkoda także, że Moto G30 spełnia tylko standard IP52, co oznacza, że jest odporna wyłącznie na zachlapania i trzeba ją trzymać z dala od basenów, wanien pełnych wody etc.

Dla większości użytkowników szukających budżetowego smartfona ten model jest godny rozważenia. Cena: 899 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

NAJDROŻSZY TELEWIZOR ŚWIATA

Ma 165 cali przekątnej ekranu, rozdzielczość 4K i kosztuje 1,54 mln zł, co czyni go najdroższym na świecie odbiornikiem telewizyjnym. Model M1 austriackiej firmy C-Seed montowany jest w podłodze. Po naciśnięciu przycisku wysuwa się platforma z pięcioma panelami wykonanymi w technologii microLED, które rozkładają się do docelowej wielkości. Cena nie obejmuje montażu, który też raczej nie będzie tani, bo do zamontowania w podłodze jest system o wadze... 1350 kg. Montaż austriackiego M1 w typowym polskim M3 niestety nie wchodzi więc w grę.

OKULARY DLA GRACZY

Razer Anzu to okulary typu smart z wbudowanymi głośnikiem i mikrofonem. Nowy gadżet znanej gamingowej marki z innymi urządzeniami łączy się za pośrednictwem Bluetooth. Przyciski sterujące funkcjami multimedialnymi ukryto na boku okularów. Według producenta akumulator wystarcza na pięć godzin pracy na jednym ładowaniu. Ważące zaledwie 48 g smartokulary dla graczy są również wyposażone w soczewki filtrujące 35 proc. światła niebieskiego. Gadżet kosztuje 770 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 348985e4fc

W życiu i w łódce trzeba naciskać gaz

Rozmowa z Bartłomiejem Marszałkiem, zawodnikiem Formuły 1 H2O

„Do Rzeczy": Prawie każdy w Polsce wie, że mamy świetnego kierowcę F1, ale chyba mało kto wie, że mamy świetnego zawodnika F1H2O, czyli pana. Z czego to wynika, że sport motorowodny w kraju nie jest tak popularny?

BARTŁOMIEJ MARSZAŁEK: Wynika to z tego samego co w samochodowej F1. Dopiero gdy Robert Kubica zaczął tam odnosić sukcesy, spowodowało wzrost zainteresowania. Wcześniej F1 w kraju interesowali się wyjątkowi kibice. A gdy zaczęliśmy oglądać wyścigi w telewizji z udziałem Polaka, przebiło się to do powszechnej świadomości.

Wierzę, że to samo stanie się z wodną F1 dzięki moim wynikom i wsparciu PKN Orlen, który jest nieocenioną pomocą dla mnie jako sportowca, ale też dla rozpropagowania tego sportu w naszym kraju.

Z jednej strony to trochę naturalne, że gdy się jest synem legendy tego sportu – Waldemara Marszałka – to się go też uprawia. Z drugiej strony pan dobrze wie, ile wypadków miał ojciec. Ile kontuzji. Przeżył śmierć kliniczną. Czy tak trudne doświadczenia nie były odstraszające?

Sukcesy taty pamiętam jako dziecko oraz nastolatek i oczywiście pamiętam tę ciemniejszą stronę medalu – gdy tata nie wracał z zagranicy i wyczuwałem, że coś niedobrego się dzieje. Widziałem więc łzy szczęścia u mamy, ale widziałem też łzy smutku.

Tata jednak wychował mnie tak, że nie mijamy się z prawdą. Byłem więc świadomy, że taki sport to ryzyko. Podchodzę do tego wszystkiego z ogromnym szacunkiem – do wody, do prędkości. Wiem, jaka jest stawka. Tata sam swoje wypadki określał jako „wypadki przy pracy". Do dziś go pytam, co myślał, gdy dochodził do siebie w szpitalach. Wnioski z tych dyskusji są dla mnie motywacją.

Trzeba też zauważyć, że konstrukcja łódek bardzo się zmieniła. W klasach 350, w których pływał tata i mój śp. brat, który był mistrzem świata w 2003 r., leży się na brzuchu. A te łodzie ważyły 40 kg i były zrobione ze sklejki. Wywrotka często kończyła się uszkodzeniami ciała. Łodzie w F1 są większe, mają prawie 6 metrów. Kierowca siedzi w kokpicie na wzór kabiny myśliwca. Jest zapięty pasami bezpieczeństwa. Ma powietrze doprowadzone do kasku na wypadek wywrotki. Łódki są z karbonu i kevlaru, lekkie, ale mocniejsze niż stal. To pomaga w zachowaniu bezpieczeństwa i są na to dowody. Moja praca magisterska na warszawskiej AWF wyjaśniała, że rośnie liczba wypadków w wyścigach F1H2O, ale znacznie spada liczba urazów dzięki postępowi technologicznemu.

Zakładam, że ojciec wciąż głęboko tkwi w tym sporcie. Pomaga to panu czy przeszkadza?

Tata dla mnie jest wzorem zarówno w życiu prywatnym, jak i sportowym. Jego postawa, hart ducha, pokora i skromność, z których czerpię, doprowadziły mnie do tego miejsca, w którym jestem, i nie strzeliła mi na żadnym etapie woda sodowa do głowy. Nie wyobrażam sobie bez niego mojego życia. Najbardziej wartościowe dla mnie pod względem sportowym jest to, gdy rozmawia ze mną jako mistrz z uczniem. To mi zostaje w głowie i pojawia się w tych ułamkach sekund, gdy muszę docisnąć gaz do końca i mknąć łódką na granicy limitu.

Relatywnie późno wszedł pan do łódki, by się ścigać. Jednak na pierwszych zawodach od razu było mistrzostwo Polski. A potem pierwsze mistrzostwa świata i od razu wicemistrz. Pamięta pan tamte starty? Było dla pana zaskakujące, że tak świetnie od razu poszło?

W tych klasach miałem przygotowany sprzęt przez tatę. Jeśli sześciokrotny mistrz świata przygotowuje dla ciebie łódkę, to twoim zadaniem jest tylko dojechać do mety…

eprasa.pl 348985e4fc

Bartłomiej Marszałek w ubiegłym roku dołączył do Orlen Teamu
FOT. DAMIAN KRAMSKI

Mistrzostwo Polski nie było mocno zaskakujące, bo czułem się na siłach, żeby to osiągnąć. Mistrzostwa świata były miłym zaskoczeniem. To było na Łotwie. Cztery krótkie biegi. W ostatnim prowadziłem z dużą przewagą, ale wysłużony silnik odmówił posłuszeństwa. Medal byłby złoty… Pamiętam jednak, że kiedy łódź stanęła, spojrzałem w niebo i zrozumiałem, że los nie chce mi tego złota dać tak od razu. Miałem srebro, żeby coś w życiu zrozumieć, do czegoś dążyć.

Oczywiście w tym sporcie można zacząć tak jak na lądzie od gokartów. Powinny zaczynać kilkuletnie dzieci. Ja wsiadłem w seniorską łódkę od razu. W teorii tego sportu byłem mocny, praktyki nie miałem. Rzucili mnie więc na głęboką wodę. Ze śp. bratem i ojcem daliśmy sobie rok – że w tym czasie pokażę, czy się do tego nadaję, czy nie. Medal mistrzostw świata na szyi pokazał, że się nadaję. Oczywiście o F1 wówczas nawet nie marzyłem...

Droga do teamu Formuły 1 H2O nie jest łatwa. Jak zaczęła się ta przygoda w pana przypadku? Jak trafił pan do najlepszej serii tych wyścigów?

Od lat zagraniczne stocznie wystawiały swoje łodzie w wielogodzinnych wyścigach w Augustowie. Polskie stocznie też chciały pokazać swoje konstrukcje. Jeden z właścicieli zaprosił mnie do udziału w takiej drużynie. To klasa F4 – silnik mocy 60 koni mechanicznych, rozpędzało się to do może 80 km/h. Dla mnie nie było to rewolucją, ale były to łódki z kokpitem, a nie z pozycją leżącą.

Na tamtych zawodach wypadłem dobrze i rok później siedziałem już w Formule 2. Nie było w kraju wiedzy, nie bardzo miał mi kto pomóc. Pamiętam, że zgodził się mi coś podpowiedzieć jeden człowiek z Rosji. Tłukłem się tam samochodem z doczepioną łódką przez niebezpieczne okolice, a on mnie ostatecznie wystawił do wiatru. Zbiegiem okoliczności poznałem tam innych ludzi, którzy doprowadzili mnie do teamu F2 w Rydze na Łotwie. Od Łotyszy brałem używane części, które chcieli wyrzucać, a ja wiedziałem, że przez ostatnich 15 minut eksploatacji mogę się jeszcze uczyć.

Na jednym z wyścigów zauważył mnie promotor F2, zaprosił mnie do Grand Prix w Rydze. Tam z kolei człowiek z Emiratów Arabskich, promotor całego cyklu F2, zobaczył we mnie potencjał i zaprosił mnie do Malezji, Arabii Saudyjskiej, opłacając wysyłkę łodzi. Miałem wtedy tak odstający od reszty sprzęt, że stanowiłem tam jedynie tło. Ale powoli piąłem się w górę. Zdobyłem lepszą łódź i dwa sezony na niej startowałem. Na Grand Prix Włoch zająłem drugie miejsce i ludzie z teamu F1 Nautica zaprosili mnie jako kierowcę testowego. Tam, kiedy zawodnicy wieczorami celebrowali życie w restauracjach, ja chodziłem do garaży i podpatrywałem mechaników, zadawałem mnóstwo pytań, bo wiedziałem, że nigdy nie będę miał tyle pieniędzy i będę musiał to wszystko zapewnić sobie sam.

Nie marzyło mi się nawet, że będę z nimi walczył na wodzie jak równy z równym. Trzeba być cierpliwym i dążyć do celu. Ja na trzecim starcie w F1 z lepszą łódką miałem kraksę, wjechał we mnie Amerykanin. Jego wina, ale łódka, którą kupiłem za pieniądze ze sprzedaży mieszkania, nie była ubezpieczona. Straciłem wszystko. I ponad rok nie startowałem, mozolnie dalej wszystko odbudowywałem.

Po wodzie łódka nie tylko ślizga się z olbrzymimi prędkościami, lecz także pokonuje zakręty, na których przeciążenia są ogromne. Trzeba się urodzić z odpornością na to czy da się to wytrenować?

Wszystko się da wytrenować, chyba że ktoś ma jakąś fizyczną barierę. Treningi pozwalające znosić przeciążenia dotyczą konkretnych części ciała – głównie pleców oraz karku. Przy czym to musi nastąpić bez wzrostu masy ciała, bo na wyścigach im kto lżejszy, tym szybszy. Minimalna waga oczywiście jest określona. A przy tym wszystkim trzeba mieć fizyczną wytrzymałość na wyścigu trwającym prawie godzinę. Najlepszym treningiem jest robienie łodzią zakrętów.

Co pan najbardziej lubi w tym sporcie?

Najbardziej? Jak człowiek przed startem i w trakcie musi się wznieść na swoje wyżyny, skupić się tylko na tym, co jest tu i teraz, najlepiej, jak potrafi. Wyniki sportowe, ale i to poczucie, że się panuje nad ciałem, presją, kształtuje charakter w codziennym życiu. To jest dla mnie najważniejsze. Sport uczy pracy, dążenia do celu, determinacji. Uczy, żeby nie marnować czasu. Życie jest jedno i jest krótkie. Czasem trzeba się zrelaksować, ale gaz trzeba naciskać w łodzi i w codzienności.

Podobno w motorowodniactwie nie jest zbyt łatwo ze sponsorami. Pan w ubiegłym roku stał się członkiem Orlen Team. W czym to pomogło?

Przede wszystkim to olbrzymi zaszczyt i wyróżnienie. Od lat o tym marzyłem. Wiedziałem, że muszę osiągnąć odpowiedni pułap w sporcie, żeby taki narodowy biznesowy czempion mógł wziąć mnie pod skrzydła.

Mogę teraz po raz pierwszy w karierze rozpocząć poważne programy testowania i treningów w Polsce. Do tej pory to było dla mnie niedostępne. Wsparcie PKN Orlen pozwoli mi otworzyć nowy etap rozwoju, m.in. technologicznego. Będę szybszy!

Druga sprawa to ta rozpoznawalność sportu, o której już wspominałem. Wyścigi z moim udziałem będą teraz w polskiej telewizji. I mam nadzieję, że dostarczę kibicom radości i – nie zapeszając – że moje wyniki spowodują, iż nikt już ze mną nie zacznie wywiadu od pytania o to, dlaczego sport motorowodny jest tak mało popularny nad Wisłą.

Jaki cel chce pan osiągnąć w tym sporcie?

Chciałbym, siedząc na emeryturze na ganku domu, patrząc na rzekę, mieć świadomość, że czuję się spełnionym człowiekiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 348985e4fc

Otwieramy nowe sposoby leczenia

FOT. ADOBE STOCK

Z prof. Krzysztofem Giannopoulosem, hematoonkologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Czy to prawda, że największy przełom w medycynie dokonuje się właśnie w leczeniu nowotworów krwi?

PROF. KRZYSZTOF GIANNOPOULOS: Postęp w hematoonkologii obserwujemy już od wielu lat. Pierwszy lek celowany w leczeniu nowotworów – imatynib – został zarejestrowany 20 lat temu. Trafił na okładkę „Time'a" jako „magiczna pigułka w leczeniu raka" i okazał się przełomem w leczeniu przewlekłej białaczki szpikowej. Zmienił całkowicie los pacjentów. Od tej pory już wielokrotnie okazywało się, że hematoonkologia otwiera nowe sposoby leczenia przeciwnowotworowego. Obecnie można mówić o kolejnych przełomach: pierwszym z nich jest technologia CAR-T. Limfocyty T chorego poddaje się modyfikacji genetycznej, tak że rozpoznają one i niszczą komórki nowotworowe. To całkowicie nowe podejście do leczenia.

W Polsce na razie terapia CAR-T nie jest jeszcze dostępna dla pacjentów w ramach refundacji?

Dwa z produktów CAR-T zostały już zarejestrowane (w leczeniu chłoniaka rozlanego z dużych komórek B oraz ostrej białaczki limfoblastycznej). W Polsce toczy się obecnie dyskusja, jak je refundować: czy w ramach programów lekowych, czy z wykorzystaniem Funduszu Medycznego. Pierwsi pacjenci byli już w ten sposób leczeni, częściowo w ramach programów firm farmaceutycznych, częściowo lek był kupowany poprzez zbiórki publiczne dla konkretnego pacjenta. Niedawno został rozstrzygnięty grant Agencji Badań Medycznych na terapię CAR-T, która będzie tworzona w polskich ośrodkach: na pewno dzięki temu stanie się ona bardziej dostępna dla pacjentów.

Drugim przełomem jest zastępowanie chemioterapii nowoczesnymi terapiami celowanymi oraz lekami wzmacniającymi efekt immunologiczny, takimi jak nowe przeciwciała monoklonalne lub tworzone w oparciu o nie nowe konstrukty: np. do przeciwciała jest dołączana toksyna (takim lekiem jest np. brentuximab vedotin, stosowany w chłoniaku Hodgkina i chłoniaku T-komórkowym). Innymi konstruktami są przeciwciała o podwójnej swoistości (np. blinatumomab w leczeniu ostrej białaczki limfoblastycznej).

Na które z przełomowych leków czekają obecnie pacjenci w Polsce?

Jest ich wiele. W przypadku przewlekłej białaczki limfocytowej bardzo poprawiła się w Polsce możliwość stosowania leków drobnocząsteczkowych: obecnie w nawrocie choroby jest możliwość stosowania ibrutynibu oraz wenetoklaksu w połączeniu z przeciwciałem monoklonalnym. Największe niezaspokojone potrzeby medyczne są w pierwszej linii leczenia. Polscy pacjenci mają dostęp do immunochemioterapii [połączenie chemioterapii z lekiem modulującym działanie układu odpornościowego – przyp. red.]. To było optymalne leczenie kilka lat temu, jednak obecnie nie jest już zalecane pacjentom, którzy mają złe rokowanie. A są to chorzy z delecją chromosomu 17p i mutacją w genie TP53, a także pacjenci, którzy mają niezmutowane tzw. geny immunoglobulinowe. Dla nich optymalnym leczeniem w pierwszej linii byłoby połączenie wenetoklaksu z innym

eprasa.pl 348985e4fc

przeciwciałem monoklonalnym – obinutuzumabem.

Podczas niedawnego spotkania Medycznej Racji Stanu na temat chorób rzadkich była też mowa m.in. o chłoniaku z komórek płaszcza. Co to za podtyp chłoniaka?

Chłoniak z komórek płaszcza jest obecnie jednym z największych wyzwań hematoonkologii. Najczęściej ma agresywny przebieg, a u zdecydowanej większości chorych spodziewamy się szybkiego nawrotu choroby. U młodszych pacjentów w pierwszej linii leczenia stosujemy immunochemioterapię i przeszczepienie szpiku (u starszych nie możemy stosować przeszczepienia). Zgodnie z najnowszymi rekomendacjami powinniśmy jednak stosować inne leczenie, m.in. ibrutynib, dobrze znany z przewlekłej białaczki limfocytowej. Na szczęście jest on w Polsce dostępny dla chorych z chłoniakiem z komórek płaszcza w ramach RDTL (ratunkowego dostępu do technologii lekowych). Kilkudziesięciu pacjentów rocznie otrzymuje indywidualną zgodę na takie leczenie, jednak procedury RDTL są długotrwałe. Chcielibyśmy, żeby dostępność była prostsza i szersza w programie lekowym. Byłoby to też tańsze dla systemu ochrony zdrowia, gdyż ministerstwo zawsze negocjuje z firmami warunki finansowania terapii w programach lekowych.

Pacjenci cieszyli się w 2019 r. z refundacji kilku nowych leków w szpiczaku. Co pewien czas pojawiają się jednak informacje o kolejnych „cegiełkach", ważnych w leczeniu tej choroby...

Dwa tygodnie temu została zarejestrowana kolejna (już 12! – włączając bortezomib i talidomid) nowoczesna cząsteczka w leczeniu szpiczaka. Widzimy ogromny postęp w leczeniu tego nowotworu, jednak rzeczywistość w Polsce jest nieco inna. Mimo pozytywnych zmian z 2019 r., z których nasi pacjenci bardzo skorzystali, mamy dziś dostęp tylko do czterech nowoczesnych leków (nie licząc talidomidu i bortezomibu). Źle wygląda sytuacja pacjentów w pierwszej linii – nie mamy obecnie dostępu do żadnego z nowych schematów terapeutycznych, a jest już ich kilka. Potrzebna jest np. możliwość zastosowania lenalidomidu z deksametazonem (to schemat doustny dla pacjentów niekwalifikujących się do przeszczepienia); lenalidomidu z deksametazonem i bortezomibemem dla pacjentów wysokiego ryzyka cytogenetycznego oraz damatumumabu z bortezomibem i deksametazonem dla pacjentów zakwalifikowanych do przeszczepienia. Każda z grup chorych mogłaby być lepiej leczona w pierwszej linii, co przełożyłoby się na przedłużenie czasu do kolejnej terapii, a patrząc dalekosiężnie – na przedłużenie czasu całkowitego przeżycia.

Przeżycia pacjentów z nowotworami krwi wydłużają się dzięki nowoczesnemu leczeniu, jednak sytuacja bardzo się pogorszyła w okresie epidemii COVID-19. Duża analiza z USA, Brazylii i Europy pokazywała śmiertelność pacjentów hematoonkologicznych na poziomie 35–60 proc., jeśli zachorowali na COVID-19. Dlatego ta grupa powinna być jak najszybciej zaszczepiona

Czekamy również na zmiany w nawrocie choroby, ponieważ zapisy programów lekowych mają duże ograniczenia. Przykładem jest np. schemat z karfilzomibem; mogą z niego korzystać tylko wybrani pacjenci kwalifikujący się do przeszczepienia szpiku. Tymczasem do przeszczepienia kwalifikuje się tylko 30 proc. pacjentów, a kryteria programu lekowego jeszcze tę grupę zawężają. Jako grupa ekspertów pisaliśmy do ministra zdrowia prośbę o rozszerzenie możliwości leczenia o kolejne grupy pacjentów, m.in. w schemacie dwulekowym, co byłoby ważne szczególnie dla chorych, którzy nie mogą mieć przeszczepionego szpiku, a nie odpowiadają na leki immunomodulujące lub mają po nich szybki nawrót choroby.

Brakuje również możliwości leczenia pacjentów tzw. wysokiego ryzyka cytogenetycznego (schematem z iksazomibem, lenalidomidem i deksametazonem). To unikalne połączenie, ponieważ niweluje wysokie ryzyko szybkiego nawrotu choroby u tych chorych. Poza tym jest to terapia doustna, co jest istotne zwłaszcza w okresie pandemii, kiedy powinniśmy preferować wszystkie sposoby leczenia, które nie wymagają pobytu w szpitalu.

W nowotworach hematologicznych terapie są dla pacjenta dobierane indywidualnie?

Indywidualizacja leczenia uwzględnia już nie tylko stan ogólny i wiek pacjenta, lecz także diagnostykę molekularną, cytogenetyczną. Często jesteśmy w stanie dokładnie ocenić, jakie jest rokowanie pacjenta i jakie leczenie możemy mu zaproponować.

Czy to znaczy, że dziś, gdy pacjent słyszy diagnozę nowotworu hematologicznego, nie musi się obawiać, że to będzie choroba, która szybko skończy się zgonem?

Ogólnie przeżycia pacjentów bardzo się wydłużają, np. w szpiczaku czas przeżycia dzięki nowym terapiom w ostatnich latach wydłużył się niemal trzykrotnie. Największym wyzwaniem jest ostra białaczka szpikowa; tu mimo że też pojawiają się nowe terapie, wciąż daleko nam do przełomu.

Jednak sytuacja pacjentów hematoonkologicznych bardzo się pogorszyła w okresie epidemii COVID-19. Jest ogromny problem opóźnień w diagnostyce. Choroba już w momencie diagnozy jest uogólniona, wiąże się z dużymi dysfunkcjami układu odpornościowego. Dane z Wielkiej Brytanii dotyczące pacjentów chorych na szpiczaka zarażonych COVID były wręcz dramatyczne: śmiertelność w wyniku zakażenia wynosi powyżej 50 proc. Duża analiza z USA, Brazylii i Europy pokazywała śmiertelność pacjentów hematoonkologicznych na poziomie 35–60 proc. Bardzo trudna jest sytuacja pacjentów po przeszczepianiu szpiku: dotychczas procedury przeszczepiania były uznawane za bardzo bezpieczne, śmiertelność okołoprzeszczepowowa wynosiła ok. 1 proc. Obecnie, jeśli pacjent będzie miał infekcję COVID, to jest to aż 30 proc. Chorzy na nowotwory krwi to grupa najbardziej narażona na ciężki przebieg choroby, stąd nasze apele do Ministerstwa Zdrowia, żeby jak najszybciej ją zaszczepić. Najlepiej, żeby chory był zaszczepiony jeszcze przed rozpoczęciem leczenia, jeśli to tylko możliwe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Krzysztof Giannopoulos – kierownik Zakładu Hematoonkologii Doświadczalnej UM w Lublinie, kieruje Oddziałem Hematologicznym Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej im św. Jana z Dukli, prezes Stowarzyszenia Hematologia Nowej Generacji.

eprasa.pl 348985e4fc

Pandemia wiele nas nauczyła

Z prof. Krzysztofem Jamroziakiem z Kliniki Hematologii, Transplantacji Szpiku i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: W leczeniu nowotworów hematologicznych dokonuje się postęp, o wielu z nich mówi się, że powoli stają się chorobami przewlekłymi. Czy epidemia COVID-19 nie zmieniła tych rokowań? Jakie były (i są) największe problemy w okresie pandemii?

PROF. KRZYSZTOF JAMROZIAK: Było ich wiele. Pacjenci, zwłaszcza w pierwszej fazie pandemii, obawiali się kontaktów ze służbą zdrowia. Część osób, które miały niepokojące objawy, nie zgłaszała się do lekarzy. Niestety, przyszli później (i nadal przychodzą) w bardziej zaawansowanych stadiach choroby, co ma wpływ na ich rokowanie. Drugi problem dotykał pacjentów już zdiagnozowanych: niektóre ośrodki hematologiczne były czasowo zamykane z powodu pojawiających się ognisk COVID. Kumulacja chorych w jednym miejscu zwiększała ryzyko zakażenia. Zdarzało się też, że pacjenci mieli odraczane leczenie, co również niekorzystnie wpływa na ich rokowanie. Kolejny problem to niedostateczne monitorowanie pacjentów w remisji, czyli stadium, w którym choroba nie jest aktywna, ale wymaga uważnej obserwacji. Staraliśmy się ich monitorować za pomocą teleporad, których wartość jest jednak ograniczona, jeśli pacjenci nie mają wykonywanych specjalistycznych badań. Niestety, podstawowe badania to często za mało, by wcześnie rozpoznać progresję szpiczaka. Nawrót choroby zauważaliśmy później.

Chorzy na szpiczaka są szczególnie narażeni na ciężki przebieg COVID?

Tak. Chociaż szpiczak dotyka osób w różnym wieku (zdarzają się zachorowania w wieku 30–40 lat), to zdecydowana większość pacjentów to osoby starsze, średnia wieku to 65–70 lat. Dodatkowo choroba wiąże się z immunosupresją (osłabieniem układu odpornościowego). Obniżenie odporności, a co za tym idzie – większa podatność na infekcje to jedna z głównych cech szpiczaka. Poza tym pacjenci często otrzymują leki, które osłabiają odporność. Tak więc chorzy na szpiczaka są grupą ryzyka ciężkiego przebiegu COVID, zarówno z powodu wieku i związanych z nim chorób towarzyszących, jak i z racji samego nowotworu. Już pierwsze doświadczenia pandemii z Włoch pokazywały dużą umieralność chorych na szpiczaka.

Jakie rozwiązania poprawiłyby opiekę nad pacjentami?

Kilku rzeczy nauczyliśmy się w czasie epidemii. Przekonaliśmy się np., jak groźna jest koncentracja chorych w jednym miejscu. Połowa chorych na szpiczaka umiera bezpośrednio z powodu nie progresji nowotworu, tylko różnych powikłań infekcyjnych. To pokazuje, że trzeba zmienić system opieki. Chorzy przyjeżdżali do poradni lub szpitala, czasami czekali na korytarzu przez wiele godzin na wizytę, część z nich miała infekcje, były one rozsiewane. Widać, że ten model opieki nie jest dobry. Dlatego w pewnych sytuacjach warto byłoby nadal korzystać z teleporad, pacjent musiałby mieć jednak możliwość wykonania specjalistycznych badań w miejscu zamieszkania. W przypadku szpiczaka dużo można odczytać z wyników badań laboratoryjnych, pod warunkiem że są one pełne. Wielu pacjentów nie musiałoby przyjeżdżać kilkaset kilometrów do ośrodka i angażować rodziny do pomocy. Nie byliby też narażeni na ryzyko powikłań infekcyjnych. To

eprasa.pl 348985e4fc

FOT. ADOBE STOCK

oczywiście dotyczy pacjentów, którzy są już znani danemu lekarzowi i ich choroba jest stabilna (tzn. chorych w remisji lub np. w fazie przewlekłego leczenia doustną chemioterapią).

Druga rzecz, którą można zmienić, to szersze wprowadzenie schematów chemioterapii w formie doustnej, tam, gdzie są one równie lub bardziej skuteczne niż leczenie drogą dożylną lub podskórną. Terapie doustne w okresie COVID najlepiej się sprawdzają. Dzięki decyzjom Ministerstwa Zdrowia i NFZ mogliśmy wydawać leki doustne nawet na okres sześciu miesięcy, jeśli pacjent był w stabilnym stanie. Pandemia podkreśliła zalety leczenia doustnego, pokazała, że przy odpowiedniej organizacji, wykorzystaniu telenarzędzi takie leczenie może być bezpiecznie prowadzone. Warunkiem jest to, że pacjent może otrzymać na dłuższy czas leki doustne i wykonać niezbędny pakiet badań kontrolnych w miejscu zamieszkania. Dla porównania, niektóre terapie dożylne, podskórne, wymagają pobytu w szpitalu nawet dwa razy w tygodniu.

Możliwość stosowania terapii doustnych zmniejsza też „kolejkę" pacjentów do szpitali i poradni, dając miejsce innym chorym. To też konkretne oszczędności dla systemu ochrony zdrowia?

Terapie doustne mają wiele zalet: przede wszystkim to wygoda i bezpieczeństwo pacjenta. Jakość życia pacjentów stosujących terapie doustne jest znacznie większa. Niższe są również ponoszone przez pacjenta koszty leczenia, gdyż nie jest konieczne przyjeżdżanie do szpitala, w co zwykle jest też zaangażowana rodzina, kosztem swojego dnia pracy. Choć oczywiście trzeba pamiętać, że nie wszystkie terapie dożylne możemy zastąpić doustnymi. Pewną przewagą terapii podskórnych i dożylnych jest np. to, że mamy większą kontrolę nad tym, jak są przyjmowane leki. W przypadku terapii doustnych pacjent nie zawsze stosuje je w optymalny sposób. Ale trzeba podkreślić, że przede wszystkim potrzebujemy szerszego dostępu do różnych możliwości leczenia szpiczaka w Polsce, w tym skutecznych terapii doustnych, ponieważ jest to choroba wymagająca zastosowania kolejno kilku lub nawet kilkunastu różnych terapii u każdego pacjenta. Gdyby jednak policzyć wszystkie koszty, które wiążą się z terapią (zaangażowanie personelu, koszt łóżka szpitalnego), to zdecydowanie koszty te są niższe w przypadku terapii doustnych. Są najtańsze dla systemu opieki zdrowotnej.

Mamy dziś trzecią falę COVID, pacjenci znów się boją. Jednak mimo wzrostu liczby zakażeń koronawirusem nie należy zwlekać, jeśli podejrzewany jest szpiczak lub inna choroba hematoonkologiczna?

Nie jest to jednak proste; dostęp do lekarza jest obecnie utrudniony. Lekarz rodzinny poprzez teleporadę nie zbada pacjenta, nie wykryje np. powiększonych węzłów chłonnych. Wydłuża się ścieżka do postawienia diagnozy. Ponieważ trzeba się liczyć z opóźnieniami diagnostycznymi, tym bardziej nie można czekać, gdy zauważyliśmy niepokojące objawy. Konsekwencje nowotworów hematologicznych są często bardziej poważne dla większości pacjentów niż zakażenia COVID.

W ostatnich latach w leczeniu szpiczaka dokonał się przełom, pojawiły się leki, które zmieniły rokowanie chorych. Nie wszystkie są dostępne w Polsce. Które z tych leków powinny znaleźć się wśród priorytetów i czy są wśród nich terapie doustne?

Szpiczak plazmocytowy to jeden z nowotworów, w których rozwój terapii jest najbardziej dynamiczny. Dawniej co kilka lat, a ostatnio właściwie co kilka miesięcy rejestrowane są innowacyjne

Połowa chorych na szpiczaka umiera bezpośrednio z powodu nie progresji nowotworu, tylko różnych powikłań infekcyjnych

leki o całkowicie nowych mechanizmach działania. Te leki są kosztowne, ale dzięki nim chorzy na szpiczaka mogą żyć z chorobą dwu–trzykrotnie dłużej niż jeszcze kilkanaście lat temu. Warunkiem jest oczywiście szeroki dostęp do tych nowoczesnych terapii. Niestety, w Polsce sytuacja pod tym względem jest trudna – niektóre leki nie są refundowane, a dostęp do innych jest mocno ograniczony kryteriami programów lekowych. Mógłbym wymienić długą listę potrzebnych terapii, ale na obecną chwilę do priorytetów zaliczyłbym poszerzenie dostępu do lenalidomidu, karfilzomibu i daratumumabu oraz refundację iksazomibu.

Część pacjentów chorych na szpiczaka to pacjenci wysokiego ryzyka cytogenetycznego, których rokowanie jest dużo gorsze niż pozostałych chorych. Czy jest dla nich opcja leczenia?

Ryzyko cytogenetyczne, czyli występowanie zmian genetycznych związanych z niekorzystnym przebiegiem szpiczaka, dotyczy ok. 20 proc. pacjentów. U tych chorych obserwuje się szybsze nawroty szpiczaka, co niestety skutkuje krótszym czasem życia. Do leków, które wykazują najlepsze działanie u takich pacjentów, należą przede wszystkim inhibitory proteasomu, czyli bortezomib, iksazomib i karfilzomib, oczywiście stosowane w bardziej złożonych schematach chemioterapii. Spośród tych leków tylko bortezomib jest powszechnie dostępny, natomiast dostęp do karfilzomibu jest bardzo ograniczony, a iksazomib nie jest refundowany w ogóle. Ten ostatni lek jest jedynym z tej grupy, który wykazał podobną skuteczność u chorych z wysokim i standardowym ryzykiem cytogenetycznym i jako jedyny jest dostępny w formie doustnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr hab. Krzysztof Jamroziak – hematolog, pracuje w Klinice Hematologii, Transplantacji Szpiku i Chorób Wewnętrznych WUM.

eprasa.pl 348985e4fc

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Cmentarzysko polskiej floty

JACEK KOMUDA

Co się stało ze zwycięską flotą Zygmunta III Wazy po bitwie pod Oliwą? Wspominałem już o tym, pisząc o starciu pod gdańską latarnią, kiedy Szwedzi zaskoczyli nasze okręty na kotwicowisku. Od ognia artyleryjskiego wyleciała w powietrze stara pinka, czyli „Żółty Lew", a „Rycerz Święty Jerzy" wszedł na mieliznę i spłonął. Wcześniej, bo jeszcze w grudniu 1627 r., stracono „Latającego Jelenia", który został zatopiony przez Szwedów koło Olandii.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jaki był los pozostałej floty składającej się z siedmiu lub ośmiu okrętów – „Króla Dawida", „Tygrysa" (czyli zdobytego pod Oliwą szwedzkiego „Tigerna"), „Wodnika", „Panny Wodnej", „Arki Noego", „Białego Psa" i „Delfina". A także jeszcze jednej jednostki – fluity figurującej w źródłach jako „Święty Jakub" lub „Feniks" – zdobytej i wcielonej, a może zbudowanej w Gdańsku w 1628 r.

Zagładą naszych okrętów stał się Wismar, port w Rzeszy Niemieckiej, do którego zawinęły z rozkazu króla. Stało się tak, ponieważ cesarski wódz Albrecht von Wallenstein, który zajął wybrzeże od Pomorza Zachodniego do Jutlandii, potrzebował floty do osłabienia Duńczyków i Szwedów. Czynił zatem starania, aby Zygmunt przysłał mu do pomocy własną. Jego działania wsparli sojusznicy – Hiszpanie – zwłaszcza poseł baron d'Auchy, który nalegał na przysłanie polskich eskadr do Wismaru, gdzie dołączyć miały do nich okręty z Dunkierki pod wodzą don Firmina de Lodosa i wybudowane lub kupione na miejscu jednostki cesarskie. Mamił króla obietnicą stworzenia ogromnej floty katolickich władców na północy, która mogłaby zagrozić Szwecji i pomóc w odzyskaniu jej korony przez Zygmunta III.

Ostatecznie we wrześniu 1628 r. władca zdecydował o wysłaniu tam całości sił morskich. Dlaczego? Za takim rozwiązaniem opowiadało się sprzyjające Habsburgom otoczenie królewskie – królowa Konstancja, spowiednik króla o. Walenty i wychowawczyni jego dzieci – Urszula Gienger-Meierin – mająca wielki wpływ na dworze. Zanim jednak zaczniemy potępiać Zygmunta, rozważmy dwie kwestie: po pierwsze, flota polska i tak była zbyt słaba, aby przełamać blokadę Gdańska. W okresie, kiedy przeważające siły szwedzkie patrolowały wybrzeża – od kwietnia do grudnia – była zablokowana w Wisłoujściu. Po drugie, król miał kłopoty z opłacaniem marynarzy – utrzymywał bowiem załogi z własnej szkatuły, zalegając z żołdem, a sejm nie chciał uchwalić podatków. Flota polska była więc tak naprawdę prywatnym przedsięwzięciem króla. Trudno się dziwić, że nie mając środków i nie widząc powodzenia w jej działaniach w pobliżu Gdańska, wysłał ją tam, gdzie miała szansę odnieść sukces.

30 stycznia 1629 r. osiem lub nawet, jak podają niektóre źródła, dziewięć okrętów przybyło do portu cesarskiego w Wismarze. Od razu okazało się, że sojusznicy nie spełnią swojej części obietnicy – nie przybyła ani hiszpańska, ani cesarska eskadra. Siły cesarskie dowodzone przez Filipa Mansfelda miały tylko dwa duże okręty i kilka mniejszych – całą resztę szumnie zapowiadanej floty tworzyły jednostki, które przybyły z Polski. Galeony, fluity i pinasy Zygmunta III Wazy, których nie chciał utrzymywać własny kraj, miały więc służyć interesom Habsburgów zaangażowanych w wojnę z protestantami. Co gorsza, kiedy król przekonał się, że został oszukany, i zażądał odesłania okrętów, Mansfeld odmówił.

Bazując w Wismarze, połączona flota próbowała szarpać Szwedów, z mizernym skutkiem. Szerzyły się dezercje – marynarze, w znacznej części Kaszubi, uciekali z pokładów. W grudniu 1630 r. „Król Dawid" po nieudanej akcji schronił się do Lubeki i został zatrzymany. Flota stawała się coraz słabsza – gdy w marcu 1631 r. Szwedzi zaczęli oblężenie Wismaru, pozostawała w porcie. Zwycięskie i dumne galeony spod Oliwy stały więc w porcie opuszczone przez załogi, okaleczone, pozbawione takielunku, a także dział, które zabierano do obrony miasta.

Kiedy Wismar skapitulował 22 stycznia 1632 r., Szwedzi wcielili wszystkie okręty polskie do swojej floty. Zygmunt podejmował później starania w celu ich odzyskania, a przede wszystkim wydania mu zatrzymanego w Lubece „Króla Dawida". Mimo że wysiłki kontynuował jego syn Władysław IV, nic z nich nie wyszło. Sprawę tę poruszano nawet w trakcie rokowań w Sztumskiej Wsi, jednak „Szwedzi, dla których było to częściej wysłuchiwaną piosenką, są na to głusi" – napisał o tym sekretarz francuskiego posła Karol Ogier. Okręty spod Oliwy znalazły ostatnią przystań pod polskimi banderami w Wismarze, stamtąd pod tymi samymi nazwami trafiły do floty szwedzkiej, aby pozostać w tej służbie do końca swych dni. ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

STROGONOW W STYLU AZJATYCKIM BRACI BUDNIKÓW

Moda na kuchnię azjatycką panuje w naszym kraju od wielu lat. Polacy stali się wielbicielami dań rodem z Dalekiego Wschodu ze względu na bogactwo aromatycznych przypraw, ziół czy sosów, a także prostotę ich wykonania. Uwielbiamy łączyć te wyjątkowe smaki z naszymi rodzimymi potrawami, kierowani chęcią odkrywania nowych połączeń przygotowaliśmy jedno z najbardziej znanych dań w nieodkrytej wcześniej odsłonie, czyli boeuf Strogonow rodem z Dalekiego Wschodu.

Składniki:

- 600 g wołowiny (polędwicy, ligawy lub rostbefu)
- 1 łyżka skrobi kukurydzianej
- 3 łyżki sosu sojowego
- 1 łyżka sambalu
- 3 cm korzenia imbiru
- 1 łyżka oleju sezamowego
- olej rzepakowy (do smażenia)
- 2 czerwone cebule
- 2 ząbki czosnku
- 1 łodyga trawy cytrynowej
- 1 limonka
- 1 l bulionu drobiowego lub wołowego
- 1 łyżka musztardy francuskiej
- 50 g suszonych grzybów mun
- 2 kapusty pak choi
- 1 szklanka mleka kokosowego
- 1 pęczek szczypioru
- 3 świeże ogórki
- 1 łyżeczka sosu rybnego
- 1 łyżeczka octu ryżowego
- 1 łyżeczka miodu
- 1 łyżka uprażonego sezamu

Przygotowanie:

Wołowinę kroimy w paski i przekładamy do głębokiej miski, doprawiamy sosem sojowym, sambalem, startym imbirem i olejem sezamowym, dokładnie mieszamy, odstawiamy do zamarynowania na minimum pół godziny. W tym czasie kroimy w równe części: cebulę, czosnek, pak choi, a grzyby mun namaczamy w gorącej wodzie. W dużym rondlu rozgrzewamy dwie łyżki oleju, na którym przesmażamy przygotowane warzywa, a następnie zdejmujemy je z patelni i studzimy. Na tej samej patelni smażymy mięso, obtoczone w skrobi kukurydzianej. Gdy się zarumieni, dodajemy odciśnięte i pokrojone grzyby, rozklepaną nożem łodygę trawy cytrynowej i po kilku minutach zalewamy bulionem. Po zagotowaniu zmniejszamy ogień i powoli gotując mięso do miękkości, dodajemy łyżkę musztardy. Gdy mięso będzie miękkie, dodajemy warzywa i gotujemy kolejnych kilka minut, po czym wlewamy mleko kokosowe i dusimy przez kolejnych 5 minut.

Z pokrojonych ogórków, sosu rybnego, octu i sezamu sporządzamy sałatkę i odstawiamy na kilka minut. Gdy nasz gulasz jest już gotowy, dodajemy posiekany szczypior. Danie podajemy w głębokich miskach, na górę wykładamy zamarynowane ogórki. ©℗

oprac. raw
Kuba i Michał Budnikowie

Kuba i Michał Budnikowie to szefowie kuchni, prezenterzy kulinarni, eksperci w dziedzinie doboru, obróbki i przyrządzania mięs, zwłaszcza wołowiny FOT. WALDEMAR KOMPAŁA

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Proszę o dyskrecję

Kiedy Państwo będą to czytać, wysoka fala odzewu wywołanego przez wywiad Oprah Winfrey z Sussexami będzie za nami. Być może nastąpią inne skandale, które tę sprawę na chwilę odsuną. Teraz cała planeta żyje problemami Harry'ego i Meghan.

Wywiad zapowiadany od tygodni był znany, jeszcze zanim się odbył, a gdy nastąpił, zahuczały o nim media. Komentowali „eksperci", na forach mówił lud. Wszystkie soki wyciągnęły z wywiadu nie tylko tabloidy. Komentowały poważne gazety, na chwilę odwracając uwagę od wojen i konfliktów. „New York Times", „Los Angeles Times" poświęciły mu poważne analizy, brytyjskie dzienniki przeprowadziły egzegezę każdego słowa, nie mogąc się zdecydować, czy bardziej oburza je chłód monarchii czy spryt amerykańskiej rozwódki, która wdarła się do pałacu Buckingham. Analizują casus „Le Figaro", „Le Monde"... Można się domyślać, że jeszcze długo wywiad będzie pożywką dla mediów. I dla ludu, który waha się, czy bardziej cieszyć się z awansu proletariuszki, czy w skrytości odczuwać schadenfreude, że jednak noga jej się powinęła. Na oczach świata dzieje się ten spektakl prania osobistych niechęci, urazów, pretensji, czort wie czego jeszcze. Widać, jak mocno panna Markle zawładnęła mężem, jeśli zdecydował się na tę żałosną psychodramę.

Wszystko to uświadamia, czym była i czym już nie jest słynna angielska dyskrecja. Obowiązkowa nie tylko w kontaktach klasy wyższej, taka po prostu cecha angielskiego charakteru narodowego. Understatement – porozumiewać się, nie powiedziawszy wszystkiego, starając się nie urazić cudzych uczuć. Nie ranić i nie wywalać bebechów.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

To się skończyło razem z nadejściem Freuda i psychoanalizy. Najpierw niepowściągane emocje wylały się na karty literatury, potem łzy, wściekłość i złość wyszły na zewnątrz. Bez skrępowania. Na Facebooku żona dziękuje mężowi, że zrobił jej poranną kawę, wyjaśniając, ile wsypał do niej cukru. Mama pisze do córki, że ładnie wygląda w czerwonej sukience, przy okazji zawiadamiając o tym świat. Chłopak zrywa z dziewczyną. Publicznie rozmawia się z dziećmi, rodzeństwem, przyjaciółmi, choć prościej byłoby to zrobić face to face. Ale po co, skoro można wszystkim ogłosić, że mamy wspaniałe dziecko? Chwalimy się sami – brawo ja! Zdjęcia z bardziej intymnych momentów życia nie przechodzą tylko dzięki temu, że pan Zuckerberg cenzuruje. Jestem mu za to wdzięczna, strach pomyśleć, co trzeba by wtedy oglądać. ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Zderzenie cywilizacji

Mieszkam prawdopodobnie w najbardziej multikulturowym skrawku Polski. I to w takim londyńskim znaczeniu, bo nie chodzi o Ukraińców, ale o Pakistańczyków, Hindusów i Nepalczyków, którzy z jakichś powodów upodobali sobie warszawską Wolę.

Przy czym stężenie tej multikulturowości jest jednak słabiutkie. Owszem, w mojej okolicy jest mnóstwo knajpek hinduskich czy nepalskich, w których dogadać się można tylko po angielsku. Są zakłady fryzjerskie, do których tubylcy nie chodzą, a które utrzymują się ze strzyżenia imigrantów.

W moim wielkim bloczydle mieszka jednak tylko jedna rodzina Wietnamczyków, których jednakowoż trudno uznać za ludność napływową. Mieszkają z nami, od kiedy pamiętam, dobrze mówią po polsku, a ich dzieci są podporą podwórkowej społeczności. Ci Wietpolacy są przedstawicielami polskiej klasy średniej i to tej wyższej – sądząc po liczbie i markach samochodów, którymi jeżdżą.

Nie mamy zatem hinduskich dzielnic ani ulic. Nocami po osiedlu nie włóczą się zakapturzone ciemnoskóre nastolatki, tylko swojskie zakapturzone wyrostki. Społeczność hinduska, choć widoczna za sprawą swej odmienności, jest na tyle nieliczna, że nie tworzy jakiejś masy, poprzez którą my, lokalsi, moglibyśmy się poczuć „nie u siebie". Proporcje – z mojego punktu widzenia, czyli białego dziadersa – są idealne.

Czasem jednak trudno się dogadać, bo różnice kulturowe są spore. Już w Azji mieliśmy problem z definicją tego, co znaczy pikantne jedzenie. Kiedyś w Kolombo wręcz wezwaliśmy kucharza, bo zamawialiśmy dla dziecka jedzenie zupełnie nieostre, a dostaliśmy potwornie ostre. Doszło do takiego mniej więcej dialogu. Ja: „To jest ostre". Kucharz (próbuje): „To nie jest ostre". Ja (próbuję): „To zdecydowanie jest ostre". Kucharz (próbuje): „To zdecydowanie nie jest ostre".

W Warszawie jest teraz podobnie. Nasze ostre i ich ostre to dwa zupełnie inne światy. Natomiast nasz syn może dzięki tym sporom ćwiczyć angielski.

Nieco podobnie jest u fryzjera. Chodziłem „do Hindusa" z synem, ponieważ nigdy nie trzeba było czekać na strzyżenie. Niestety, tam z kolei trudno się było porozumieć w kwestii tego, co jest krótkie. My prosiliśmy o krótkie strzyżenie, a hinduski fryzjer zostawiał fantazyjną grzywkę w stylu Bollywood. My chcieliśmy krócej, on robił, co chcieliśmy, ale pewnej granicy nie był w stanie przekroczyć. Fryzjerskie sumienie mu nie pozwalało. Dziarska grzywka do formowania żelem musiała zostać. Wracaliśmy do domu z grzywką i dostawaliśmy ochrzan od mojej żony. Więc cóż – wróciliśmy do zakładu pani Halinki. U niej krótko to jest krótko. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Wojna płci

Odwołali wojnę płci w Madrycie z powodu pandemii. Pod tym hasłem 8 marca wylegały co roku setki tysięcy feministek. Obowiązywały ubiór w kolorach czarno-fioletowych, pomazane twarze i wojenne hasła. Jeździłam nie tylko z powodu dziennikarskiej ciekawości, lecz także dla frajdy. Moja zabawa polegała na prowokacji: ubierałam się w pastelową sukienkę, szpilki i szłam w kierunku odwrotnym do napierającego tłumu rozsierdzonych bab. Liczba i rodzaj posyłanych mi spojrzeń ze strony setek na czarno ubranych Hiszpanek świadczyły, że dobrze odgrywałam rolę sabotażysty na terenie czarownic (jak same lubią się określać).

Ośrodek w Oxfordzie wyliczył, że gdyby rząd Hiszpanii nie zezwolił na marsz feministek, to ocaliłby życie ponad 23 tys. ludzi

Gdy wylatywałam, krążyły już słuchy o dziwnym wirusie atakującym Włochy i powoli Hiszpanię. Nie mogłam sobie jednak darować okazji, bo z głównych mediów w Hiszpanii płynęły komunikaty o niepotrzebnej panice wokół „grypki", a panie ministry i feministki zachęcały do manifestacji pod hasłem: „Heteropatriarchat zabija więcej niż koronawirus". No i planowały jakiś symboliczny mord na liderze konserwatywnej partii VOX. Z uwagi na złe przeczucia tym razem trzymałam się nieco z boku, robiąc zdjęcia i próbując zrozumieć przesłanie niektórych bannerów w rodzaju: „Dość maczystowskich pensji", „Nie uciszysz mojej cipki". To była niedziela, w środę miałam wejść po raz pierwszy do Kongresu deputowanych i przeprowadzić wywiad z moją idolką, ale już we wtorek obudziłam się w innej rzeczywistości. W Madrycie wybuchła panika, zamknięto Kongres, a media podawały dramatyczne wiadomości o tym, że tłum feministek zadziałał jak „bomba biologiczna": zarażonych są tysiące ludzi i w dodatku brak maseczek. Nigdy nie zapomnę tych paru wstrząsających dni, gdy nagle w panice wyludniły się ulice, debatowano, czy zamknąć Madryt tak jak Wuhan, aby wirus nie rozprzestrzenił się na resztę Hiszpanii.

Parę miesięcy później ośrodek w Oxfordzie wyliczył, że gdyby rząd Hiszpanii nie zlekceważył unijnych ostrzeżeń i nie zezwolił na marsz feministek, to ocaliłby życie ponad 23 tys. ludzi. Kto policzy, ile ofiar w Polsce można było uniknąć, gdyby nie rozprzestrzenianie wirusa przez manifestacje Strajku Kobiet? Tak, jesteśmy świadkami, że radykalny feminizm ma mnóstwo ofiar na koncie. Nie tylko tych nienarodzonych. ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Drogie bazy

Wcale nie chodzi tutaj o bazy amerykańskie w Polsce. Mam na myśli bazy, a właściwie dostęp do tzw. międzynarodowych baz nauki typu Web of Science, SCOPUS czy ERIH Plus. Kto nie jest w tych bazach, ten nie jest w naukowym obiegu. Kto nie jest w naukowym obiegu, ten ma mniejsze szanse na dostanie grantu badawczego. Kto nie dostanie grantu badawczego, ten ma mniejsze szanse na awans w drabince stopni i tytułów naukowych, a i może stać się „obciążeniem parametrycznym" dla swojej uczelni. A parametryzacja ma związek z ewaluacją. Ta ostatnia zaś z pieniędzmi, czyli budżetową subwencją wypłacaną (bądź nie) danej placówce naukowej w zależności od tego, jak wypadnie w ewaluacji.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Jednak na początku też są budżetowe, czyli podatników („pana, pani, społeczeństwa"), pieniądze, i to całkiem niemałe. Państwo polskie rocznie płaci za dostęp polskiego świata nauki w formule open access (otwarty dostęp) do rzeczonych baz mniej więcej 280 mln zł. Ale to nie koniec. Należy do tego doliczyć jeszcze ze 100 mln zł związanych na przykład z koniecznością wnoszenia opłat za przyznanie numeru DOI artykułowi zamieszczanemu w czasopiśmie naukowym. A bez tego numeru artykuł nie liczy się jako naukowy. Wystarczy przemnożyć liczbę artykułów ze wszystkich dyscyplin naukowych we wszystkich tzw. punktowanych czasopismach w Polsce, by mieć świadomość, że nie są to małe pieniądze.

Ale to nie wszystko. Kosztuje również obsługa bazy ORCID (bez tego pracownik naukowy jest „niewidoczny w systemie" ze wszystkimi konsekwencjami parametryzacyjno-ewaluacyjnymi), czy systemu osf/opi, obsługującego m.in. najważniejsze konkursy grantowe (Narodowego Centrum Nauki oraz Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki).

Wszystkim tym zajmują się wyspecjalizowane firmy. Gdybyż tylko chodziło o firmy informatyczne! Biznesowa działalność kwitnie również wokół dostępu do baz, w których umieszczenie artykułu oznacza „zdobycz punktową" znacznie wyższą niż napisanie jednej porządnej, ale po polsku, monografii naukowej. A wiadomo – im więcej punktów, tym większe szanse na grant, lepsza perspektywa ewaluacyjna i parametryzacyjna i w konsekwencji większa subwencja budżetowa.

Cała rzecz wygląda mniej więcej tak: najpierw jest pytanie ofertowe ze strony firmy specjalizującej się w dostępie do baz: „Czy Pan Profesor byłby zainteresowany publikacją artykułu za 150 punktów, w takim a takim czasopiśmie z takiej i siakiej bazy?". „Ależ oczywiście". „Bardzo się cieszymy. Proszę tylko zapłacić 3 tys. euro i nie ma żadnego problemu".

Dokąd uda się profesor złakniony punktów, a tym samym lepszych perspektyw grantowo-parametryzacyjno-ewaluacyjnych, po te 3 tys. euro? Pójdzie do rektora (lub rektorki), który/która po uważaniu dotację da lub nie da. Da przede wszystkim „krewnym i znajomym (także w sensie ideologicznym) królika".

To tak à propos „otwierania nauki" dla ludzi spoza takich czy innych układów. Już nie mówiąc o takim „szczególe", że zamieszczane takim kosztem artykuły w rzeczonych bazach w zdecydowanej większości przypadków żadnego pożytku naukowego nie przynoszą krajowi, który ostatecznie płaci za nie (rektor czy rektorka nie wykładają przecież pieniędzy z własnej kieszeni). Ale liczy się „zdobycz punktowa" i pekuniarny zysk wyspecjalizowanej firmy „od dostępu".

Chore? Ależ oczywiście! Taki mamy „klimat" wprowadzony (lub utrwalony) „konstytucją dla Gowina", zwaną dla niepoznaki „konstytucją dla nauki". Notabene do dzisiaj na korytarzach siedziby Ministerstwa Edukacji i Nauki przy ul. Hożej w Warszawie wiszą wielkie tablice z hasłami typu „Strategia Gowina", ze złotymi myślami Wielkiego Sternika polskiej nauki. Na to też zrzuciła się „pani, pan, całe społeczeństwo".

System jest lukratywny. W grę rocznie wchodzi grubo ponad 350 mln zł. Każdy, kto będzie chciał ten system naruszyć – ot, chociażby poprzez otwarcie listy punktowanych czasopism na tytuły, które nie uiściły jeszcze stosownej opłaty za dostęp do bazy – musi się liczyć z oskarżeniem o „naruszenie praworządności i dobrych obyczajów". ©℗

eprasa.pl 348985e4fc

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

CHIŃSKI INTERES

W kilku wolnych stanach święto! Ludzie zwołują się na ogniska i rytualnie palą maski. Hucznie, z radością, że nareszcie koniec z bezsensem i przemocą władzy. Możesz znowu pokazywać swój uśmiech całemu światu. Wróciło życie.

Na ranchach i farmach, ogólnie na amerykańskiej wsi, ognisko jest zawsze mile widziane – palimy je często i ludzie się schodzą nawet bez okazji. Lubią posiedzieć przy otwartym ogniu. Gdy widzisz, że ktoś u siebie rozpalił, możesz to traktować jako zaproszenie wysłane w zasadzie do wszystkich. Jedziesz samochodem, widzisz ognisko – skręć. Masz piwo na pace (tu się zawsze jakieś ma), to tym lepiej, bo nie zajedziesz z pustymi rękami. I tak siedzim, i gwarzym, ze śmiechem i z wrzawą, a maski płoną.

Ludzie rzucają pojedynczo i każda, gdy spłonie, dostaje wiwat. Palą najpierw te zwykłe, potem ozdobne. Palą maski protestacyjne. Potem wrzucają już całe pudełka, hurtowo, i znowu wiwat! Grzejemy się w ogniu wolności i powrotu normalności, a cały ten rytuał przypomina trochę polskie obrzędy z marzanną – chcesz się już pożegnać z tą okropną czarną zimą, zarazą.

***

Wolne stany to te, które poszły śladem Florydy i odwołały ograniczenia i przymusy. Floryda była pierwsza, tam wszystko zostało otwarte już dawno temu (szkoły, knajpy, imprezy sportowe) i wyniki zdrowotne mają doskonałe, szczególnie gdy je porównać z Kalifornią, gdzie zamordyzm taki jak w UE i Polsce. W kalifornijskim lockdownie zgonów dużo, w stanach wolnych mało.

***

Większość palonych masek jest nadal z Chin (co dodaje uroku, gdy palisz), choć Trump bardzo szybko uruchomił produkcję własną i Ameryka przestała importować. Nie tylko maski zresztą. A czemu? Bo interesy z Chinami są nieopłacalne ekonomicznie – jednostki są w stanie na nich zarobić miliardy, ale w skali państwa każda chińska inwestycja to straty. Chiński interes jest tej samej jakości co każdy inny chiński sprzęt. Nie bez powodu istnieje popularne powiedzenie „chińskie g..no", a dużo rzadziej słyszymy o g..nach niemieckich, francuskich czy japońskich, a nawet czeskich czy litewskich. Chińczycy są największym w historii świata producentem g..na i stąd to powiedzonko.

***

Interesy z Chinami są NIEopłacalne.

Zamawiamy kawałek autostrady A1 do wykonania przez chińską firmę – strata.

Wielokrotna! Pieniądze mogłyby zostać w Polsce, gdybyśmy zamówili tę autostradę u polskiego wykonawcy, i opłacałoby się to Polsce nawet wtedy, gdyby Polak wziął dwa razy drożej niż Chińczycy, bo całe to „drożej" zasiliłoby polską ekonomię, zostało na polskim rynku. Lepiej przepłacić swojemu, niż zapłacić obcemu – proste.

Zamawiając autostradę u Chińczyków, narażamy się na liczne szkody. Ta autostrada będzie gorsza niż zrobiona przez Polaków. WSZYSTKO, cokolwiek weźmiemy pod uwagę, jest gorsze jakościowo, gdy ma na sobie napis „Made in China", w porównaniu z „Made in Poland".

Towary chińskie nigdy nie są kupowane z powodu ich jakości. Niemieckie tak, amerykańskie, francuskie, polskie... Weź DOWOLNY przedmiot i zastanów się, czy w tej kategorii kupiłbyś chiński, gdybyś szukał wysokiej jakości? Perfumy, samochód, wódka, łopata? Siekiera, motyka, piłka, szklanka? Nie istnieje żaden przedmiot wytwarzany przez cywilizację zachodnią, który kupisz z Chin w wyższej jakości niż nasza rodzima.

***

A cena? Polska firma weźmie za autostradę dwa razy drożej. DOSKONALE, bo wykona ją w lepszej jakości, ale przede wszystkim cała ta forsa zostanie w Polsce, a gdybyśmy kupili autostradę u Chińczyków, to cała ta forsa wyjedzie do Chin.

Polska firma płaci pensje polskim robotnikom, a nie chińskim niewolnikom. A do tego płaci w Polsce ZUS i podatki. To jest ogromna wartość z punktu widzenia państwa. Gdy chińska firma przywiezie tu swoich robotników, nie mamy z tego nic. Wypłacamy im o połowę mniej niż Polakowi, ale 100 proc. tej połowy znika z kraju. Chińskie inwestycje należy traktować jak pasożyta, a nie jak błogosławieństwo.

***

Każdy interes z Chinami to strata.

Politycy tego tak nie liczą, bo oni myślą w cyklach czteroletnich – od kampanii do kampanii. A opłacalność biznesu i jego konsekwencje powinno się kalkulować na lata, a nie na cztery lata.

Z powyższych powodów ci goście od polityki nie powinni się NIGDY zajmować ekonomią. Rząd nie do tego jest. Naród potrzebuje czterech ministerstw, a całej reszty wcale. Ministerstwo skarbu, obrony, sprawiedliwości oraz spraw państwowych, czyli ministerstwo stanu (dyplomacja, urzędy) – i starczy.

Powtarzam: ci goście od polityki nie powinni się NIGDY zajmować ekonomią! W dobrym państwie (np. USA 200 lat temu) ekonomią zajmują się przedsiębiorcy, nie rząd!

Gdy rząd pcha łapy w ekonomię, wówczas niszczy. Kolejne rządy RP zniszczyły już kilka branż – polski tytoń kupowały koncerny zagraniczne, a czysta forsa przylatywała do Polski z zewnątrz. Już nie przylatuje. Cukrownie też poszły się bujać, kutry wyciągnięto na brzeg, zamiast zarabiać na rybach, mleko laliśmy do rowu, bo politycy wymyślili unijne kwoty dozwolonej produkcji, a obecnie kończy się bardzo dochodowy eksport futer. Wszystko to wynik zarządzania ekonomią przez rząd. Na wolnym rynku powinien rządzić pieniądz, nie premier.

***

Gdy Polak kupuje coś od drugiego Polaka, masa pieniędzy w Polsce nie zwiększa się, a gdy eksportujemy coś za granicę, wówczas tak – kraj się bogaci o pieniądze, których tu wcześniej nie było. Piękny pachnący zysk.

Gdy władza zamawia inwestycję zagraniczną u Chińczyków (lub jak ostatnio u Koreańczyków), jest na odwrót: masa pieniędzy wylatuje z Polski i już nigdy nie wraca – strata. Czy to tak trudno zrozumieć?

Interesy z Chinami przynoszą straty w pieniądzach, a do tego kupujemy „chińskie g..no". ©℗

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

eprasa.pl 348985e4fc

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

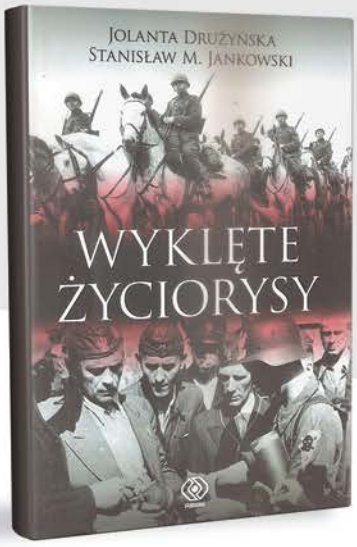

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

J. DRUŻYŃSKA, S.M. JANKOWSKI
„WYKLĘTE ŻYCIORYSY”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~832 ZŁ~~

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 541 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 348985e4fc

stop. cafe

ORLEN

BUDZI APETYT NA ŻYCIE

NOWOŚĆ

Twoje śniadanie na ciepło!

Dostępne na wybranych stacjach ORLEN, o ofertę zapytaj sprzedawcę.

eprasa.pl 348985e4fc